

Końskie. Rok po debacie
Dudy z Dudą

Andrzej Stasiuk
Specjalista od kompleksów

Nord Stream 2
Wpuszczeni w rurę

Nieunikniona wojna
niemiecko-radziecka 1941 r.

Czystki, paranoja, synekury

KATASTROFA POLSKIEJ ARMII

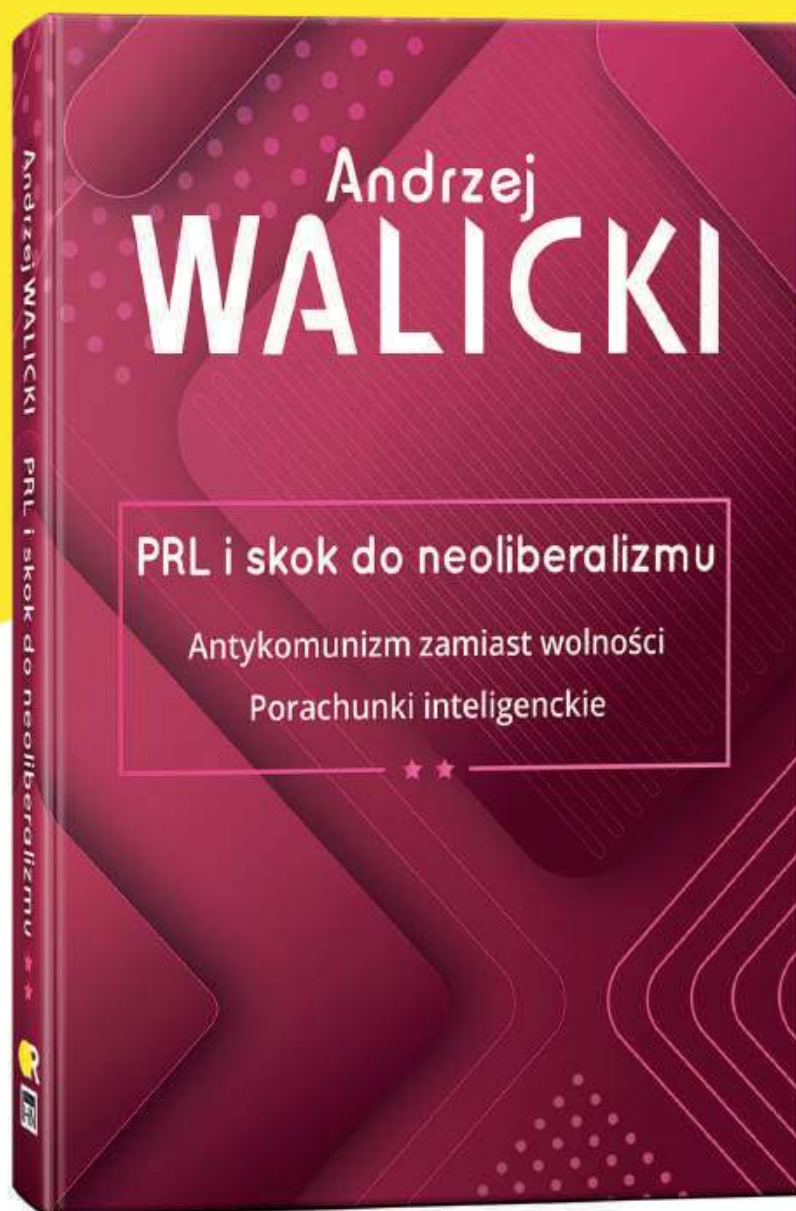
Rozmowa z gen. Mieczysławem Gocułem,
byłym szefem Sztabu Generalnego WP



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311102



II TOM 76 zł

Antykomunizm
zamiast wolności

Porachunki inteligenckie

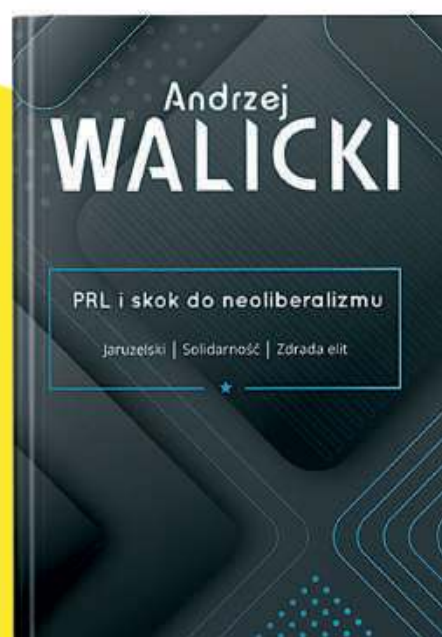
PRL i skok do neoliberalizmu

I TOM 75 zł

Jaruzelski
Solidarność
Zdrada elit

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej
Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej
priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł,
paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem
InPost +14,90 zł.





Szkoda Poczty dla Zdzikota

To nie jest komentarz będący próbą oceny wydarzeń politycznych. Tym razem piszę o jednym z problemów, które spotykają nas w kontaktach z różnymi instytucjami czy urzędami. Nas, czyli pełnoprawnych klientów, choć często traktowanych jak obmierzli petenci. Nie chcę generalizować, więc przytoczę gołe fakty. I zachowanie tej instytucji, z którą nasi Czytelnicy i redakcja, chcąc nie chcąc, musimy mieć kontakty. Musimy, bo monopol ma Poczta Polska. Niestety, działa coraz gorzej. Zwłaszcza gdy władzę objął tam pisowski desant z Tomaszem Zdzikotem jako prezesem. Mnożą się skargi naszych Czytelników. Prezes Zdzikot jest tak świetnie wynagradzany, że na płace pracowników, którzy są trzonem firmy, ledwo wystarcza. A są to płace żenująco niskie. Na dodatek prezes Zdzikot, który sprowadził na kierownicze stanowiska w Poczcie Polskiej ludzi z MON, gdzie był wiceministrem, planuje zwolnienia grupowe. Głównie wśród listonoszy i pracowników urzędów pocztowych. Do tej pory Zdzikot zasłynął organizacją koperskich wyborów prezydenckich i tym, że jest skłócony ze wszystkimi związkami zawodowymi, jakie działają w Poczcie Polskiej.

Powodem, dla którego zajmuję Państwu czas, opisując tę nieudolną ekipę, jest kolejny list Czytelnika skierowany do Poczty Polskiej w sprawie prenumeraty.

„Od II kwartału do końca 2021 r. zapłaciłem za prenumeratę tygodnika „Przegląd” 13351@2021-02-18, kwota 222,00 zł. Z końcem ubiegłego tygodnia dostałem zaległe numery (21-23) w/w tytułu za cały maj 2021 r. W ramach zapłaconej prenumeraty za w/w okres nie otrzymałem kolejnych numerów tygodnika. Jest to niewywiązanie się ze strony Państwa z umowy, jaką stanowi prenumerata. Jeżeli Państwo nie będą się wywiązywać z umowy, to proszę o zwrot za pozostałą część prenumeraty, gdyż otrzymywane kolejne numery z tak dużym opóźnieniem stają się nieaktualne”. (Imię i nazwisko znane redakcji).

Ręce opadają. Panie prezesie Zdzikot, dość tego hucpiarstwa Poczty Polskiej pod pana zarządem. Dość tego obrzydliwego traktowania ludzi płacących z góry za usługi, które realizowane są w tak karykaturalny sposób, skoro nie potrafi pan zapewnić najbardziej elementarnych usług za to, za co trafia na pana konto kilkadziesiąt tysięcy złotych. Co miesiąc! Znam fachowców, którzy za jedną czwartą pana zarobków wyprowadzą Poczta Polską z zapaści.

Kończymy z nieustającymi prośbami o wywiązywanie się z umów.

Kancelaria prawna analizuje różne warianty naszej reakcji na niegodziwość, jakie spotykają naszych Czytelników. I nie tylko naszych. Liczę tu na wsparcie innych pozapisowskich wydawców.

BAKOWSKI



PRZEGLĄD w kiosku to za mało? Więcej w internecie

OBSERWUJ NAS, SUBSKRYBUJ, POLUB



CYTATY

ADAM MICHNIK, redaktor naczelny „Gazety Wyborczej”

Myślę, że Kołodko miał więcej racji niż Balcerowicz.
„Zdanie”

RAFAŁ WOŚ, publicysta

Demokratyzujące doświadczenie Polski Ludowej w bardzo dużym stopniu zmniejszyło w naszym społeczeństwie nierówności.
„Rzeczpospolita”

W NUMERZE

WOJSKO

- 8 Słabi, rozdarcy, niegotowi**
– rozmowa z gen. Mieczysławem Goculem

KRAJ

- 13 Jaki prezydent, taki pociąg**
Końskie rok od debaty Dudy z Dudą
21 Jak nie zgubić dziecka w sieci
– rozmowa z Zytą Czechowską
47 Czerwiec topielców
Tragedie zamiast relaksu
48 Falowiec, Mrówkowiec, Superjednostka
Największe budynki mieszkalne PRL

GOSPODARKA

- 18 Wpuszczeni w rurę**
Nord Stream 2

ZAGRANICA

- 24 Pobrexitowi osiedleńcy**
Nielegalnie w Wielkiej Brytanii
26 215 dzieci, które zmieniają Kanadę
Korespondencja z Kanady
29 Koniec jazdy na gapę?
Wspólny podatek od korporacji
32 Czy zabraknie nam wszystkiego?
Pandemia zatrzęsała łańcuchem dostaw
34 Jak rower, to z Portugalii
Liderzy trendów

HISTORIA

- 36 Odwrócone sojusze**
Wojna niemiecko-radziecka 1941r.

KULTURA

- 40 Wykonałem swoją robotę, żeby nudno nie było**
– rozmowa z Andrzejem Stasiukiem
42 Culturalia
44 Jest aktorstwo, jest ryzyko
– rozmowa z Micaelą Ramazzotti
66 Wilhelm Sasnal. Taki pejzaż

SPORT

- 52 Euro niespełnionych marzeń**
Lewandowski nie uratował Polski

EKOLOGIA

- 54 Gdy osłona nocy nie wystarcza**
Chrońmy nietoperze

OBSERWACJE

- 56 Kuchnia przyjazna naturze**
– rozmowa z Joanną Kowalczyk-Bednarczyk
58 Rejs postpandemiczny
Korespondencja z Chorwacji

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Szkoda Poczty dla Zdzikota
17 Jan Widacki
Ogień w Nowej Białej
39 Roman Kurkiewicz
Deszcze niespokojne
43 Tomasz Jastrun
Stan idealny
51 Agnieszka Wolny-Hamkało
Najgorsi klienci, my
53 Wojciech Kuczok
Dzień Ojca

21

KRAJ

JAK NIE ZGUBIĆ DZIECKA W SIECI

– rozmowa z Zytą Czechowską



34

ZAGRANICA

JAK ROWER, TO Z PORTUGALII

Liderzy trendów

44

KULTURA

JEST AKTORSTWO, JEST RYZYKO

– rozmowa z Micaelą Ramazzotti

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. K.MIKUŁA/WPROST/EAST NEWS

eprasa.pl 31b5c214d1



✉ Rzecz o lewicy

W PRZEGLĄDZIE (nr 26) ukazał się mądry i – określiłbym – piękny artykuł dr. Pawła Sękowskiego „Rzecz o lewicy”. Długo czekałem na tak rozsądne i potrzebne przedstawienie podstawowych zasad i pryncypiów lewicy:



kim byliśmy, kim jesteśmy, kim pozostaniemy. Jestem tym bardziej usatysfakcjonowany, że autorem tekstu jest młody człowiek, adiunkt UJ. Szkoda, że tacy ludzie nie przewodzą dzisiejszej Nowej Lewicy. Ale z pewną satysfakcją myślę, że artykuł czytają i być może rumienią się dzisiejsi członkowie liberalno-konserwatywnej Platformy, jak Barbara Nowacka, Katarzyna Piekarska,

Bartosz Arłukowicz, Dariusz Joński i inni, których nie było stać na przedstawienie podobnego opracowania, a którzy opuścili lewicę w trudnym dla niej okresie i zamiast konsekwentnie wcielać w życie te pryncypialne, wysoce humanistyczne wartości lewicowe, o których pisze dr Paweł Sękowski, woleli wesprzeć ideologię i partię odległą od lewicowej.

prof. dr hab. Tadeusz Krzymowski



f Zabij się dla Polski!

Stefan Chwin (PRZEGLĄD nr 26) mówi: „W czasach PRL mit samobójstwa altruistycznego chętnie wbijano do głowy polskim uczniom jako całkowicie zgodny z projektem ideologicznym partii!”. Trudno z tym się zgodzić. Na pewno PRL nie promowała bezsensownego umiarkowania, chociażby dlatego, że LWP było drugim wojskiem po Armii Radzieckiej i było czym walczyć. Potępiano mit

powstania warszawskiego, czyli ludobójstwa warszawskiego, gdzie Bór-Komorowski i Okulicki skazali na bestialski mord ponad 200 tys. cywilów i patriotyczną młodzież. To w III RP odżywa ten mit o słodkim umiarkowaniu.

Kamil Garbowicz

f Jakie powinny być strategiczne cele Polski?

Kilka z nich to: pilna transformacja energetyczna – odejście od paliw kopalnych, zakończenie autorytaryzmu; zmiana wektora naszej obecności w UE, od kierunku polexitu promowanego przez obecne władze w kierunku integracji i mądrej współpracy z innymi europejskimi państwami; naprawa relacji z USA; pełen rozdział Kościoła katolickiego od struktur państwowych; odpolitycznienie mediów państwowych i wspieranie wolności słowa; ponowna demokratyzacja instytucji państwowych; decentralizacja – większa władza dla samorządów; reforma systemu edukacji; znaczący wzrost wydatków na szkolnictwo wyższe i badania naukowe; zamknięcie mediów toruńskich i innych grup promujących interesy sprzeczne z polską racją stanu.

Jacek Olejnik

Kierunek Unia Europejska z wszelkimi obowiązującymi tam standardami i priorytetami. Współpraca z sąsiadami, w tym z Rosją, tworzenie warunków do wymiany towarów i usług. Wymiana kulturalna, wspólne działania międzysąsiedzkie, budowanie szacunku i wzajemnych kontaktów regionalnych. Oczywiście obecność w strukturach międzynarodowych służących dalszemu umacnianiu Polski na świecie.

Tadeusz Kalinowski

ZDJĘCIE TYGODNIA



Był stoń w składzie porcelany, jest i w kuchni.

Na poczęstunek do mieszkańca Hua Hin nieopodal Bangkoku wprosił się nieoczekiwany gość.



PYTANIE TYGODNIA

Czy kierowcy mający punkty karne powinni płacić wyższe OC?

ALEKSANDRA WYSOCKA,
„Gazeta Ubezpieczeniowa”

Jak najbardziej. Wysokość składki wyraża bowiem ocenę ryzyka, jakie dany kierowca niesie dla zakładu ubezpieczeń. Jeśli ma punkty karne, to albo jest wielkim pechowcem, albo – co znacznie bardziej prawdopodobne – podejmuje różne ryzykowne działania na drodze, które mogą spowodować wypadek, łączący się z konkretnymi kosztami dla ubezpieczyciela. Takie zwyczaje za punkty karne miałyby także wymiar pedagogiczny, zachęcałyby do przestrzegania przepisów. Byłyby wreszcie sprawiedliwe, bo osoby, które jeżdżą bezpiecznie i uważają na innych uczestników ruchu, płaciłyby mniej niż ci, którzy tego nie robią.

JAN MENCWEL,
aktywista miejski, Miasto Jest Nasze

Wysokość składki OC powinna być proporcjonalna do liczby punktów karnych kierowcy. Wszystkie koszty zdarzeń drogowych, których nie pokrywa ubezpieczyciel, są przecież opłacane z budżetu państwa – np. wydatki związane z egzekucją przepisów. Częścią tych kosztów powinny być

obciążane zakłady ubezpieczeniowe, które byłyby zmotywowane dopingować za pośrednictwem wyższych stawek kierowców do rozsądnych zachowań. Nasze stowarzyszenie postuluje także inne działania zwiększające bezpieczeństwo ruchu drogowego. Po pierwsze, jesteśmy za podniesieniem stawek mandatów i powiązaniem ich z poziomem zarobków. Dla właściciela samochodu za 100 czy 200 tys. zł mandat w wysokości 500, a nawet 3,5 tys. zł może bowiem nie pełnić funkcji odstraszającej. Po drugie, konieczne jest zwiększenie liczby fotoradarów i ułatwienie ściągania mandatów. Obecnie jest ono dosyć skomplikowane, a powinno się odbywać automatycznie.

WOJCIECH PASIECZNY,
Fundacja Zapobieganie Wypadkom Drogowym

Kierowcy, którzy zbierają punkty karne, a więc nagminnie popełniają wykroczenia, powinni więcej płacić za OC. Prawdopodobieństwo spowodowania np. kolizji jest w ich przypadku dużo większe – dlatego mieliby płacić tyle samo, ile ci, którzy jeżdżą zgodnie z przepisami? Zresztą w wielu krajach obowiązuje zasada, że popełnia-

nie wykroczeń automatycznie skutkuje droższym ubezpieczeniem. Wprawdzie nie znam badań, z których jasno by wynikało, że bezpośrednio przekłada się to na zmniejszenie liczby wypadków, ale sądzę, że przynajmniej w przypadku części kierowców swego rodzaju dodatkowe mandaty w postaci wyższych stawek spełniłyby funkcję prewencyjną.

Czytelnicy PRZEGLĄDU
JÓZEF BRZOSOWSKI

„Karne punkty”, czyli ktoś za coś został ukarany. To go jeszcze banksterzy mają karać? OC powinno być wyższe (przez jakiś okres) tylko po wyrządzeniu szkody przez ubezpieczonego.

ZDZIŚŁAW NOWAK

Przecież płacą. Jeżeli dostali te punkty za spowodowanie szkody, a nie za brak światła w dzień czy nieprawidłowe parkowanie.

PAWEŁ PIWOWARCZYK

Stanowczo nie. Punkty karne są powiązane z grzywną lub mandatem. Nie wolno karać potrójnie!



Słabi, rozdarci, niegotowi

Gorzka prawda o polskiej obronności

Rozmawia
Marcin Ogdowski

Czy Polska jest wiarygodna w natowskiej układance?

– Nie. Dziś bycie z nami w jednym teamie to obciach. Takie stwierdzenia padały z ust moich kolegów z sojusznicznych armii.

Czym im podpadliśmy?

– Pamięta pan, co się wydarzyło w grudniu 2015 r.?

Ludzie Antoniego Macierewicza włamali się do Centrum Eksperckiego Kontrwywiadu NATO. Szukali teczek personalnych wojskowych specseł. Oficjalnie chodziło o zabezpieczenie ważnych sojusznicznych danych. Szefostwo CEK – twierdzono – miało podejrzaną kontakty z Rosjanami. Bzdura, zmiażdżona później przez sąd.

– Ale konsekwencje były daleko idące. Idea Regionalnego Centrum Analiz Wywiadowczych w Polsce zrodziła się przed szczytem NATO w Warszawie. Miały w nim powstawać analizy dotyczące flanki wschodniej. Projekt był międzynarodowy – dane dostarczałyby Amerykanie, kraje basenu Morza Bałtyckiego, nie wykluczano współpracy z Ukrainą. Było ogromne zainteresowanie sojuszników i wstępna akceptacja dowódcy sił NATO w Europie. Po włamaniu wszystko przysło. „To, co się stało, jest bez precedensu. Przystaliście być wiarygodni”, słyszałem. **Słowacy zgodzili się na tę akcję. Mówił o tym Macierewicz.**

– Skąd! Zadzwonił do mnie mój słowacki odpowiednik z pytaniem, co się dzieje. „Nie wiem”, odparłem. Ja, szef Sztabu Generalnego WP, o sprawie dowiedziałem się z mediów. Gdy zaraz potem pojechałem do Brukseli na posiedzenie Komitetu Wojskowego NATO, obstąpili mnie



GEN. MIECZYŚLAW GOCUŁ

– były szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego

wszyscy uczestnicy inauguracyjnej kolacji. „Mieczysław, co jest?”, byli wyraźnie zaniepokojeni. Wziąłem kieliszek, zastukałem, prosząc o uwagę. „W Polsce jest dobrze i będzie jeszcze gorzej”, zażartowałem, choć nie było nam do śmiechu.

Od tamtych wydarzeń minęło ponad pięć lat.

– Naszym kluczowym sojusznikiem są Stany Zjednoczone. Pomnińmy nieszczęsną prezydenturę Trumpa i skupmy się na fakcie, że dziś mamy do czynienia z powrotem demokratów. W USA rządzi człowiek, który dwa razy był wiceprezydentem u Obamy. I może nie zajmował się współpracą amerykańsko-polską, ale w jego otoczeniu są ludzie, którzy doskonale te relacje pamiętają. U nas takiej pamięci nie ma, bo zerwano

ciągłość, brakuje świadomości instytucjonalnej...

...ludzi z odpowiednim kapitałem wiedzy się pozbyto.

– Otóż to. Tymczasem nie tylko wydarzenia z ostatnich miesięcy sprawiają, że ocenia się nas jako mało wiarygodnych czy wręcz zupełnie niewiarygodnych. Wciąż na polsko-amerykańskich relacjach ciąży historia z nieodległej przeszłości.

Proszę podać jakiś przykład.

– Spotkanie Macierewicza z Ashtonem Carterem, sekretarzem obrony. Minister bierze do ręki jakiś dokument i mówi: „Oto deklaracja naszego udziału w koalicji anti-ISIS”. Carter zaskoczony, ja zaskoczony, bo na oczy tego kwitu nie widziałem. Ale OK, jest wola polityczna, będziemy działać. Mijają dwie godziny, dochodzi do spotkania plenarnego przedstawicieli 58 krajów. W naszym imieniu występuje wiceminister obrony Tomasz Szatkowski i już o deklaracji nie wspomina, skrętnie przemilczając wcześniejsze zapowiedzi przystąpienia do koalicji.

Macierewicz blefował – po co?

– Z sobie tylko znanych powodów. Widziałem Cartera, był wściekły. I teraz ludzie z tamtych czasów wracają do amerykańskiej administracji. Jak my wyglądamy w ich oczach?

A w niemieckich? To drugi tradycyjny sojusznik III RP.

– Ech... Spotkanie ministrów obrony NATO, Macierewicz zwraca się do Ursuli von der Leyen: „Nie będzie współpracy wojskowej między naszymi krajami, póki nie załatwicie sprawy mniejszości polskiej w Niemczech. Bo od czasu Goebbelsa żeście nie zrobili nic”. I wstaje od stołu. Von der Leyen pyta, czy to oficjalne stanowisko rządu RP. „Nie jest, ale będzie”, słyszy. Widziałem się z nią tuż po tym, przy wyjściu z holu

głównego kwatery. Było mi wstyd, zwłaszcza że minister mówił o jakimś wydumany problemie. Dziś pani von der Leyen jest w Unii Europejskiej numerem jeden.

Numerem dwa wśród naszych europejskich sojuszników była do niedawna Francja.

– I znów – co było, nie minęło. Tuż po zerwaniu kontraktu na caracale spotkałem się z francuskimi generałami. W ich ocenie nasza wolta sama w sobie nie była zła. Kontrakty się zrywa. Ale nie w takich okolicznościach, twierdząc, że caracale to złe śmigłowce. Nie szuka się nieprawdziwego argumentu. „Kiedyś będziecie musieli za to zapłacić. Musi was zboleć, tak jak nas zabolęło”, mówili z żalem Francuzi.

Nieco później wycofaliśmy się z wielonarodowego projektu zakupu i utrzymania floty samolotów do tankowania w powietrzu.

– Holenderska minister obrony przyjechała na szczyt NATO w Warszawie i w przededniu podpisania dokumentów w sprawie MRTT (Multi Role Tanker Transport – typ samolotów transportowo-tankujących – przyp. MO) Macierewicz poinformował ją, że my się wycofujemy. „Chyba pan żartuje, panie ministrze. Pięć lat współpracy i nic?”, dopytywała. Sam tego nie rozumiałem. Jak można było zaprzepaścić tak ogromny wysiłek wielu lat w ciągu kilku miesięcy? Przecież MRTT jest dla nas. Dwa-trzy rosyjskie uderzenia na lotniska i nie mamy naszych F-16. W początkowym etapie konfliktu należy więc je przebazować poza granice kraju, może do Niemiec. Maszyny, by wykonać zadania i wrócić do Niemiec, muszą być tankowane w powietrzu. Tak samo wspierające nas francuskie, hiszpańskie, niemieckie czy belgijskie samoloty. A myśmy z tego programu wystąpili.

Państwa bałtyckie nas potrzebują, więc może tam, choćby i na wyrost, cieszymy się wiarygodnością?

– Nie ma takiej opcji. Nawet Rumunia, mimo wielokrotnie udzielanego wsparcia, nie widzi w nas większego brata.

My zaś zbliżamy się do Turków.

Ostatnio kupiliśmy u nich bezpilotowce.

– Porażka. Jak można było zapomnieć, że rok temu Turcja odmówiła ratyfikowania planów operacyjnych dla Polski?

Z tymi planami zawsze był kłopot, bo ich podpisanie to zarazem deklaracja pomocy, z której potem trzeba by się wycofywać przed kamerami

– czego żaden rząd nie lubi.

– Ale nikt nigdy nie odmówił ich podpisania. Nawet jeżeli któryś kraj

Ja, szef Sztabu Generalnego WP, o włamaniu się ludzi Macierewicza do Centrum Eksperckiego Kontrwywiadu NATO dowiedziałem się z mediów.

był niechętny, wyrażano to w ramach wewnętrznej debaty. Turcja tymczasem ogłosiła wszem wobec: „Polacy, bujajcie się”. A my idziemy do nich kupować uzbrojenie.

Mariusz Błaszczak mógł się kierować nieco inną logiką, ale przecież ma wojskowych doradców. Któryś z generałów mógł mu powiedzieć: „Pas, nie warto, nie należy”.

– Ludzie, którzy mieli warsztat, potrafili ocenić działania ministra, zostali wycięci. Po latach obserwacji dochodzę do wniosku, że powodem czystek w armii były brak zaufania i troska, by kadra nie patrzyła na ręce politykom, nie wyciągała na wierzch ich błędów.

Miernotami łatwiej się zarządza.

– Wiele dowódców jest wdzięcznych za generalskie awanse, więc nie powie „nie” nawet w obliczu największych głupot i niegodziwości. Co jest kolejnym przyczynkiem do rozmowy o wiarygodności. Kiedyś, gdy do stołu siadało 28 szefów obrony, wszyscy byli po najlepszych uczelniach w USA, Wielkiej Brytanii, Kanadzie

czy Niemczech. Rozmawialiśmy tym samym językiem, mieliśmy ten sam potencjał intelektualny.

Dziś mamy generałów po zaocznym, czterotygodniowym kursie...

– Macierewicz wprowadził takie szkolenie. Z 12 oficerów na zajęcia do sztabu przychodziło czterech. A i tak wszyscy zostali generałami. Podczas jednej z ceremonii w Belwederze prosi mnie wiceminister obrony: „Niech mi pan coś powie o każdym z nowych generałów”. Znałem dwóch. Do noszenia wężyków trzeba mieć odpowiednie kompetencje, wielu nominowanych po 2015 r. ich nie ma. Efektem jest nasza niezdolność do realizacji zadań obronnych.

Sądząc po skutkach, politycy albo współpracują z obcym wywiadem, albo kieruje nimi głupota i niewiedza.

– Pamiętam ostatnie chwile Antoniego Macierewicza i przyjazd do Polski szefa NATO Jensa Stoltenberga. Założyłem się wówczas z kolegą o skutki tej wizyty. Stoltenberg spotkał się z prezydentem i premierem, pominął ministra. W mojej ocenie zażądał, żeby został on usunięty. I Macierewicz poleciał. Ministrowie obrony mają dostęp do planowania nuklearnego, do największych sojusznicznych tajemnic. Nie ma tam miejsca dla ludzi, którym się nie ufa. Nie wiem, na ile ustalenia Tomasza Piątki są trafne, wiem, że Macierewicz nie zdecydował się na sądowe dowiedzenie swojej niewinności. Wiem też, że gdybym stał po stronie przeciwnej, miał zaszkodzić Polsce, robiłbym dokładnie to, co zrobiono w armii w ostatnich latach. Nic więcej. I pewnie byłbym już Bohaterem Federacji Rosyjskiej.

Głupota i niewiedza nie wykluczają jednak motywów czysto politycznych.

– Jasna sprawa. Kupienie bezpilotowców to efektowne posunięcie. Nie widzę tu pilnej potrzeby operacyjnej, bo nasi żołnierze nie realizują zadań bojowych poza granicami kraju, w których istnieje konieczność wykorzystania takiego sprzętu. Ale ▶

Mieczysław Gocul – generał (czterogwiazdkowy) Sił Zbrojnych RP w stanie spoczynku. Doktor nauk społecznych, w latach 2010-2013 I zastępca szefa Sztabu Generalnego WP, w latach 2013-2017 szef Sztabu Generalnego WP. Absolwent uczelni wojskowych w Kanadzie i Wielkiej Brytanii, członek dowództwa Wielonarodowej Dywizji Centrum-Południe w Iraku. Służbę w armii rozpoczął w 1983 r. jako podchorąży Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Pancernych w Poznaniu.

▶ widzę pilną potrzebę polityczną – chęć pokazania elektoratowi, jak bardzo troszczymy się o wojsko. Tyle że skutki mogą być dramatyczne. Zwrotem ku Turcji, która – przypomnę – jest w NATO na cenzurowanym, rozdrażniliśmy Amerykanów. Znam procedury i obawiam się, że jeśli będziemy nadal taką politykę uprawiać, Kongres może cofnąć zgodę na sprzedaż F-35 do Polski.

No tak, Turcji ostatecznie F-35 nie sprzedano.

– A kolejka po te maszyny jest długa. My zaś możemy Kongresowi podpaść także na innym polu. USA sprzedają sprzęt wysokiej technologii krajom demokratycznym. Polska już takim państwem nie jest. Nie mamy trójpodziału władzy, łamiemy konstytucję, nie przestrzegamy wyroków, nie tylko sądów krajowych, ale i międzynarodowych. Amerykanie nie będą wiecznie patrzeć na to przez palce. Drażnimy ich, a okaże się, że poza Turcją jeszcze tylko Putin będzie mógł nam coś sprzedać.

– Dziwne, prawda? 60% wydatków na zbrojenia idzie za granicę, zyski z eksportu nie przekraczają nawet 400 mln zł, a branża jakoś sobie radzi. Trzyma głowę tuż nad powierzchnią wody, ale nie tonie.

A ma szansę się wybić? Opierając się na realnych kompetencjach, nie na zyskach z politycznej renty.

– Jeżeli za rządu PiS sześciokrotnie zmienia się prezes PGZ, to czy możemy mówić o jakiejś strategii rozwoju? **Jeśli byłaby kontynuacja...**

– Ale jej nie ma. Każdy przychodzi z jakąś inną wizją, a i tak kończy się na pomysle wzięcia przemysłu na garnuszek MON. To pierwsza sprawa. Druga – nie jesteśmy konkurencyjni. Nie byliśmy i nie będziemy. Jakość elementów uzbrojenia wykonywanych przez nasz przemysł obronny jest mierna. Nie mamy wysokiej technologii. Mimo że wydajemy na rozwój i wdrożenia niemałe pieniądze, efekty są byle jakie. Weźmy program „Płaskonos” (wabików przeciwtorpedowych – przyp. MO). Swego czasu projekt otrzymał

Nie znam.

– Bo nie istnieją, choć mamy cały departament polityki zbrojeniowej. W efekcie każdy sobie rzepkę skrobie. Przemysł robi coś, czego wojsko nie potrzebuje. Produktów potrzebnych nie robi wcale – albo robi kiepskie. W 2007 r. byłem w Izraelu, zaczęliśmy się rozglądać za bezpilotowcami. I gospodarze mówią tak: „Macie kompetencje, żeby budować samochody do przewozu bezpilotowców, nic więcej”. W państwowym przemyśle dotąd niewiele w tej kwestii się zmieniło.

Czyli, tak czy inaczej, musimy kupować.

– Musimy. Nie krytykuję zakupów w USA, bo mają tam najlepszą technikę. Krytykuję to, że za zakupami nie idzie *offset*. Brak *offsetu* to brak dostępu do nowoczesnych technologii, brak nowoczesnych technologii to śmierć dla przemysłu obronnego.

Wyprodukuje się karabinki dla WOT i jakoś to będzie.

– Kolejny przykład marnotrawstwa i gry na utratę sojuszniczej wiarygodności.

Tak nisko pan ceni sztandarowy projekt PiS w dziedzinie obronności?

– Eksperyment pt. Wojska Obrony Terytorialnej tylko do 2019 r. kosztował nas 8 mld zł. Nie licząc środków na pozyskanie infrastruktury dla nowo powołanych jednostek, czyli dodatkowych setek milionów. Sam pomysł z wykorzystaniem entuzjazmu młodzieży dobry, wykonanie znacznie gorsze.

Jak to u nas. Pytanie, czy chcieliśmy dobrze.

– W 2016 r. spotkałem się w Madrycie z szefami obrony państw wchodzących w skład Eurokorpusu. Mój niemiecki odpowiednik zagaja: „Słyszałem, że budujecie nowy rodzaj sił zbrojnych”. „No tak, Wojska Obrony Terytorialnej, wiesz, o co chodzi... 53 tys. żołnierzy”, mówię. Niemiec kiwa głową, więc i ja pytam, co u nich. „My też budujemy nowy rodzaj sił zbrojnych – wojska cybernetyczne, 13 tys. specjalistów”. No i sam pan widzi – z jednej strony, nieco trywializując, dzida, z drugiej, nowoczesne narzędzie w odpowiedzi na realne zagrożenia.

Obrony terytorialnej nie wymyślił Macierewicz, istniała zawsze.

– Na czas wojny. Trzeba było lepiej i więcej szkolić rezerwistów,

Powodem czystek w armii były brak zaufania i troska, by kadra nie patrzyła na ręce politykom.

Mamy jeszcze własny przemysł.

– A ja mam przekonanie graniczące z pewnością, że w latach 2016-2018 nastąpiła nieuzasadniona pomoc publiczna dla podmiotów krajowego przemysłu obronnego. Rządu kilku miliardów złotych. Zgodnie z prawem Unii Europejskiej nieuzasadniona pomoc winna zostać zwrócona do budżetu państwa. Polityk, który by o to zabiegał, nie dostałby głosów pracowników przemysłu obronnego. Byłby ich wrogiem, niezależnie od barw politycznych. Nie ma więc chętnych do podjęcia tematu.

Na czym ta pomoc polegała?

– Na przeszacowywaniu, o prawie 100%, wartości kontraktów między MON a zbrojeniówką. I żeby jeszcze te pieniądze szły na realną produkcję... W zarządach spółek Polskiej Grupy Zbrojeniowej w 2015 r. było 100 osób. Dziś, według mojej wiedzy, ok. 300. Trwonimy publiczne pieniądze na synekury dla ludzi z politycznego układu.

To także cena za spokój. Jakoś nie widzę strajkujących pracowników zbrojeniówki na ulicach Warszawy.

nagrodę za najlepszą pracę badawczo-rozwojową, ale Marynarka Wojenna odmówiła przyjęcia sprzętu na wyposażenie. Bo prace trwały 12 lat i końcowy produkt był już przestarzały. **Na rynku cywilnym jest 17 przyzwoitych politechnik.**

– Ale one nie współpracują z przemysłem obronnym. Rektorzy nie mają pojęcia, czego potrzebuje wojsko, armia nie wie, jakie są możliwości bazy badawczo-rozwojowej.

Dać uczelniom granty i sprawa załatwiona.

– To nie takie proste. Rektorów nie wybierają politycy. Uczelnie są niezależne, trudno się przy nich obłować, wstawić „swoich”, którzy uszczknęliby coś z grantowych środków. Lepiej przekierować pieniądze do ośrodków badawczo-rozwojowych przemysłu. Praca w nich wre, a efektów nie widać. Po latach wojsko dostaje demonstrator technologii. Prototyp nas interesuje, a nie demonstrator z drewna wystrugany.

Od czegoś trzeba zacząć (śmiech).

– Najlepiej od założeń polityki zbrojeniowej. Zna je pan?



Niech politycy decydują o priorytetach, ale niech nie zastępują struktur wojskowych w planowaniu.

a nie tworzyć WOT w obecnej strukturze, z własnym dowództwem i dowództwami brygad w czasie pokoju. Jedyną realną wartością dodaną tej formacji stanowią bataliony OT. Idą tam świetni ludzie, mający własne ambicje i aspiracje zawodowe. Niestety, dziś sprowadzamy ich do roli sprzątaczy, pomocników, dyrygujących kolejkami. Nie ma to nic wspólnego z obroną terytorialną, z siłami zbrojnymi. Nie dziwił mnie nawet doniesienia o rzekomych planach użycia WOT do tłumienia manifestacji Strajku Kobiet. Pomysł o podobnym zabarwieniu słyszałem już z ust ministra, co było przerażające.

Obrona terytorialna stała się wizytówką armii. Trafiają tam nowe mundury, sprzęt, uzbrojenie.

– Na miłość boską, mamy tysiące karabinków AK gotowych do użycia w ramach szkolenia. A my kupujemy 50 tys. grotów. A co z AK? Pod gasienice czołgów je rzucimy? Przekazanie grotów WOT to marnowanie pieniędzy. Po roku czy dwóch latach szkolenia ten sprzęt nie będzie się nadawał do użycia w czasie wojny.

WOT miały nasycić pole walki patriotyzmem – stąd weekendowe szkolenia strzeleckie.

– A w ramach walki z pandemią zostały sprowadzone do roli obrony cywilnej. To świetna robota, ale nie ma w niej miejsca na karabin, na szkolenie wojskowe.

Państwo potrzebuje WOT do reagowania kryzysowego.

– Na terenie kraju? Nie. Plany reagowania kryzysowego opierają się

na potrzebach zgłaszanych przez wojewodów. Zapotrzebowanie w skali kraju przez lata utrzymywało się na poziomie 10 tys. żołnierzy. Jednej dziesiątej wojsk operacyjnych. I dotyczyło sprzętu, którego WOT i tak nie mają.

To dlaczego wszędzie widzimy „wotników”?

– Bo mamy do czynienia z ogromną promocją obrony terytorialnej. To projekt z zakresu marketingu

Zwrotem ku Turcji rozdrażniliśmy Amerykanów. Jeżeli dalej będziemy uprawiać taką politykę, Kongres może cofnąć zgodę na sprzedaż F-35.

politycznego, nic więcej. Armia nie potrzebuje WOT, dla których nie określono miejsca, roli ani zadań w systemie obronnym państwa. Sojusz też ich nie potrzebuje. Ci żołnierze nie wyjadą na misje, nie zwiększą naszych zdolności ekspedycyjnych, do utrzymywania których zobowiązuje nas art. 5 traktatu północnoatlantyckiego. Nie wnoszą także znaczącego wkładu we własny potencjał obronny, zgodnie z art. 3 traktatu.

Dlaczego?

– W WOT, z braku chętnych, obniżono kryteria zdrowotne. W efekcie mamy dziś w siłach zbrojnych dwa rodzaje żołnierzy: zdolnych do służby wojskowej i zdolnych do służby w obronie terytorialnej. Tych drugich nie wyślemy w świat. A i w kraju żołnierze powinni mieć walory zdrowotne adekwatne do wymogów wspólnego „pola walki”.

Politycy robią z wojskiem, co chcą. Czy ktoś tam w ogóle dowodzi?

– Szef sztabu ma kompetencje, ale nie ma narzędzi. Obecna władza próbowała zmienić system dowodzenia. Podporządkowano szefowi sztabu dowództwa rodzajów sił, dowództwo generalne i operacyjne. Masa nowych podwładnych, mnóstwo nowych kompetencji – i żadnego dodatkowego etatu. Szef sztabu kieruje wojskiem, gdy jest na miejscu. Po wyjściu z pracy jego możliwości się kurczą, ponieważ nie dysponuje własną dyżurną służbą operacyjną lub innym organem dowodzenia. Oczami i uszami, wyposażonymi w kompetencje do podejmowania decyzji w jego imieniu. Dziś u pierwszego żołnierza Rzeczypospolitej mamy kiluosobową, nieetatową Dyżurną Służbę Operacyjną. Nieetatową, powtórzę. To czyste szaleństwo. Mało tego, prezydent zdecydował, że na czas wojny naczelnym dowódcą będzie właśnie szef Sztabu Generalnego, ale sztab nie ma własnego dowództwa ze strukturą organu dowodzenia naczelnego dowódcy.

Kto mu je wystawi w razie W?

– Dowództwo operacyjne, które na co dzień ma własnego dowódcę.

Czyli szef SG nie pracuje bezpośrednio z ludźmi, którzy w czasie wojny mają być jego najbliższymi współpracownikami. Przecież to paranoja.

– Żeby jedyna. Minister nie ma merytorycznych kompetencji do dowodzenia, ale WOT podlega bezpośrednio jemu. Szefowi sztabu nic do tej formacji, formalnie dopóki proces jej budowy nie zostanie zakończony. Zwróćmy też uwagę na obłożenie obowiązkami szefa sztabu. W przypadku wojny ma być naczelnym dowódcą, doradcą ministra obrony, doradcą prezydenta, szefem Sztabu Generalnego czasu W, wchodzi poza tym w skład Komitetu Wojskowego NATO.

Trochę dużo jak na jedną głowę.

– Za dużo.

Kilka miesięcy temu, w trakcie ćwiczeń strategicznych „Zima” zakwestionowano kompetencje szefa SG.

► Jeden z moich rozmówców nazwał to puczem. Po jednej stronie stanął szef sztabu, po drugiej dowódca generalny. Gdzieś tam trwała obrona Rzeczypospolitej – szczęście, że na mapach, a nie w realu – a w naczelnym dowództwie toczyła się wojna o to, kto ma dowodzić.

– Wprowadzenie drugiego cztero-gwiazdkowego generała (w osobie dowódcy generalnego – przyp. MO) stworzyło dualizm. Sytuację, która w wojsku nie powinna się wydarzyć. Armia to jedność i jednoosobowość. Jedność oznacza, że działamy w myśl

nas Rosjanie, wiem, że niewiele się zmieniło.

Czy jakiś element sił zbrojnych jest w stanie efektywnie realizować postawione przed nim zadania?

– W moim przekonaniu pojedyncze brygady, bo nawet nie dywizje. Jeżeli dywizja międzynarodowa ma sztab liczący 280 osób, a w sztabie polskiej dywizji mamy niewiele ponad 100 – to jak tu mówić o efektywnym dowodzeniu? Nikt nie chciał rozmawiać o tym, żeby zbudować dowództwo dywizji z prawdziwego zdarzenia – i mamy, co mamy.

jest większym zagrożeniem niż zgromadzony tu potencjał, choć tego drugiego nie należy ignorować. Rosja to mocarstwo nuklearne, zagrożenie nie tylko w skali lokalnej, ale również regionalnej i globalnej. Błędne jest przekonanie, że względny pokój w tej części globu był dany raz na zawsze. Flanka wschodnia NATO pozostanie na długi czas stykiem płyt tektonicznych odmiennych cywilizacji, kultur i wartości, z całą gamą nieprzewidywalnych zagrożeń.

Wojna już się toczy – w cyberprzestrzeni.

– I będzie się toczyła. I możemy się czuć zaniepokojeni, bo realizacja polityki zagranicznej Federacji Rosyjskiej odbywa się przy użyciu narzędzi militarnych. Była Gruzja, jest Ukraina, w perspektywie średnioterminowej nie wykluczam aneksji Białorusi. Ale Polsce, póki pozostaje w NATO i Unii Europejskiej, nie grożą rosyjskie czołgi. Musimy więc powalczyć o naszą wiarygodność w obu organizacjach i konsekwentnie budować własny potencjał. Ze świadomością, że każdy zaniechany rok w modernizacji to cztery-pięć lat odrabiania zaległości. Pamiętam 2008 r. i kryzys skutkujący obciążeniem wydatków obronnych o kilka miliardów złotych. Parę lat trwało, nim udało się wrócić na właściwe tory.

Planowane zwiększenie wydatków na wojsko z 2 do 2,5% PKB ma w tym kontekście znaczenie?

– Nie ma najmniejszego. Ważna jest ciągłość modernizacji, pewność środków finansowych i planowanie właściwe do potrzeb. I niech politycy zdecydują o priorytetach, ale, na miłość boską, niech nie zastępują struktur wojskowych w planowaniu. Bo nic



W mojej ocenie szef NATO zażądał, żeby Antoni Macierewicz został usunięty. I Macierewicz polecał.

jednego zamiaru wspólnie, jednoosobowość to hierarchiczność dowodzenia. A myśmy to zburzyli i teraz się dziwimy, że na światło dzienne wychodzą takie kwiatki.

Potencjał obronny państwa składa się z sił zbrojnych, dyplomacji, przemysłu obronnego i służb. Może chociaż te ostatnie są coś warte?

– Proszę sobie przypomnieć 6 maja 2016 r. Minister obrony zabiera głos z trybuny sejmowej i mówi o dokumencie ściśle tajnym. Sam fakt istnienia takiego dokumentu jest ściśle tajny, a on opowiadał o jego treści. Omawiał proces modernizacji, oczywiście w typowej dla siebie, oskarżycielskiej retoryce. I nie spotkały go żadne konsekwencje. Bo służby już wtedy nie istniały. Wojskowy wywiad i kontrwywiad zajmowały się wyłącznie katastrofą smoleńską. Poszukiwaniem śladów wybuchu i innych rzekomych niegodziwości. Patrząc na to, jak dziś rozgrywiają

Poza nami samymi kto jest dla nas największym zagrożeniem?

– Przesada w mówieniu o wymagowanym zagrożeniu sprzyja paranoi. Dlatego apeluję, by powściągać się w opowieściach o czyhających na nas Rosjanach. Długoterminowo to

Jakość elementów uzbrojenia wykonywanych przez nasz przemysł obronny jest mierna.

nie Putin jest naszym zmartwieniem, ale to, co po nim nastąpi. Musimy mieć świadomość, że jeśli w Rosji dojdzie do jakiejś rewolucji – a z historii wiemy, że to możliwy scenariusz – będziemy mieć na granicach Polski realne zagrożenie militarne, miliony uchodźców. Trzeba się do tego przygotować, podobnie jak to robiliśmy w początkowej fazie konfliktu na Ukrainie. Na flance wschodniej to niestabilność systemów politycznych

dobrego z tego nie wychodzi. Zbudowaliśmy obronę terytorialną, która nigdy nie będzie gotowa do przerzutu, bo taka jest jej istota. Tyle że w tym celu ogołociliśmy jednostki operacyjne z kadry, obniżając ich zdolności ekspedycyjne. Sojusznicy to widzą i dają do zrozumienia, że nie chcą już za Polskę umierać. Bo Polska pokazuje, że nie chce umierać za innych.

Marcin Ogdowski
m.ogdowski@tygodnikprzeгляд.pl

Jaki prezydent, taki pociąg

Końskie po roku od debaty prezydenckiej Andrzeja Dudy z Andrzejem Dudą



Z szumnego podpisywania programu Kolej+ Końskie nic dzisiaj nie mają.

Ewa Smolińska-Borecka

Park jest ogromny. Większy od warszawskiego Ogrodu Saskiego. Założył go ponad 200 lat temu kanclerz wielki koronny Jan Małachowski. Park powstał nieopodal rynku, który zawsze był centrum miasta, od kiedy Końskie stały się miastem. A nastąpiło to w 1748 r. Raz do Końskich przybył król Stanisław August Poniatowski i musiał być bardzo zadowolony, wracając z Ukrainy, a więc wcale nie było mu po drodze. W ubiegłym roku zaś dwukrotnie miasto odwiedził prezydent Andrzej Duda. Ale nie z ciekawości, tylko na potrzeby reelekcji.

6 lipca ub.r. właśnie w Końskich odbyła się debata prezydencka Andrzeja Dudy przed drugą turą wyborów. Debatował sam ze sobą, bo dwaj kandydaci nie mogli się dogadać. Za chwilę rocznica. Jak konecczanki i konecczanie oceniają miniony rok? Czy dokonali dobrego wyboru prezydenta? W gminie Końskie w pierwszej turze na Andrzeja Dudę głosowało 54,01% wyborców. Gdyby w innych gminach sytuacja była podobna, druga tura byłaby niepotrzebna.

W drugiej turze też wygrał tu prezydent Duda, i to z lepszym wynikiem niż wcześniej – 61,34%. Choć trzeba powiedzieć, że mieszkańcy gminy Końskie nie w pełni poddali się jego urokowi, bo w powiecie koneckim właśnie w tej gminie prezydent miał najgorszy wynik. Najlepiej przysłużyły się mu gminy Radoszyce i Fałków, gdzie zdobył ponad 80%.

W Miejskim Parku im. Małachowskich miły chłodek. Nie ma tłoku, ale na jednej z ławek ścisk niemiłosierny. Dwie panie i czterech panów. Nie żadne nastolatki, wszyscy w wieku – na oko – co najmniej 75 lat. Jak wynika z danych demograficznych, w Końskich osób w tym wieku nie jest zbyt dużo: na 18 975 mieszkańców jedynie ok. 1,7 tys. Dygam przed szóstką na ławce. Mówię o rocznicy debaty i że chciałabym się dowiedzieć, czy są zadowoleni z wyboru prezydenta Dudy w ich gminie. Milczą. W końcu przemawiają panie. Odsyłają mnie do pobliskiej restauracji. Czy mam szukać wśród klientów lokalu, czy raczej wśród amatorów piwka spożywanego na ławce? Ani w ogródku restauracji, ani w jej pobliżu nie udaje się znaleźć rozmówców. Już wiem, że w tym mieście nie będzie łatwo.

Różny punkt widzenia

Urząd Miasta i Gminy Końskie zajmuje prawe skrzydło pałacu kanclerza wielkiego koronnego, którego centralna część nigdy nie powstała. Skrzydło świeżo wyremontowane, lśni czystą elewacją. Między nim a jego lustrzanym odbiciem tryska kilkanaście strumieni fontanny – to najmodniejszy sposób ustrajania miast, więc w Końskich też być musi. W mieście czwartą kadencję, z przerwą w latach 2010-2014, rządzi burmistrz Krzysztof Obratański. Wystawił go KWW Samorządni Ziemi Koneckiej Krzysztof Obratański, który w ostatnich wyborach samorządowych wprowadził do rady miejskiej siedmiu radnych, PiS ma sześciu, a po czterech mają SLD Lewica Razem i KWW Porozumienie Samorządowe TKN. Żadna siła nie ma większości. Był więc pomysł, żeby stworzyć koalicję PiS i SLD Lewica Razem. Ale – jak twierdzi wiceprzewodnicząca rady Regina Maciejczyk reprezentująca partię lewicową – ona i jej koledzy sprzeciwili się temu. Chociaż właśnie taka egzotyczna koalicja powstała w Radzie Powiatu Koneckiego.

► Zastępca burmistrza Krzysztof Jasiński pamięta, że Samorządni Ziemi Koneckiej wywodzą się z Komitetów Obywatelskich Solidarność. Od początku lat 90. właśnie ta siła najczęściej rządziła w gminie. PiS czy któraś z jego poprzedniczek nigdy. Skąd więc miłość mieszkańców gminy do kandydata na prezydenta wywodzącego się z PiS, trudno powiedzieć. Zastępca burmistrza zastrzega się: – Debata prezydencka odbyła się nie za naszą aprobatą. To spółka wynajęła halę sportową Telewizji Polskiej. Władze samorządowe nie miały w tym udziału.

Ale nie dodaje, że to spółka miejska. – Jako zarząd miasta i gminy byliśmy biernymi uczestnikami działań – wyjaśnia Jasiński. – Nawet nie zostaliśmy zaproszeni na debatę.



Przed budynkiem Urzędu Miasta i Gminy Końskie obowiązkowa fontanna.

Ktoś z TVP zadzwonił do burmistrza z prośbą, by zgodził się na zorganizowanie studia telewizyjnego na placu Kościuszki przed kościołem. Potem burmistrz został zaproszony do tego studia na rozmowę polityczną.

Niezrażony brakiem zaproszenia na debatę burmistrz był dumny z tego, że odbywa się ona właśnie w jego mieście, bo przez kilka godzin Końskie będzie stolicą Polski. I sprawdziło się niegdyś stwierdzenie Grzegorza Schetyny, że wyborów nie wygrywa się w Wilanowie, tylko w Końskich. Czy mieszkańcy są zadowoleni, że takiego wyboru dokonali? – Ci, którzy głosowali na prezydenta Dudę, akceptowali jego program – mówi wiceburmistrz Jasiński. – Na wynik wyborów przełożyło się to, że znaczna część wyborców jest w wieku 55+. W poprzednich

wyborach Andrzej Duda także miał w naszej gminie większe poparcie niż Bronisław Komorowski. Platforma Obywatelska miała duże poparcie w latach 2010-2014. Przyjeżdżali do nas wojewódzcy radni PO oraz Grzegorz Schetyna i inni posłowie, ale ich deklaracje nie przełożyły się na pomoc dla miasta. Tymczasem w ubiegłym roku pozyskaliśmy z urzędu marszałkowskiego ponad 50 mln zł. Czy miał na to wpływ pan prezydent? Być może on stwarza taki mechanizm, który nakłania rządzących, by środki kierowali do gmin.

Radni miejscy w zależności od opcji, którą reprezentują, są bardziej lub mniej entuzjastycznie nastawieni do wybranego przed rokiem prezydenta. Przewodniczący rady Piotr Słoka (PiS) oczywiście widzi same plusy:

o dotacje były dobrze przygotowane. A to zasługa burmistrza i jego ludzi. Ale bez wątpienia istotne jest, że prezydent i rząd to jeden obóz polityczny.

Andrzej Nowak jest radnym z ramienia KWW Samorządni Ziemi Koneckiej Krzysztof Obratański. – Ciężko powiedzieć, co by było, gdyby Andrzej Duda nie wygrał – mówi. – Jest, jak jest, i chyba nikt nie narzeka. W każdym razie gmina się rozwija i wszystko idzie w dobrym kierunku.

Odmiennej zdania jest radna lewicowa. – Szkoda gadać, nic praktycznie się nie zmieniło – uważa wiceprzewodnicząca Regina Maciejczyk. – Dla mnie źle się stało, że wygrał prezydent Duda. Nie jest tak, jak być powinno. Pan prezydent był aktywny podczas kampanii wyborczej, a teraz praktycznie go nie ma. Za co go chwalić? Za 500+? Ale jest coraz gorzej, my się uwsteczniamy. A co na to mieszkańcy? Jednym się podoba, drudzy są zbulwersowani. Jak pan prezydent był w marcu ub.r., to powiedział, że w Końskich będzie pociąg. Ludzie się ucieszyli, myśleli, że zaraz się pojawi. A tu ponad rok minął i nic.

Pociąg widmo

Z tym pociągiem było tak. Linia kolejowa Koluszki-Ostrowiec, która przebiegała przez Końskie, powstała w 1885 r. i funkcjonowała ponad sto lat. 1 sierpnia 2009 r. przez Końskie przestały jeździć pociągi pasażerskie. Jedynie czasem przejeżdżie towarowy. Dworzec, który jest w rejestrze zabytków, trwa, lecz okna i drzwi ma zabite dyktą. Szyny są zardzewiałe. Plac przed dworcem, na który kiedyś podjeżdżały dziesiątki pociągów, opustoszał. Kupił go jakiś prywatny kontrahent.

9 stycznia ub.r. Sejm przegłosował nowelizację ustawy o transporcie kolejowym. Dzięki tej noweli miał być wprowadzony Program Uzupełniania Lokalnej i Regionalnej Infrastruktury Kolejowej – Kolej+. Chodzi w nim o to, by niektóre miejscowości powyżej 10 tys. mieszkańców, wykluczone komunikacyjnie z powodu braku kolei, na powrót w tę kolej zaopatrzyć. W kampanii prezydenckiej każda obietnica była na wagę złota. Stąd pomysł sztabowców prezydenta Dudy, a może nawet jego samego, by do worka z obietnicami dorzucić kolej.



Teraz miasto i gmina to jedna wielka budowa.

Nie wiadomo skąd pojawił się pomysł, by prezydent podpisać nowelizację ustawy na stacji w Końskich. Miejscowe władze zadbały o zainstalowanie na niej nowych tablic z nazwą miejscowości. Na peronie pojawiły się stolik przypominający szkolną ławkę, krzesło biurowe wyściełane i długopis. Przed stacją zaś zgromadził się tłum ludzi, którzy chcieli na własne uszy usłyszeć, co Andrzej Duda koniecznankom i konieczzankom obieca. Prezydent podpisał dokument i powiedział: – Rusza program Kolej+, także tutaj, w Końskich. Cieszę się, że jesteśmy w województwie świętokrzyskim i właśnie tutaj czynimy pierwsze kroki, aby wykluczenie komunikacyjne tego miasta wymazać raz na zawsze z mapy, rysując na powrót linię kolejową.

Czy ta obietnica wpłynęła na wynik wyborów? Można powiedzieć, że tak. No bo mógł nie podpisać noweli, a jednak podpisał. A skoro zrobił to w Końskich, kolej jest tu pewna jak amen w pacierzu. Nikt nie starał się studzić entuzjazmu, uświadamiać, że program obejmuje realizację do 2028 r., więc to nie będzie jakaś ekspresowa inwestycja. Po drugie – samorządy muszą sfinansować co

najmniej 15% kosztów. A po trzecie – samorządy muszą składać wnioski o realizację, z których jedynie część przejdzie do drugiego etapu.

W województwie świętokrzyskim pozytywnie oceniono dwa wnioski, w tym ten dotyczący zmodernizowania torowiska i zelektryfikowania linii kolejowej przebiegającej przez Końskie. Pod koniec grudnia ub.r. okazało się jednak, że w ramach programu Kolej+ do roku 2025 powstanie zaledwie dokumentacja. Przebudowa rozpocznie się jeszcze później i będzie kosztować prawdopodobnie ponad 1 mld zł, czyli samorządowcy musieliby wyłożyć na dokumentację i prace remontowe ponad 150 mln zł.

Mieszkańcy Końskich nie kryją rozczalenia, że pociągu jak nie było, tak nie ma. – Jaki prezydent, taki pociąg – stwierdza mężczyzna na jednym z osiedli. Tematem żartów stało się miejsce pamięci marcowej wizyty

prezydenta Dudy. Ławka (z której drwiła opozycja, że jest jak ośła ławka w szkole), krzesło i długopis zostały wystawione w starostwie. Kobieta spotkana w pobliżu hali sportowej, w której odbyła się debata prezydencka, szczerze chichocze, kiedy opowiada o tej wystawie i o tym, że... ktoś skradł długopis. W starostwie słyszę: – Na ten moment ekspozycji nie ma i raczej nie będzie.

Świeży powiew

Czy istotnie debata w Końskich mogła prezydentowi wygrać? Nie ma na to dowodu. Choć niektórzy wspominają ją niezbyt miło, bo sądzili, że skoro pytania mają zadawać mieszkańcy, to znaczy, że każdy chętny. Tymczasem do miasta przywieziono 30 starannie wybranych osób, które zasiadły na widowni, a zwykli ludzie tłoczyli się przed wejściem.

Głosowanie odbyło się 12 lipca ub.r. W gminie wytyczono 25 obwodów – 12 w samym mieście, 11 w 40 sołectwach gminy, dwa specjalne w szpitalu i DPS. Nie wszędzie wygrał Andrzej Duda. W dwóch miejskich obwodach przegrał. Wszystkie osoby, z którymi rozmawiam, są tym zaskoczone. Helena Obara, przewodnicząca Delegatury Zarządu Regionu Świętokrzyskiego NSZZ Solidarność, kiedy pytam, z czego wynika zwycięstwo Trzaskowskiego w dwóch obwodach, najpierw w to nie wierzy, a potem przekonuje, że takie analizy nie są nikomu potrzebne: – Ludzie mają prawo głosować, na kogo chcą, o to przecież walczyliśmy.

Fakty są takie: obwód nr 5 – na Andrzeja Dudę głosowało 49,10% wyborców, obwód nr 8 – 49,65%. Czyli

zwycięstwo Trzaskowskiego o włos, ale zawsze. Co to za obwody, które wyłamały się z gminnej i powiatowej tendencji? Piątka to – jak mówią miejscowi – „osiedla nowobogackich, domy jednorodzinne, bliźniaki, szeregowce, młodzi ludzie, którzy poszli za Trzaskowskim jak za kolegą, przybysze, którzy przeprowadzili się z innych miejscowości”. Ósemka – osiedla spółdzielcze oraz nowe domy jednorodzinne i szeregowce. Do tej pory ▶



Z programu Komunikacja+ Końskie zakupiło busy kursujące do miejscowości, które były wykluczone komunikacyjnie.

► przewagę miały tu siły prawicowe. Co się stało tym razem – Obara nie wie.

Na szczęście dla prezydenta Dudy miejskie wyniki podciągnięte zostały w sołectwach. W 11 podmiejskich okręgach najgorszy wynik Andrzeja Dudy wynosił 55,81% (okręg nr 17, sołectwa: Górny Młyn, Koczwarą, Piła, Pomyków). Najlepsze wyniki w sołectwach to 83,19% (okręg nr 20, sołectwa: Bedlenko, Bedlno, Przybyszowy, Sworzyce, Trzemoszna).

Śpieszę się

Ludzie w Końskich reagują różnie, kiedy pytam o ocenę prezydenta. Najczęściej przyspieszają kroku i machają ręką na „nie”. Młoda kobieta z dzieckiem w wózku stwierdza tylko. – Nie głosowałam na prezydenta Dudę, nie jestem zadowolona, że wygrał. Senior z osiedla willowego jest wystraszony. Mówi, żeby przyjść, jak będzie syn.

Na osiedlu spółdzielczym mężczyzna pilnujący małych dzieci wyraża się o prezydencie Dudzie krytycznie. Jego matka przekonuje, że skoro Duda został wybrany, to należy mu się szacunek. Na osiedlu szeregowców młody mężczyzna przyznaje się, że w pierwszej turze nie głosował na Dudę, ale w drugiej – tak. I uważa, że PiS zbyt mało uwagi poświęca ludziom w jego wieku, bo np. ci do 26 lat są zwolnieni z podatku, a jego rówieśnicy, 30-latkowie, już nie

Dlaczego w gminie Końskie poparcie dla prezydenta Dudy było tak

wysokie? Helena Obara ma na to odpowiedź: – Pamiętam Końskie z lat 80. To był znaczący ośrodek przemysłowy. Tu funkcjonowały m.in. Koneckie Zakłady Odlewnicze, Zakłady Metalurgiczne Przemysłu Motoryzacyjnego Polmo, Zakłady Metalurgiczne Zamtał, Fabryka Urządzeń Odpylających i Wentylacyjnych Kowent, wiele spółdzielni. Zatrudniały nawet po kilka tysięcy pracowników. Ludzi przewoziły autokary zakładowe z różnych miejscowości gminy. Zakłady pracowały nawet na trzy zmiany. Lata 90. przyniosły pogrom tych zakładów. Były przekształcane, sprzedawane za grosze, likwidowane.

Wtedy w Końskich bezrobocie dochodziło do 30% i należało do najwyższych w kraju. – Dotknęło chyba każdą rodzinę – uważa Obara. – Ludzie nie mieli z czego żyć. Dopiero z czasem zaczęły powstawać firmy prywatne i sytuacja na rynku pracy się poprawiła. Ale nadal w powiecie koneckim bezrobocie wynosi ok. 13%, czyli bez pracy jest 3,7 tys. osób. Nie ma co się dziwić, że ludzie, którzy przeżyli upadek przemysłu, teraz się boją. Dla nich bezpieczeństwo społeczne jest bardzo ważne. Trudno mówić, czy wybór Andrzeja Dudy na prezydenta był dobry, czy nie. Ale warunki bytowe się poprawiły.

Podpisuje

Okręg nr 20. Sołectwa Bedlenko, Bedlno, Przybyszowy, Sworzyce.

W sumie 1183 osoby uprawnione do głosowania. Bedlenko leży najbliżej Końskich. Ludzie nie są skorzy do rozmowy. Nawet sołtys Gustaw Słowik wykręca się, że akurat maluje coś w obejściu i nie ma czasu. Zresztą nawet gdyby miał, i tak by nie rozmawiał. Pracuje w miejskiej spółce, więc musi uważać na każde słowo. Może co najwyżej powiedzieć, że jego sołectwo ma problemy ze zrobieniem kawałka drogi, bo fundusz sołecki jest nieduży. Odsyła do Marzeny Wychowaniec, sołtys sołectwa Bedlno.

U pani sołtys właśnie sianokosy. Marzena Wychowaniec z wykształcenia jest pielęgniarką. Ale kiedy ona i mąż przejęli gospodarstwo po teściach, trzeba było z pielęgniarstwa zrezygnować. Pracuje też w pobliskiej fabryce płytek, żeby podreperować budżet domowy. – Ludzie u nas się buntują, bo drogi nie są najlepsze – wyjaśnia. – Mówią, że u nas biznes kwitnie, ale pieniędzy nie ma, a dotacje dla wsi są mniejsze niż dla miasta. A przecież w sołectwie jest i farma fotowoltaiczna, i trzy fabryki ceramiki, zakład produkcji szamotu i rusztowań, zakłady drzewne. A dlaczego takie wysokie poparcie u nas było? Nie dziwię się. Wszystko, co do tej pory pan prezydent obiecał, się spełniło. Na przykład 500+. Można powiedzieć: jaka tu zasługa prezydenta, skoro to rząd realizuje. Chwileczkę, ale to przecież pan prezydent ustawy podpisuje.

Ewa Smolińska-Borecka
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

To ma sens!

PRZEGLĄD w bibliotekach

Drodzy Czytelnicy,

dzięki Waszym wpłatom PRZEGLĄD otrzymuje w tym roku **77 bibliotek i czytelników**. Z dotychczasowych darowizn zbieraliśmy środki na przedłużenie prenumerat dla 35 placówek. Niestety, to nadal za mało. Staramy się pomóc każdej bibliotece, która o to prosi, ale bez Waszego wsparcia nam się nie uda. Każda wpłata oznacza kolejną grupę, która może czytać PRZEGLĄD w bibliotece. Dla wielu starszych sympatyków naszego tygodnika to jedyna szansa na lekturę.



Wszystkich zainteresowanych pomaganiem prosimy o wpłaty z dopiskiem „Biblioteka”.

Fundacja Oratio Recta

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Pełna lista ponad stu obdarowanych bibliotek do sprawdzenia na www.tygodnikprzeglad.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Ogień w Nowej Białej

19 czerwca wieczorem w Nowej Białej wybuchł pożar. Płonęła niemal cała wieś. Przez noc z soboty na niedzielę ponad 400 strażaków z państwowej i ochotniczych straży pożarnych z kilku powiatów walczyło z ogniem. Akcję ubezpieczało ok. 100 policjantów. Żywiół zniszczył 25 budynków mieszkalnych i ponad 50 gospodarczych. Był to największy od lat pożar w Małopolsce.

Pokazywały go wszystkie stacje telewizyjne, opisywały gazety. Na miejsce przyjechał premier Morawiecki. Ludzie z sąsiednich wiosek, a nawet z odległych stron Polski, pośpieszyli z pomocą pogorzelcom. Pośpieszyła z pomocą Słowacja. Nawet abp Jędraszewski przybył do Nowej Białej, odprawił tam mszę, a w kazaniu, które wygłosił, po raz pierwszy nie było nic o gender czy tęczowej zaradzie. Porzucił na chwilę swoje ulubione tematy i mówił – aż trudno uwierzyć – o ludzkiej solidarności.

Dotąd o Nowej Białej mało kto w Polsce słyszał. Nowa Biała to wieś na polskim Spiszu, z większością ludności słowackiej. O typowej dla Spiszu, niespotykanej nigdzie więcej w Polsce zabudowie, wyraźnie różnej od zabudowy wsi podhalańskich. Nawiasem mówiąc, pan premier, podobno historyk z wykształcenia, będąc w Nowej Białej, i tak był przekonany, że jest na Podhalu, co kilkakrotnie powtórzył.

Ta tradycyjna zabudowa wygląda tak, że domy mieszkalne zwrócone są frontem do drogi, pomiędzy domami są wielkie, drewniane bramy, przez które wjeżdża się na małe podwórze, obudowane w czworobok, zamknięte zbudowaną równolegle do domu stajnią. Budynki stajni, też w zabudowie szeregowej, stykają się ścianami bocznymi. Za nimi jest większe podwórko czy też ogródek, całość zamknięta, opasana stojącymi szeregowo stodołami. Wieś jest zwarta, z lotu ptaka robi wrażenie fortecy. O ile większość domów jest już murowana, o tyle stajnie i stodoły są drewniane, kryte gontem lub dranicą. Budynki gospodarcze mają pod okapami dachu charakterystyczne galeryjki, ułatwiające załadunek siana.

Ten układ urbanistyczny, który tak sprzyja rozprzestrzenieniu się ognia, wynika – o ironio – z obowiązujących tu dawnych węgierskich przepisów... przeciwpożarowych. Być może kiedyś stodoły płonęły częściej niż domostwa i dlatego kazano je budować w pewnym oddaleniu.

Obawiam się, że w emocjach po tragedii ten arcyciekawy zabytkowy układ urbanistyczny zostanie przy odbudowie wsi zniszczony. A może dałoby się go utrzymać, wprowadzając jakieś inne zabezpieczenia przed rozprzestrzenieniem się ognia? Tu już muszą wypowiedzieć się specjaliści, no i sami zainteresowani. To oni muszą zdecydować, czy jest jakiś kompromis

między zachowaniem dziedzictwa kulturowego a zapewnieniem sobie bezpieczeństwa przeciwpożarowego.

Jeśli premier Morawiecki, udając się do Nowej Białej, nie dowiedział się, że leży ona na Spiszu, a nie na Podhalu, tym bardziej zapewne nie dowiedział się, że tę wieś ciężko doświadczył nie tylko ogień, ale także jego i jego obozu politycznego ulubiony bohater, „żołnierz wyklęty” „Ogień”. A było to wiosną 1946 r. Te odwiedzin i zamordowanych przez „Ognia” Słowaków, mieszkańców wsi, upamiętnia niewielki pomnik. Wątpię jednak, czy pan premier miał czas złożyć tam kwiaty. Był bowiem zajęty ofiarami innego ognia. Poza tym czy zamordowani przez patriotę, stawianego młodzieży za wzór cnót Józefa Kurasia „Ognia” zasługują nie tylko na kwiaty, ale w ogóle na uwagę pana premiera? Co innego żołnierze Brygady Świętokrzyskiej NSZ, którzy co prawda jawnie kolaborowali z Niemcami, nie uznawali rządu londyńskiego ani zwierzchnictwa AK, mordowali Żydów, za to byli antykomunistyczni i zwalczyli w bratobójczych walkach partyzantkę komunistyczną. Im na grobach – budząc zdumienie – pan premier składał wieńce.

A może będąc w Nowej Białej i rozmawiając z miejscową ludnością, albo z przedstawicielami władz słowackich, które śpieszą pogorzelcom z pomocą, dowiedział się, że słowacki odpowiednik naszego IPN uważa „Ognia” za ludobójcę i prowadzi w jego sprawie śledztwo, a polski IPN odmawia współpracy?

Czy pan premier, jak wspominałem, podobno historyk z wykształcenia, wierzy, że istnieją wyłącznie te fakty historyczne, które opisują nadworni historycy, a czego oni nie napiszą, to nie istnieje? Trzeba więc pisać historię na nowo i tej

napisanej na nowo uczyć dzieci w szkole?

Jeśli pan premier tak myśli, to się myli. Byli już tacy przed nim, którzy myśleli podobnie. Dość przypomnieć jeden przykład. W PRL przy pomocy wszechwładnej cenzury i całej zgrai nadwornych historyków próbowano np. wykreślić z historii Polski Piłsudskiego i jego Legiony. Albo wpisać do niej Moczara i jego partyzantów. Jak widać, z bardzo marnym skutkiem.

Wracając do Nowej Białej i jej mieszkańców dotkniętych tragedią, mieszkańców wsi, którzy doznali cierpień od ognia i „Ognia”, mam nadzieję, że z pomocą wielu ludzi dobrej woli, instytucji państwowych i społecznych, ale przede wszystkim własną pracowitością i uporem, odbudują swoją wieś. Małą ojczyznę, w której spokojnie będą mogli pielęgnować swoje dziedzictwo i tradycję. A żaden ogień, obojętny, czy pisany małą literą, czy wielką, już żadnej krzywdy im nie wyrządzi.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Wpuszczeni w rurę

Nord Stream 2 – o czym nie chciały wiedzieć kolejne polskie rządy

Marek Czarkowski

Portal Axios oraz sieć CNN podały 18 maja br., że prezydent Joe Biden zrezygnował z nałożenia nowych sankcji na spółkę Nord Stream 2 AG z siedzibą w Zug w Szwajcarii oraz jej niemieckiego dyrektora Matthiasa Warninga, byłego agenta STASI i dobrego znajomego prezydenta Władimira Putina. Niemcy przekonali swoich partnerów, że budowa gazociągu Nord Stream 2 zostanie dokończona, mimo że nie podoba się to Amerykanom.

Ze strony polskiej nie było oficjalnej reakcji. Jedynie minister spraw zagranicznych Zbigniew Rau w wywiadzie udzielonym „Rzeczpospolitej” przyznał, że o wszystkim dowiedział się z mediów. Oraz że Amerykanie nie konsultowali się

z bohaterów obrony Sewastopola w wojnie krymskiej, kurlandzki Niemiec, gen. Eduard Tottleben, jak przystało na rosyjskiego oficera, zmarł w uzdrowisku Bad Soden am Taunus w Hesji. Całe pokolenia von Bencendorffów, Nesselrodów, Ostermannów i Rennenkampfów wiernie służyły imperium carów jako generałowie, ministrowie i gubernatorzy.

W Moskwie pamiętają, jak pod koniec lat 50. XX w., w szczycie zimnej wojny, kanclerz Konrad Adenauer zaproponował Chruszczowowi umowę, na mocy której zachodni Niemcy firmy wzięły udział w budowie rurociągu Przyjaźń, dostarczającego ropę naftową z Almietjewska w Tatarstanie do leżącego na terenie NRD Lipska. Kanclerz uznał, że radziecka ropa naftowa jest niezbędna do przyspieszenia rozwoju gospodarczego Niemiec.

wspieraniu Izraelczycy wygrali. W odwecie kraje arabskie wprowadziły embargo na dostawy ropy naftowej do Stanów Zjednoczonych, Holandii i kilku innych państw europejskich. Cena baryłki ropy wzrosła z 2 dol. do 35 dol. Zachodnie gospodarki z dnia na dzień pograżyły się w kryzysie. Rządy w Paryżu, Rzymie, Brukseli i Bonn bardziej od radzieckich czołgów zaczęły obawiać się arabskich szejków, którzy jedną decyzją mogli zdemolować gospodarki ich krajów.

W 1974 r. Francuzi i Niemcy podjęli rozmowy z Moskwą o budowie nowych gazociągów. Umowę zawarli z poprzednikiem Gazpromu, powstała rok wcześniej firma Sojuzgazexport. Zachód pokrył koszty budowy, a także dostarczył rury i nowoczesne technologie. Spłata zobowiązań miała nastąpić w formie darmowych dostaw surowca.

Europa dokonała świadomego wyboru – na dekady uzależniła swój przemysł od syberyjskiego gazu. Opinii publicznej przedstawiono to jako praktyczną realizację doktryny de Gaulle’a – Europa od Atlantyku po Ural.

Kluczową kwestią był wybór tras planowanych sieci przesyłowych. Budowa dłuższego o 1000 km gazociągu to nie tylko dodatkowy, liczony w miliardach dolarów koszt, ale także konieczność rozwiązania piętrzących się problemów technologicznych. To również ważna kwestia polityczna.

Najkrótsza trasa łącząca Syberię z Niemcami biegnie przez Polskę. Latem 1975 r. uwielbiany przez nas Zachód i pogardzany Wschód zdecydowały się jednak na dłuższą o 900 km, a więc i droższą trasę okrężną przez Ukrainę. Francuscy oficjele pytani przez dziennikarzy, dlaczego tak się stało, z rozbrajającą szczerością odpowiadali: „Bo Polska to nie pewny partner”. Ekipa Gierka nie protestowała. Nasze firmy w latach 1975-1979 wzięły nawet udział w budowie gazociągu nazwanego później Orenburskim.

Nasze starcie z Rosją i Niemcami o Nord Stream 2 od początku było przegrane.

z nami. Rytualnie dostało się Niemcom, które zdaniem Raua „w sprawie Nord Stream 2 poświęciły wartości i interesy bezpieczeństwa wolnego świata dla współpracy z Rosją, która prowadzi politykę agresji”. Innymi słowy, Rau obnażył pełną bezsilność polskiej dyplomacji. To żadna nowość. Nord Stream 2 i amerykańskie sankcje są kolejną odstoną dawnej rywalizacji między Związkiem Radzieckim a USA.

Biznes musi się kręcić

Polski rząd zapomniał, że Niemcy od wieków prowadzą z Rosją swoją grę. W roku 1945 „bojcy” Armii Czerwonej przypomnieli im radę kanclerza Ottona von Bismarcka – „Niemcy nigdy nie powinny dążyć do wojny z Rosją”. Dziś elity polityczne i kulturalne obu krajów woła podkreślać, że Katarzyna II Wielka to urodzona 2 maja 1729 r. w Szczecinie księżniczka Zofia Fryderyka Augusta von Anhalt-Zerbst. A jeden

Radzieccy przywódcy wysoko ocenili gest Adenauera. Niemieckie koncerny w latach 60., 70., i 80. XX w. były głównymi dostawcami rur oraz wyposażenia używanego do budowy ropociągów i gazociągów łączących ZSRR z Europą Zachodnią. Jako pierwsza w 1968 r. kontrakt na dostawy gazu podpisała Austria. Zapewniał je świeżo wybudowany gazociąg Bratertstwo, łączący syberyjskie złoża z Europą. Potem dołączyły RFN i Włochy, a w roku 1970 Francja.

Prezydent Nixon naciskał Paryż i Bonn, by powstrzymały się przed robieniem interesów z Kremlem. Bezskutecznie. Europejczycy wiedzieli, że jeśli ich kraje mają się rozwijać, potrzebują taniego radzieckiego gazu. Lecz by zabezpieczyć dostawy, trzeba położyć tysiące kilometrów rur. Dziś jest podobnie, o czym polski rząd powinien wiedzieć.

W 1973 r. wybuchła wojna Jom Kippur. Egipt i Syria zaatakowały Izrael, lecz dzięki amerykańskiemu

Budowę Nord Stream 2 rozpoczęto w 2018 r. w Greifswaldzie.



Zaniepokojeni Amerykanie położyli na stół alternatywne rozwiązanie. Prezydent Gerald Ford zaproponował europejskim sojusznikom w NATO dostawę amerykańskiego gazu ziemnego. W 1975 r. polskie stocznie otrzymały z USA zamówienie na budowę serii gazowców do transportu płynnego „błękitnego paliwa” drogą morską. Lecz Paryż i Bonn wołały robić interesy z Kremlen. Gazociąg Orenburski został oddany do użytku w roku 1979. Polacy zbudowali kilka nowoczesnych gazowców, a gdy w 1980 r. na Wybrzeżu wybuchły strajki, temat się rozmył.

W roku 1979 Europa Zachodnia przeżyła kolejny szok naftowy. Po rewolucji islamskiej rządony dotąd przez szacha Rezę Pahlawiego Iran, dostarczający Zachodowi ropę i gaz, stał się Islamską Republiką. Paryż, Londyn i Berlin musiały szybko dogadać się z Moskwą w sprawie budowy kolejnego gazociągu – Urengoj-Pomary-Użhorod. O wytyczeniu trasy przez Polskę nie było mowy. W sierpniu 1980 r. rozpoczął się u nas festiwal Solidarności.

Inwestycję chciał zablokować prezydent Ronald Reagan. Po ogłoszeniu w Polsce stanu wojennego Stany Zjednoczone wprowadziły embargo

zakazujące amerykańskim firmom eksportu do ZSRR technologii niezbędnych do budowy i eksploatacji rurociągów naftowych i gazowych. W czerwcu 1982 r. zostało ono rozszerzone na filie firm amerykańskich działające poza granicami USA. Rządy Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii ostro zaprotestowały. Z ich perspektywy tani radziecki gaz oznaczał szansę na szybszy wzrost gospodarczy i uniezależnienie się od dostaw z Zatok Perskiej. Doszło do poważnego kryzysu w relacjach atlantyckich. Pod naciskiem premier Margaret Thatcher i prezydenta Francji François Mitterranda Reagan zniósł embargo i budowa gazociągu Urengoj-Pomary-Użhorod ruszyła pełną parą. Polski rząd powinien uważnie przestudiować ten przypadek. W latach 80. zeszłego wieku Związek Radziecki uważano za groźne supermocarstwo. Armia Radziecka walczyła w Afganistanie. W Polsce trwał stan wojenny. A radzieccy i amerykańscy generałowie celowali w siebie rakietami z głowicami jądrowymi. Nie przeszkodziło to Europie Zachodniej w robieniu interesów z Kremlen. W takich warunkach rodziło się wzajemne zaufanie, które owocuje dziś tym, że gazociąg Nord Stream 2 budowany

jest przez Moskwę i Berlin mimo sprzeciwu Waszyngtonu.

Między rosyjskim młotem a niemieckim kowadłem

W latach 90., po rozpadzie Związku Radzieckiego, rządy USA, Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii podjęły wysiłki, by zapewnić swoim narodowym koncernom dostęp do złóż ropy i gazu w Rosji oraz krajach Azji Środkowej. Od 1994 r. w Kazachstanie, Turkmenistanie i Azerbejdżanie działał zespół doradców pod kierownictwem Richarda Morningstara, który z błogosławieństwem prezydenta Clintona, za pomocą sutych „prowiźji”, starał się zyskać przychylną miejscowych rządzących.

Amerykanie wypadli z gry w sierpniu 1998 r., gdy potężny kryzys rozniósł rosyjską gospodarkę. O jego wywołanie kremlowskie elity oskarżyły Waszyngton. Schorowany Jelcyń oddał władzę młodemu byłemu oficerowi drezdeńskiej rezdyntury KGB, płk. Władimirowi Putinowi. W Moskwie amerykańskich doradców zastąpili niemieccy bankierzy, ekonomiści i politycy. Berlin zaproponował Rosji finansowe i polityczne wsparcie. Berlińska Fundacja

► na rzecz Nauki i Polityki, Niemieckie Towarzystwo Polityki Zagranicznej oraz Federalna Akademia Polityki Bezpieczeństwa zaczęły promować tezę o szczególnym znaczeniu Rosji dla przyszłości Niemiec. Głosiła ona, że „celem Rosji i Europejczyków powinna być praca nad nowym, wspólnym porządkiem świata”.

Kancelarz Gerhard Schröder przekonywał Władimira Putina: „Powinniśmy zintegrować Rosję z Europą na wszystkich płaszczyznach”. I bez mrugnienia okiem oferował warte miliardy dolarów kredyty. Współgrała

Załącznikiem do tego dokumentu była mapa z nakreślonym przebiegiem gazociągu po dnie Bałtyku. Dziś nazywa się on North Stream. Polski minister spraw zagranicznych powinien wiedzieć, że w roku 2000 rządy Niemiec i Francji oraz Komisja Europejska zgodziły się, by ominął on Polskę i Ukrainę.

Nasza dyplomacja ocknęła się wiosną 2005 r., gdy niemieckie koncerny dogrywały z Gazpromem szczegóły finansowania tej inwestycji. Płynące z Warszawy protesty i rytualne uwagi o nowym pakcie Ribbentrop-Mołotow potraktowano

tak by wyniosły one do 110 mld m sześć. rocznie. Potrzebny był kolejny gazociąg. Zajęta się tym mająca ten sam zarząd i tę samą radę nadzorczą, lecz w całości należąca do Gazpromu, spółka Nord Stream 2 AG.

W maju 2018 r. jego budowę rozpoczęto w Greifswaldzie. Polska i Ukraina zaprotestowały. W sprawę włączyli się Amerykanie, grożąc firmom budującym Nord Stream 2 sankcjami. Udało im się jedynie spowolnić tempo prac. Zajęcie Krymu, konflikt wokół Donbasu, zestrzelenie malezyjskiego Boeinga 777 nad obwodem donieckim, oskarżenia o próbę otrucia nowiczkim Siergieja Skripała i jego córki w Salisbury oraz zwalczanie rosyjskiej opozycji z Aleksiejem Nawalnym na czele nie wstrzymały tej inwestycji. Bo kiedy dwa kraje chcą coś zbudować na wodach międzynarodowych, nikt nie jest w stanie im tego zabronić. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi wielomiliardowe interesy.

Polscy i ukraińscy przywódcy twierdzą, że gazociąg zagraża bezpieczeństwu ich krajów. Lecz nikt ich nie słucha. Berlin wie, że Ukraina, będąca niemalże w stanie wojny z Rosją, rocznie na tranzycie syberyjskiego gazu zarabia od 3 do 4 mld dol. A spółki założone przez syna byłego zastępcy przewodniczącego Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy Olega Gładkowskiego dostarczały firmie Ukroboronprom po wybitnie zawyżonych cenach kupowane

To w roku 2000 rządy Niemiec i Francji oraz Komisja Europejska zgodziły się, by North Stream ominął Polskę i Ukrainę.

z tym polityka Komisji Europejskiej. 29 listopada 2000 r. Bruksela wydała „Zieloną Księgę – W kierunku europejskiej strategii dotyczącej bezpieczeństwa dostaw energii”.

Znalazła się w niej teza, że rezerwy ropy i gazu Unii i Norwegii wystarczą na 25 lat. Szacowano, że 60% gazu importowano z krajów arabskich, a jedynie 40% z Rosji. Niemieccy dyplomaci przekonywali, że rosyjskie i środkowoazjatyckie złoża „błękitnego paliwa” mają dla Unii strategiczne znaczenie. Warszawa nie miała nic do gadania. Byliśmy jeszcze poza tym ekskluzywnym klubem.

Berlin wiedział, że po kryzysie 1998 r. Rosja została bez rezerw walutowych i była skłonna zawrzeć kontrakty na warunkach korzystnych dla państw zachodnich. 30 października 2000 r. w Paryżu prezydent Jacques Chirac, przewodniczący Komisji Europejskiej Romano Prodi, szef unijnej dyplomacji Javier Solana oraz prezydent Rosji Władimir Putin, podpisali „Deklarację o strategicznym partnerstwie i współpracy krajów Unii z Federacją Rosyjską w dziedzinie energetyki”. Uzgodniono w niej podwojenie przez Zachód zakupów surowców w zamian za szacowane na 70 mld euro inwestycje w rosyjskim sektorze energetycznym.

Kilka tygodni później Bruksela nadała niemiecko-rosyjskiemu projektowi o nazwie Gazociąg Północnoeuropejski (North-European Gas Pipeline) status projektu TEN (Transeuropean Network), co otworzyło drogę do zaciągnięcia korzystnych kredytów.

jako gruby nietakt. Tak samo przyjęto propozycję premiera Marcinkiewicza z lutego 2006 r. zawarcia Europejskiego Paktu Bezpieczeństwa Energetycznego, który zakładał współpracę w zakresie budowy wspólnych magazyńców, tworzenia połączeń energetycznych, gazowych i naftowych itp. Berlin i Paryż uznały ją za skierowaną przeciw Kremlowi i nie podjęły tematu.

W roku 2005 koncerny Total, ConocoPhillips, Norsk Hydro, Statoil i Royal Dutch/Shell rozpoczęły negocjacje z Gazpromem o współudziale w eksploatacji szacowanego na 3,2 bln m sześć. gazu ziemnego złoża Sztokman na Morzu Barentsa.

W sprawie relacji z Rosją rząd niemiecki nigdy nie będzie się liczył ze zdaniem Warszawy.

Rok później, z okazji zorganizowanego w Sankt Petersburgu szczytu G8, zachodnia prasa pisała, że rezerwy walutowe Rosji przekroczyły 200 mld dol., a wkrótce osiągną 300 mld. W prezydencie Putinie widziano następcę cara Piotra Wielkiego. Z grupy G8 Rosja została wyrzucona po aneksji Krymu.

Budowę Gazociągu North Stream rozpoczęto 9 kwietnia 2010 r. Jego pierwsza nitka została oddana do użytku 8 listopada 2011 r. Druga – 8 października 2012 r. Jednocześnie zarządzająca gazociągiem szwajcarska spółka Nord Stream AG rozpoczęła prace nad zwiększeniem możliwości przesyłu gazu z Rosji do Niemiec,

w Rosji części zamienne dla ukraińskiej techniki wojskowej. Natomiast ukraińskie czołgi i transportery opancerzone tankowane są paliwem kupowanym w białoruskich rafineriach w Nowopołocku i Mozyrzu, które przerabiają rosyjską ropę naftową. Niemcy wiedzą też, że mimo sankcji gospodarczych w maju br. rezerwy złota i walut Rosyjskiego Banku Centralnego przekroczyły 600 mld dol. Dlatego w sprawie relacji z Rosją rząd niemiecki nigdy nie będzie się liczył ze zdaniem Warszawy. Gazociąg Nord Stream 2 to klasyczne polskie zwycięstwo moralne, czyli pełna klęska.

Marek Czarkowski

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Jak nie zgubić dziecka w sieci

... ale pomóc mu się w niej odnaleźć

Rozmawia Beata Igielska

Jak być dobrym rodzicem w wirtualnej rzeczywistości?

– Przede wszystkim powinniśmy być rodzicami świadomymi, znającymi rangę nowych technologii i wiedzącymi, że będą one się rozwijały. Postulaty, żeby dzieci nie spędzały tyle czasu w sieci, są nietrafione i nieefektywne. Warto raczej podnieść kompetencje i umiejętności cyfrowe rodziców, żeby wiedzieli, czego dzieci szukają w sieci i co tam znajdują. Świadomi rodzice mają szansę zostać przewodnikami i towarzyszami dzieci. „Jak nie zgubić dziecka w sieci” odpowiada poniekąd rodzicom i nauczycielom na pytanie, dlaczego dzieci tyle czasu spędzają w internecie.

No właśnie, dlaczego?

– Bo to przestrzeń, która daje im wolność, kontakt z rówieśnikami. Jest niezwykle inspirująca i pełna interesujących treści. Ale często to miejsce ucieczki, szukania wsparcia i akceptacji. Próba zwrócenia uwagi na swoje potrzeby i problemy.

Spotykać się z rówieśnikami można też w parku, na podwórku. Te zaś są puste, bo dzieci siedzą przed komputerem.

– Młodzi kontaktują się również z tymi, którzy mieszkają daleko, a interesują się tymi samymi grami, piłkarzami czy muzykami. Przeglądają specjalistyczne fora i dzielą się pomysłami na strategię w grach. Albo lubią programować i poszukują w sieci miejsc podwyższających kompetencje związane z programowaniem. Kiedyś nie było możliwe zaproszenie do domu np. piłkarza, muzyka czy youtubera. Na Instagramie, TikToku, YouTube mają wszystkich w zasięgu ręki. To jest dla nich atrakcyjne i daje poczucie, że są częścią niedostępnego dotąd świata. **Jednak jeśli pozwolimy im zbyt głęboko wejść w ten świat, wielu będzie miało problem, żeby stamtąd**



ZYTA CZECHOWSKA

– pedagożka specjalna, wykładowczyni akademicka, nagrodzona tytułem Nauczyciela Roku 2019, współtworzyła wirtualnie poradnik „Jak nie zgubić dziecka w sieci”

wrócić. Już mają kłopoty z budowaniem relacji i kontaktów.

– Budują je w inny sposób. Kiedyś, żeby kogoś poznać, trzeba było wyjść z domu, pójść na dyskotekę, ewentualnie być w szkole. Teraz poznaje się ludzi w sieci. Atrakcyjne jest też to, że dzięki internetowi kontaktujemy się z dalszą rodziną na drugim końcu Polski i świata. Poza tym jeśli młodzi nie mają innej oferty ze strony dorosłych, bo ci pracują, zajmują się swoimi sprawami, sami często przebywają w sieci, to sieć jest azylem, gdzie mogą spotkać osoby podobnie myślące i funkcjonujące. To także bardzo często przestrzeń, w której znajdują akceptację i zrozumienie. Rodzice narzekają, że

dzieci tyle czasu spędzają w sieci, a nie bawią się z nimi, nie dają nic w zamian. Opór przed nowymi technologiami jest jak opór Sokratesa przed słowem pisany – daremny.

Ależ dziesięć latki błyskawicznie uzależniają się od internetu, choć mają ofertę ze strony rodziców. Gdybym dała synowi komórkę, po kilku dniach bez kontroli byłby uzależniony.

Dlatego nie ma swojej. Rodzice z podwórka i z klasy opowiadają to samo.

– A jesteś z synem w sieci? Zapytałaś, co robi? Dlaczego tak długo i często spędza tam czas?

Oczywiście, dlatego wiem, że szuka głównie spraw naukowych: architektura, inżynieria.

Ale nawet to musi mieć granice.

– Jeśli widzimy, że coś zmienia w niewłaściwym kierunku, to dobrze, że zaczynamy się zastanawiać dlaczego. Tylko że rodzice bardzo często robią tak, że drastycznie odcinają dostęp do internetu, myśląc naiwnie, że dziecko już nie będzie po niego sięgało. Dziecko jednak skorzysta z niego w szkole, pożyczy telefon od kolegi, skłamię, że idzie na rower, a podjedzie do kafejki internetowej. Dlatego w poradniku mówimy z Mikołajem Marcelą, że warto być z dzieckiem w sieci, żeby ono czuło wartość rodzica poprzez zabawę, wspólne gry, że rodzic nie jest z nim za karę, że można z nim rozmawiać i dzielić radości eksplorowania. Warto dać fajną alternatywę, pokazać ciekawe miejsca w sieci, takie jak: Belfry Bazgroła, Pan Belfer – nauczyciel z Internetów, Nauka. To lubię, Pi-stacja, Genially – oficjalna polska grupa, Khan Academy, Wordwall, LearningApps, Progresownia czy blog grupy Superbelfrzy.

Najważniejsze więc: mieć temat do rozmowy z dzieckiem, wiedzieć, czego ono szuka w sieci.

– Ale też powiedzieć mu: można fajnie spędzić czas również inaczej. Na początku dziecko będzie się

► buntowało. Ale jest to kwestia zbudowania odpowiednich relacji. Fakt, małe dzieci nie powinny przebywać tyle w internecie, a my nie powinniśmy dopuścić do tego, żeby był zamiennikiem spędzania czasu. Skoro deklarujemy, że nie chcemy, by dziecko spędzało tyle czasu w internecie, ale gdy mamy coś do zrobienia, podrzucamy mu telefon jako alternatywę, to dobrze nie wróży. Dziecko uczy się, że zawsze, kiedy będzie smutne, znudzone, dostanie go.

Czy ograniczamy dziecku czas w sieci?

– Wspólnie z dzieckiem regulujemy i uczymy samoregulacji.

Warto podnieść kompetencje i umiejętności cyfrowe rodziców, żeby wiedzieli, czego dzieci szukają w sieci i co znajdują.

Dbamy o dobrostan, wypoczynek, sen i właściwe odżywianie. Internet jest wszechobecny, niezbędny, więc odcinanie od sieci będzie mało skuteczne. Jest potrzebny w szkole i daje przestrzeń do rozwoju. Ile czasu w nim spędzaliśmy przy nauczaniu zdalnym? I to w sytuacji, że najpierw w szkole zabranialiśmy używania telefonów komórkowych, a nagle okazało się, że są niezbędne. Nie dziwmy się zatem, że dzieci ogłupiały. Internet wszedł w różne przestrzenie życia, nie uciekniemy przed nim: jedzenie, kupowanie, praca, nauka. Nie można z internetu robić kozła ofiarnego. On nie jest ani dobry, ani zły. To tylko narzędzie, które powinno być właściwie używane. Jeśli kupujemy dziecku nową zabawkę, siadamy i czytamy instrukcję, uczymy się obsługi. A komórkę po prostu kupujemy i dajemy dziecku do ręki. Tymczasem rodzic powinien wdrażać dziecko do internetu. Niewiedza wywołuje lęki, demonizowanie niektórych spraw.

Czy pozwolić dziecku grać w gry komputerowe?

– Nie zabraniać. Nie można wszystkich gier wrzucić do jednego worka. Kiedyś dzieci bawiły się klockami Lego, układaly puzzle, przyszedł czas na gry komputerowe. Rozwijają, jeśli rodzic świadomie je kupi, wiedząc, jakie umiejętności intelektualne, poznawcze dziecko rozwine. Minecraft rozwija wyobraźnię, uczy rozwiązywania problemów, tworzenia strategii,

logicznego myślenia. Gorzej, jeśli jest to strzelanka.

Młodzi są tubylcami w tej technologii, my nie.

– Dlatego boimy się, że gdy dziecko spędza tyle czasu w sieci, dzieje się coś bardzo złego, nawet jeśli ten czas spędza konstruktywnie. Rozwija się, rozmawia z kolegami. Coś, co jest nieznane, zawsze budzi lęk i obawy, dlatego zachęcamy do poznania wirtualnych przestrzeni i ich możliwości. Dla wielu z nas nie ma różnicy, czy rozmawiamy online czy offline.

Nie przesadzajmy, zdecydowanie wolę spotkanie z tobą na żywo niż rozmowę przez internet.

– Jasne, przez internet nie wypitybyśmy kawy. Nie zmienia to faktu, że dla młodych świat internetu jest oczywisty.

Widziałam smutne zdjęcie ze studniówki: wszyscy ze smartfonami, bez kontaktu, obecni ciałem, nieobecni duchem.

– Nie uczymy dzieci, jak się zachować wobec internetu. Wszędzie natomiast musimy umieć się zachować: w sklepie, w internecie, w banku, w kościele. Czy z maturzystami ktoś porozmawiał, jak się zachowywać na studniówce? Urodzili się z telefonem w ręku, ale naprawdę wiele

nie robi, bo upieczemy wspólnie ciasto, obejrzymy film, pośmiejemy się, wyjdziemy do ogrodu, wyjedziemy. Dajemy jej alternatywę.

Sama bardzo się rozwinęłam dzięki sieci, jestem samoukiem, nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych, jeśli chodzi o aplikacje i programy. Tak długo siedzę, aż zrozumieć, jak coś działa. Sprawia mi to przyjemność. Tworzę fotoksiążki, książki elektroniczne, tutoriale, szkolenia dla nauczycieli, wideolekcje, ale oprócz tego z moimi uczniami z niepełnosprawnością szyjemy, pieczemy, robimy pomoce dydaktyczne. Czerpiemy radość z jednego i drugiego.

Czego mamy się bać w internecie?

– Zawsze lepiej mówić, jak powinno się z niego korzystać w mądry i bezpieczny sposób, niż straszyć, bo dzieci, wiedząc, że będzie coś straszego, będą tego szukały. Jeśli natomiast dziecko będzie wiedziało, jak bezpiecznie się poruszać, to ustrzeżemy je przed złem. W sieci mogą się wydarzyć nieakceptowalne sytuacje, podobnie jak w życiu realnym i dlatego ważne, byśmy uczyli nasze dzieci mówić o nich i umiejętnie sobie z nimi radzić.

Nie wiem, czy ustrzeżemy. Pisałam o 12-latkę mającej świadomych rodziców – nauczycieli, zgwałconej internetowo przez pedofila z zagranicy. Pisał: nadzieję cię na penisa, rzucę tobą o ścianę. Chciała się zabić.

Internet jest wszechobecny, niezbędny, więc odcinanie dziecka od sieci będzie mało skuteczne.

rozumieją. Jeśli jestem autentyczna i powiem: chcę z wami spędzić czas, wspólnie bawmy się, tańczmy, i będę żywo zainteresowana byciem z nimi, to nie będzie z tym problemu. Nie muszą wszystkiego się domyślać. Przytoczę mem: przystanek autobusowy w latach 90. – wszyscy z nosem w gazecie. Dziś nos mają w telefonie, bo tam czytają gazety, książki, których pewnie nigdy nie przeczytali, gdyby nie ten telefon. Zmieniły się media dostarczające informacji. Też by mnie denerwowało, gdyby moja córka siedziała przed komputerem całe dnie, a z nami nie chciałaby posiedzieć. Ale wiem, że ona tego

– Straszna historia, pewnie, że są takie zagrożenia. Musimy mówić dzieciom, żeby nie komunikowały się z osobami, których nie widzą, nie znają, że nie mogą podawać swoich danych osobowych, że mają zabezpieczać swoje komputery, telefony, tablety, że o każdej niepokojącej sytuacji mają poinformować dorosłego. Muszą wiedzieć, że jeśli cokolwiek je zaniepokoi, ktoś sprawi im przykrość, zawsze jest to przekroczenie granic, o którym muszą powiedzieć dorosłemu. Nie mogą sobie pozwolić na obrażanie i hejtowanie w sieci. Muszą sobie zdawać sprawę, że po drugiej stronie zawsze

jest żywy człowiek, nawet jeśli go nie widzą. Muszą mieć świadomość, że nie tylko im ktoś może zrobić krzywdę, ale również one mogą skrzywdzić nawet słowem.

Małym dzieciom nie da się opowiedzieć o przestępstwach cyfrowych, pozyskiwaniu danych, tworzeniu fałszywych tożsamości. To trudne nawet dla dorosłego. Do pewnego wieku dzieci nie powinny korzystać z internetu bez kontroli.

– Oczywiście, pięciolatek nie jest całkowicie bezpieczny w sieci. Dajemy mu tablet bez świadomości, że dwie, trzy godziny szybko mijają, a dziecko cały czas siedzi w sieci. Wszystko dostosowujemy do wieku. Natomiast dziesięciolatek już powinien być świadomy pewnych spraw, wiedzieć, jak się zachowywać w sieci, jak się chronić, i nie widzę powodu, żeby nad nim stać i spoglądać przez ramię, co robi. Warto budować relacje i zaufanie do dziecka.

A elektroniczne kontrole rodzicielskie?

– To nie jest złe narzędzie. Warto jednak powiedzieć dziecku, że taka kontrola w komputerze jest. Bo to zrodzi zaufanie, dziecko poczuje się bezpiecznie, wiedząc, że rodzic czuwa i w razie czego mu pomoże. Trzeba uczyć dzieci, jak hasłować dane, czego nie wrzucać do sieci, uczulać na wykorzystywanie seksualne i nieszafowanie wizerunkiem, który bardzo łatwo ukraść. Nawet dorośli bezmyślnie wrzucają zdjęcia, nie podejrzewając, jak mogą być za chwilę wykorzystane. Sieć nie jest gorsza ani groźniejsza od przestrzeni realnej. Jest inna i w inny sposób musimy z niej korzystać. Prof. Jacek Pyżalski zwraca uwagę, jak łatwo szafujemy określeniem: on jest uzależniony od internetu. Nie, po prostu za dużo czasu spędza w internecie, bez kontroli, i niehigienicznie prowadzi swoje życie cyfrowe. Wszystko, co w nadmiarze, odbija się na naszym zdrowiu i psychice.

Nasze mózgi jeszcze nie wyewoluowały do migającego obrazka. Są kłopoty z koncentracją. Internauci nie są w stanie skupić się na tekście dłuższym niż 7-8 tys. znaków.

– Nowe technologie wpływają na mózg. Dzięki internetowi przestajemy powoli myśleć w sposób liniowy, a zaczynamy łączyć myśli hiperlinkowo – skacząc od zagadnienia

do zagadnienia i dostrzegając pomiędzy nimi nieoczywiste połączenia. To ma oczywiście dobre i złe strony, daje nam nowe możliwości, choć częściowo odbiera stare. Jednak przecież na tym polega ewolucja: dostosowujemy się do nowego środowiska, by jak najlepiej w nim się odnaleźć.

Mamy jednak wysyp wszelkich odmian ADHD.

– Zawsze były dzieci uznawane za niegrzeczne, ruchliwe, mówiliśmy nawet, że niewychowane, a często nie miały rozpoznanej nadpobud-

grę pozwolą grać. Tu nie ma recepty, bo każde dziecko jest inne.

Podstawą jest kontakt z dzieckiem.

– Oczywiście. Budowanie z nim relacji, zaufania. I uważność. Inaczej, nawet jak nie będzie siedziało w internecie, zamieni go sobie na coś innego, co mu da poczucie wartości, sprawstwa, satysfakcję. Uświadomimy poza tym najpierw sobie, potem dzieciom, że to, co jest w sieci, trzeba przesłać przez sito. Trzeba nauczyć krytycznego myślenia i selekcji informacji. Bo inaczej, gdy dziecko ma zadanie domowe, bierze pierw-

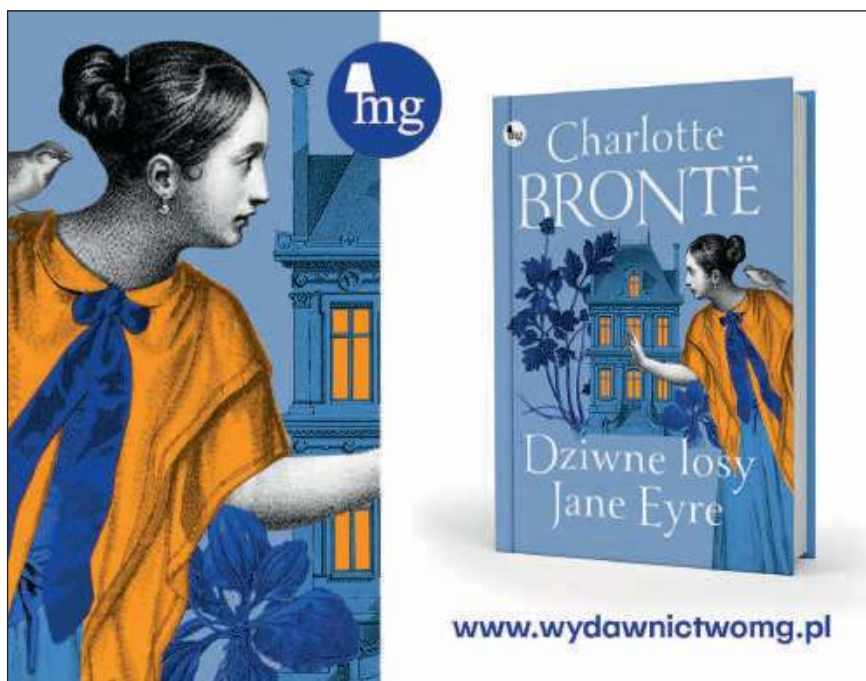
To przestrzeń, która daje wolność, możliwość kontaktu z rówieśnikami. Jest inspirująca i pełna interesujących treści.

liwości psychoruchowej. Tak jak kiedyś nie diagnozowano zespołu Aspergera albo autyzmu. Teraz mamy odpowiednie narzędzia. Nowe technologie nie wpływają na te dysfunkcje czy niepełnosprawności. Ale owszem, nieumiejętnie wykorzystywane mogą narobić szkód. Książkę kończymy puentą: nie pozwólcie im zgubić się w sieci, ale pomóżcie im się w niej odnaleźć. Musimy nauczyć się z niej korzystać. Gdy się nauczymy, dziecko będzie miało świadomość, że nie musi siedzieć w nocy pod kołdrą i grać w grę, bo jak przyjdzie na to czas, to rodzice mu w tę

szą lepszą informację z sieci i przepisuje jako pewnik. Dzieci muszą wiedzieć, z których źródeł korzystać, jak oddzielić fake newsy od newsów. Należy im też uświadomić, że celebryci o wciętach taliach to efekt Photoshopu i filtrów. Że przeciętny człowiek tak nie wygląda. I trzeba się akceptować. Dajmy również dziecku poczucie, że jeśli do nas przyjdzie z problemem, na pewno zostanie wysłuchane i wspólnie zastanowimy się, jak sobie z tym poradzić.

Beata Igielska

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl





Polacy złożyli najwięcej aplikacji o status osoby osiedlonej.

Pobrexitowi osiedleńcy

Od 1 lipca ci, którzy nie otrzymają statusu osoby osiedlonej, będą przebywać w Wielkiej Brytanii nielegalnie

Wiktoria Kalina

Europejczycy mieszkający w Wielkiej Brytanii i chcący pozostać na Wyspach mają czas do końca miesiąca, by wystąpić o status osoby osiedlonej (prawo stałego pobytu w ramach programu EU Settlement Scheme – Systemu Osiedleńczego dla Obywateli Unii Europejskiej). Ci, którzy do 30 czerwca nie otrzymają statusu osoby osiedlonej (*settled status*) lub statusu tymczasowego (*pre-settled status*), w teorii z dnia na dzień stracą prawo do wykonywania pracy na terenie Wielkiej Brytanii i będą przebywać w kraju nielegalnie. Wnioski muszą także składać nieletni, nawet urodzeni nad Tamizą.

Według oficjalnych danych rządowych do 31 marca złożono 5,3 mln wniosków, a największa ich liczba pochodziła od Polaków (975 tys.), Rumunów (918 tys.), Włochów (500 tys.), Portugalczyków (376 tys.)

i Hiszpanów (320 tys.), co w sumie daje 58% wszystkich zgłoszeń. Odpowiedź odmowną otrzymało 3% Polaków, 20% – status tymczasowy, a 77% – pełen status osoby osiedlonej. Ci, którzy nie uzyskali zgody na przebywanie i pracę w Wielkiej Brytanii oraz dostępu do bezpłatnej służby zdrowia, mają możliwość odwołania się albo ponownego

Część osób, które już uzyskały kartę stałego pobytu, nie wie, że musi się ubiegać o status osiedlonego.

aplikowania, ale proces ten również został ograniczony czasowo.

Paradoksy i niedociągnięcia

Wnioskując o status osoby osiedlonej, należy udowodnić swoją tożsamość i fakt przebywania na terenie Zjednoczonego Królestwa przez co najmniej sześć miesięcy w każdym

roku przez ostatnie pięć lat. Jeśli warunek ten nie został spełniony, można się ubiegać o status tymczasowy, jednak dotyczy on tylko osób, które przybyły osiedlić się w Wielkiej Brytanii przed 31 grudnia 2020 r. Proces jest bezpłatny, podanie należy złożyć przez internet.

Zdecydowana ich większość została już rozpatrzona, jednak w połowie czerwca na decyzję wciąż czekało ponad 300 tys. osób. W ostatnich tygodniach fundacje charytatywne zajmujące się problemem zanotowały duży wzrost liczby próśb o pomoc w składaniu wniosków. Organizacje te wystosowały list otwarty do premiera Johnsona z prośbą o zniesienie ostatecznego terminu aplikacji, argumentując, że mnóstwo ludzi – dziesiątki tysięcy – nie zdąży się zgłosić lub nie będzie rozumiało, że musi to zrobić. Wielu imigrantów mieszkających i pracujących w Wielkiej Brytanii nie potrafi dobrze mówić po angielsku i może nie zrozumieć konieczności procedury osiedleńczej. Nie wszystkie informacje są jasne, np. część osób, które już wcześniej uzyskały kartę stałego pobytu, może nie zdawać sobie sprawy, że musi aplikować o status osiedlonego. Poza tym rodzice dzieci urodzonych w Wielkiej Brytanii mogą zakładać, że taki status jest przyznawany dziecku automatycznie, co nie zawsze jest prawdą. Także osoby, które zawarły małżeństwo z obywatelem Wielkiej Brytanii, do tej pory otrzymywały wiele praw automatycznie, jednak w tym wypadku również muszą złożyć wniosek i udowodnić rezydenturę w kraju.

Na światło dzienne wychodzą paradoksalne historie i niedociągnięcia systemu. Na przykład 27-letnia dziennikarka Dahaba Ali, która ukoń-

czyła studia na Uniwersytecie Cambridge, a w Wielkiej Brytanii mieszka od 10 lat, dostała decyzję odmowną nie dlatego, że nie spełniała wymagań, ale ponieważ nie odpowiedziała na dwa mejle z prośbą o dodatkowe informacje (meile te wylądowały w spamie). Musi teraz przejść procedurę od nowa. Z kolei rodzina nowo przybyłych imigrantów z Włoch

wystąpiła o status tymczasowy: pozytywnie rozpatrzono wnioski obojga rodziców i 16-letniego syna, ale 10-letnia córka dostała decyzję odmowną, ponieważ nie mogła udokumentować przebywania na terenie kraju (nie miała karty kredytowej i nie dokonała w swoim imieniu żadnych zakupów).

Przeszkody technologiczne

W kraju uznawanym za jeden z przodujących w technologii, nauce i biznesie szokujące są błędy i braki w tak poważnym przedsięwzięciu. Owszem, rządowa strona dotycząca procedury jest dostępna w wielu językach, ale by odnaleźć np. jej polską wersję, należy wpisać w wyszukiwarce konkretną frazę „EU Settlement Scheme po polsku”. Sama nazwa programu otwiera stronę w języku angielskim i bardzo trudno tam znaleźć jej wersję w innych językach.

W procesie niezbędne jest korzystanie z aplikacji w telefonie skanującej dokumenty na potwierdzenie tożsamości (działającej tylko w języku angielskim). Należy więc posiadać jedno z nowszych oprogramowań telefonu, co już staje się przeszkodą dla wielu osób starszych. Telefon powinien mieć także uruchomioną funkcję skanowania NFC, a osoba wnioskująca – paszport lub inny dokument tożsamości z czipem biometrycznym. Jeśli nie uda się zeskanować paszportu

początek problemów, które napotyka przeciętny imigrant, a których Home Office najwyraźniej w ogóle nie wzięło pod uwagę. Składane dokumenty muszą mieć przynajmniej sześciomiesięczny termin ważności. W związku z pandemią COVID-19 przez ponad rok część konsulatów była zamknięta albo oferowała ograniczoną liczbę spotkań. Wiele imigrantów miało zatem problemy z odnawianiem dokumentów. Jednocześnie fundacje charytatywne zajmujące się tym tematem nie mogły umawiać bezpośrednich spotkań lub musiały znacząco ograniczyć ich liczbę, a rozmowy telefoniczne w obcym języku rzadko są równie skuteczne i jasne. Mnóstwo osób – zwłaszcza starszych – nie ma dostępu do smartfona lub komputera i wbrew hasłom reklamowym nie może złożyć wniosku ani zdobyć pomocy w tej kwestii.

Niepotrzebni imigranci?

Dezinformacja sięga jednak i poza samą procedurę. Konsekwencje niezyskania statusu osiedlonego nie są w pełni komunikowane nikomu – ani Europejczykom, którzy muszą o niego się starać, ani Brytyjczykom i Europejczykom, którzy tych ludzi zatrudniają. Większość pracodawców nie wie, że od 1 lipca pracownicy bez odpowiednich dokumentów osiedleńczych będą zatrudnieni nielegalnie. Osoby, które

dostały decyzję odmowną, a chcą nadal pracować, będą musiały się ubiegać o oficjal-

ną wizę pracowniczą i uzyskać wystarczająco wysoki wynik w nowym punktowym systemie imigracyjnym, w którym oceniane są m.in. wykształcenie i znajomość języka. Pracodawcy mogą zostać ukarani 20 tys. funtów grzywny za każdego nielegalnego pracownika. Nie oszukujmy się – najbardziej poszkodowaną grupą pracodawców nie będą wielkie firmy zatrudniające tysiące pracowników – te zazwyczaj mają rozbudowane działy kadr. Najbardziej zagrożeni dużymi karami pieniężnymi, a w konsekwencji upadłością, będą pracodawcy imigranci, którzy prowadzą małe i średnie firmy i zatrudniają krewnych

czy po prostu rodaków. Zapytałam znajomych prowadzących własne firmy, czy są świadomi tego zagrożenia. Okazuje się, że nie zdawali sobie sprawy z realnych konsekwencji braku statusu osoby osiedlonej dla siebie lub swoich pracowników.

Można odnieść wrażenie, że kraj, który kiedyś zapraszał Europejczyków, dzisiaj próbuje nieumiejętnie ich się pozbyć. Od jakiegoś czasu Wielka Brytania

Aby złożyć wniosek, należy mieć jedno z nowszych oprogramowań telefonu.

proponuje niektórym imigrantom, w ramach programu „dobrowolnego powrotu”, pomoc w zorganizowaniu podróży, opłacenie biletu w jedną stronę oraz nawet 3 tys. funtów za wyjazd z kraju.

Wprowadzanie tak nieprzemysłowego i niedostosowanego do prawdziwego odbiorcy systemu osiedleńczego wydaje się kolejną próbą zniechęcenia przybyszów do pozostania na Wyspach. W konsekwencji duża grupa Europejczyków faktycznie wyjeżdża. Chociażby ci, którzy uznają, że mniej trudności będzie im sprawiał praca w Niemczech, bo przecież łatwiej stamtąd dojechać do domu na kontynencie. Braki kadrowe na niskopłatnych stanowiskach, np. w branży hotelarskiej i gastronomicznej, były odczuwalne już przed brexitem. Teraz, gdy gospodarka próbuje odżyć po wielomiesięcznych lockdownach, zapotrzebowanie na pracowników jest jeszcze większe.

Obawiam się, że Brytyjczycy wkrótce, choć będzie to zdecydowanie za późno, zrozumieją, jak ważnym elementem ich gospodarki byli ciężko pracujący imigranci. Kiedyś tak pełni entuzjazmu wobec możliwości oferowanych w Wielkiej Brytanii, po przeżyciu lat kampanii probrexitowej i rosnących negatywnych emocji, po stresie związanym z ubieganiem się o status osiedlonego, a ostatnimi czasy po rozczarowaniach z powodu wprowadzenia restrykcji celnych, zaczęły wybierać inne państwa, zachęcające ich do przyjazdu, asymilacji i pracy. Tutejsi imigranci poradzą sobie, tak jak zawsze musieli sobie radzić. Pytanie, jak poradzi sobie Wielka Brytania. ■

Kraj, który kiedyś zapraszał Europejczyków, dzisiaj próbuje nieumiejętnie ich się pozbyć.

lub innego biometrycznego dokumentu tożsamości poprzez aplikację, należy wystać go pocztą. Takie procedury nie dziwią Brytyjczyków, gdyż mają oni duże zaufanie do oficjalnego urzędu pocztowego (Royal Mail) i wiedzą, że zaginięcia przesyłek są wyjątkowo rzadkie. Jednak w innych krajach – chociażby w Polsce – wysyłanie tak ważnych dokumentów pocztą jest nie do pomyślenia. Ryzyko wydaje się tym większe, że nie wiadomo, jak długo będzie się czekało na zwrot dokumentów.

Trudność w zdobyciu informacji i brak zaufania do systemu to jedynie

Małgorzata P. Bonikowska
Korespondencja z Kanady

Kiedy przerażoną czterolatkę, siłą oderwaną od zrozpaczonej matki i rodziny, przywieziono do obcego, zimnego i cuchnącego stęchłą gmachu szkoły, najpierw obcięto jej długie, czarne włosy, potem obłano śmierdzącymi płynami, które, jak się później dowiedziała, były dezynfekującymi chemikaliami, a później ubrane w czarne, długie szaty kobiety wyrwały z jej zaciśniętej rączki amulet, który matka wsunęła przy pożegnaniu do jej malutkiego mokasy. Do czasu pierwszej menstruacji nazywano ją numer 11, a potem, aż do ukończenia szkoły – numer 39. Nikomu nie wolno było używać imienia, które kiedyś szeptała, usypiając ją w ramionach, mama. A potem było już tylko to, o czym nie chciała mówić przez długie lata.

Ci, którzy byli pierwsi

Żyli na tych ziemiach od co najmniej 12, a może nawet 15 tys. lat. Mimo że ich plemiona i społeczności różniły się, co jest zrozumiałe na tak ogromnym obszarze, jaki zajmuje dzisiejsza Kanada, łączyły je wielki szacunek dla natury, egalitarne i wspólnotowe wartości społeczne oraz głęboka duchowość. Wiele plemion wypracowało stabilne struktury

Nie ma ani jednego człowieka pochodzącego z ludności rdzennej, który nie doznałby traumy.

polityczne, system sprawiedliwości, a także bogatą kulturę: sztukę, muzykę, taniec. Większość społeczności nie miała języka pisanego. Rdzenni mieszkańcy, podzieleni na sześć grup – cztery grupy tzw. Pierwszych Narodów (*First Nations*), czyli Indian, jak ich do niedawna nazywano, Inuitów, zwanych przedtem Eskimosami, i Metysów (potomków ludności rdzennej i białej) – należał do ok. 60 plemion (*nations/tribes*).

Od połowy XVI w. ich dotychczasowe życie zaczęło się rozpadać, aż legło w gruzach. Pojawienie się białego człowieka, z jego chciwością i pogardą dla „dzikusów”, zaowocowało wyzyskiem, przemocą i nieznanymi

chorobami, które do końca XIX w. wyniszczyły ok. 90% ludności rdzennej. Kolonizatorzy przejmowali ziemie, wymuszając traktaty czy porozumienia, które wodzowie podpisywali krzyżykami, niewiele rozumiejąc. Zamknięto ich w rezerwach, niejednokrotnie przesiedlano, mimo że ich tożsamość opierała się na roli strażników ziem, gdzie żyli i gdzie spoczywali ich przodkowie.

Biali chcieli jak najszybciej „załatwić kwestię indiańską”. Wiele poprzednich regulacji prawnych zastąpiono w 1876 r. Indian Act, ustawą, w której prawnie zapisano nierówność i niesprawiedliwość wobec tych, których ziemie zagrabiono, dając szerokie uprawnienia federalnemu ministerstwu ds. Indian (Department of Indian Affairs) i jego funkcjonariuszom.

Architekci tej polityki precyzyjnie zaplanowali proces „cywilizowania” i asymilowania rdzennych mieszkańców. Aby uniknąć buntów i ataków, skupili się na dzieciach, wiedząc, że biorąc je niczym zakładników, pozbawia ich rodziny oręża do walki, a jednocześnie wychowują pokolenie oderwane od korzeni. Stworzono system tzw. *residential schools*, szkół z internatem, obowiązkowych dla dzieci rdzennej ludności Kanady.

Był jeszcze mniej znany akt tego dramatu, tzw. *Sixties Scoop* – zorganizowana kampania usuwania rdzennych dzieci z ich domów, która rozpoczęła się w 1965 r. i trwała aż do lat 80. Tysiące dzieci zostało

215 dzieci, które zmieniają Kanadę

W szkołach z internatem nad dziećmi rdzennych mieszkańców znęcano się fizycznie, psychicznie i seksualnie

zabranych z domów, często bez zgody rodzin, umieszczonych w domach zastępczych i ostatecznie zaadoptowanych przez białe rodziny z Kanady i USA, a nawet z Nowej Zelandii. Te dzieci utraciły swoje imiona, języki i związki z kulturą. Wiele było maltretowanych. Od tego czasu prowincje Saskatchewan, Manitoba i Alberta przeprosiły za te działania i zobowiązały się do włączenia wiedzy o tym do programów szkolnych.

Szkoły z internatem

Celem szkół z internatem, finansowanych z budżetu federalnego, a prowadzonych przez księży i zakonnice, było „zabicie Indianina w dziecku”, religijne „nawrócenie”, wpojenie dzieciom, że ich kultura i język są powodem do wstydu. Rodzicom, którzy nie chcieli oddać dzieci, grożono więzieniem lub grzywnami. Aby uniknąć zabrania dzieci siłą do szkoły, rdzenne rodziny oddawały je do adopcji, szczególnie jeśli rodzice sami byli kiedyś uczniami takich placówek.

Chociaż obowiązek uczęszczania do tych szkół zniesiono w 1948 r., urzędnicy państwowi nadal byli w stanie wpływać na to, aby trafiały do nich rdzenne dzieci. W 1945 r. uchwalono ustawę o zasiłkach rodzinnych – dzieci w wieku szkolnym musiały być zapisane do szkoły, aby rodziny kwalifikowały się do zapomogi.

W szkołach dzieciom zakazano mówienia we własnych językach. Były zmuszane do niewolniczej pracy. Stosowano wobec nich bezwzględna dyscyplinę: były traktowane niezwykle brutalnie, znęcano się nad nimi fizycznie, psychicznie i seksualnie. Gwałcone przez księży dziewczynki, które zachodziły w ciążę, poddawano



82-letnia Evelyn Camille, która przeżyła Kamloops Indian Residential School, obok prowizorycznego pomnika upamiętniającego 215 dziecięcych ofiar.

przymusowej aborcji, a płody palono. Kiedy czasem dochodziło do narodzin, noworodki zabijano. W wielu szkołach, np. w znanej z brutalności szkole św. Anny w Fort Albany w Ontario (prowadzonej przez zakon oblatów w latach 1902-1976), stosowano przerażające kary i tortury, m.in. krzesło elektryczne, bicie pasami nabitymi gwoździami, zmuszanie do zlizywania własnych wymiocin.

W szkołach warunki były bardzo złe, mocno ograniczone środki na żywienie podopiecznych i utrzymanie budynków powodowały, że szerzyły się choroby, a dzieci były zaniedbane i głodne. Przywożono je do szkół zdrowe i duże, a opuszczają je znacznie poniżej przeciętnej wagi i wzrostu w swoim wieku. Wiele dzieci umierało; ucieczki najczęściej kończyły się tragicznie, nieraz wychowankowie popełniali samobójstwo. Ciał nie zwracano rodzinom. Placówki niejednokrotnie nie prowadziły dokumentacji, w innych akta zaginęły lub zostały zniszczone np. w pożarach.

- **132** szkoły działały w całej Kanadzie, głównie z dala od miejsc zamieszkania społeczności rdzennej, aby uniemożliwić kontakt rodzin z dziećmi.
- **139** lat funkcjonowały takie szkoły. Od 1857 r., a ostatnią, w prowincji Saskatchewan, zamknięto w roku 1996.

- **150 tys. dzieci** przeszło przez system szkół z internatem.
- **4100** – szacowana liczba dzieci, które zmarły/zginęły w szkołach z internatem. Większość zgonów nie została odnotowana, ciała nie zwrócono rodzinom i nie wiadomo, gdzie są szczątki. Ta liczba nie obejmuje 215 dzieci z Kamloops i może być dużo wyższa, sięgając nawet 6000.
- **60%** szkół prowadził Kościół katolicki (siostry zakonne i głównie męski zakon oblatów), 40% Kościoły protestanckie.
- **2008** to rok, w którym premier Kanady Stephen Harper oficjalnie przeprosił za system szkół z internatem.
- **6 lat (2009-2015)** trwały prace Komisji Prawdy i Pojednania, dokumentującej działalność szkół.
- **7000** relacji zebrała komisja od osób, które przeżyły szkoły z internatem.
- **94** zalecenia zostały sformułowane przez komisję, która nazwała działalność szkół kulturowym ludobójstwem.

Dzisiaj liczba, o której mówi się najczęściej, to 215. Szczątki tylu dzieci, w tym zaledwie trzyletnich, znalazł specjalista przy użyciu georadaru w nieoznaczonej zbiorowej mogile na terenie największej szkoły z internatem – Kamloops Residential School w Kolumbii Brytyjskiej – gdzie co roku uczęszczało ok. 500 wychowanków. Do tychczas liczbę zmarłych w tej szkole dzieci szacowano na ok. 50. W latach 1890-1969 szkoła była prowadzona

przez Kościół katolicki, po czym budynek przejął rząd federalny. Internat działał tam do 1978 r.

Były uczeń Kamloops, Hector MacDonald, podczas przesłuchania przez Komisję Prawdy i Pojednania (Truth and Reconciliation Commission, TRC) w 2013 r. powiedział: „Nauczyłem się tam nienawidzić. Nauczyłem się kraść. Nauczyłem się walczyć. Nauczyłem się oszukiwać”.

O zaginionych dzieciach wiedzieli uczniowie szkół, kiedy ich koleżanki i koledzy znikali, oraz rodziny, do których nigdy nie powrócili uprowadzeni synowie i córki. Ale teraz znaleziono dowody. A ekspert obsługujący georadar po prostu płakał po dokonaniu odkrycia. Na szkolnym terenie trwają teraz prace ekshumacyjne. Najpierw o ich wynikach będą informowane rodziny zmarłych dzieci z lokalnej rdzennej społeczności, Tk'emlúps te Secwépemc Nation.

Dzisiaj

Po odkryciu szczątków w Kamloops Kanada doznała głębokiego wstrząsu. Flagi na wielu budynkach rządowych opuszczono do połowy masztu. Członkowie rdzennych społeczności i inni Kanadyjczycy domagają się przeszukania terenów innych szkół, bo uważa się, że makabryczne znalezisko w Kamloops to zaledwie wierzchołek góry lodowej.

Coraz częściej słychać głosy domagające się bardziej zdecydowanej reakcji ze strony Kościoła katolickiego. W 2009 r. papież Benedykt XVI wyraził współczucie i solidarność z ofiarami, jego następca Franciszek – bliskość z kanadyjskimi ofiarami traumatycznych przeżyć w związku z odkryciem w Kamloops. Uważa się jednak, że Kościół katolicki powinien dłożyć starań, aby papież przyjechał do Kanady i formalnie przeprosił rdzennych mieszkańców. I aby Kościół ujawnił wszystkie dokumenty. O kroki te apeluje premier Kanady Justin Trudeau. Tylko niektóre diecezje przekazały akta TRC. W 1991 r. przeprasiny złożył zakon oblatów, a 13 czerwca br. katolicki biskup Gary Gordon w imieniu swoim i diecezji miasta Victoria w Kolumbii Brytyjskiej. Gordon zobowiązał się do wsparcia poszukiwań zaginionych dzieci oraz pomocy psychologicznej ofiarom. Jego diecezja przekazała



Instalacja artystki Tamary Bell na schodach galerii sztuki w Vancouver.

▶ wszystkie akta TRC. Kościoły angikański, prezbiteriański i zjednoczony przeprosiły za swoją rolę w funkcjonowaniu szkół z internatem.

Padają też pomniki – w sensie metaforycznym i dosłownym. Prestiżowy Ryerson University w Toronto domaga się zmiany nazwy. Jego patron Egerton Ryerson mimo zasług dla edukacji publicznej w Ontario jest głównym architektem systemu szkół z internatem w Kanadzie. Po demonstracji na uczelni na początku czerwca pomnik Ryersona na kampusie został obalony.

Pierwszy premier Kanady, uważany za twórcę narodu i państwa, sir John A. Macdonald, w 1883 r., przemawiając w parlamencie, nazwał Indian w rezerwach dzikusami i naciskał na jak najszybsze zabieranie dzieci i poddawanie ich edukacji, by w zamkniętych szkołach nabywały „obyczajów i sposobu myślenia białego człowieka”. I jego pomniki być może się nie ostaną.

Lord Jeffery Amherst, którego imieniem nazwano wiele miejsc zarówno w Kanadzie, jak i w Stanach Zjednoczonych, był naczelnym dowódcą sił w armii brytyjskiej i pierwszym brytyjskim gubernatorem generalnym na terytoriach, które ostatecznie stały się Kanadą. Mniej znany jest fakt, że był orędownikiem eksterminacji rdzennych mieszkańców i wojny biologicznej – „ofiarował” Indianom koce z zarazkami ospy. Czy miasto nazwane jego imieniem w prowincji Nowa Szkocja zachowa nazwę?

Na schodach prowadzących do galerii sztuki w Vancouver artystka Tamara Bell, pochodząca z plemienia Haida, ustawiła z pomocą innych 215 par dziecięcych bucików. Teraz są tam pluszaki, kwiaty, zdjęcia, tabliczki. W mediach pojawiają się dziesiątki relacji byłych uczniów i wspomnienia ludzi wychowanych w domach, gdzie rodzice czy dziadkowie przeszli przez szkoły. Reakcje Kanadyjczyków to łzy, przerażenie ogromem tej tragedii i tym, że nikt nie słuchał ludzi, którzy zwracali uwagę na traumę dzieci.

Działalność szkół z internatem została nazwana kulturowym ludobójstwem.

Takim sygnalistą był dr Peter Henderson Bryce, który został pierwszym naczelnym urzędnikiem medycznym Departamentu Spraw Wewnętrznych w 1904 r. Było to 20 lat po tym, jak sir John A. Macdonald ustanowił dzieci rdzenne własnością państwa na mocy poprawki do Indian Act z 1884 r., zgodnie z którą wszystkie dzieci po ukończeniu siedmiu lat musiały uczęszczać do szkół z internatem. W 1907 r. Bryce przygotował miażdżący raport, pokazujący, że jedna czwarta dzieci zmarła na gruźlicę z powodu fatalnych warunków sanitarnych, niedożywienia i braku opieki medycznej. Raport nie ujrzał światła dziennego, a Bryce został uciszony. Jednak w 1922 r. znalazł wydawcę i opublikował swoje

wnioski w książce „The Story of a National Crime”.

O tych, którzy przeszli przez szkoły z internatem, mówi się nie jako o absolwentach, ale ocalańcach, jak o ocalałych z Holocaustu. Nie ma ani jednego człowieka pochodzącego z ludności rdzennej, który nie doznałby takiej czy innej traumy. Całe pokolenia poddawane były zaplanowanej polityce eksterminacji lub przymusowej asymilacji, która zburzyła relacje w rodzinach i społecznościach, bo ocalańcy, nie mając wzorców, nie potrafili być małżonkami ani rodzicami. Reakcją na stres pourazowy i wielogeneracyjną traumę były alkoholizm, narkomania, przemoc rodzinna, samobójstwa.

Ottawa i władze kilku prowincji zaofiarowały miliony dolarów na zidentyfikowanie, zbadanie i upamiętnienie miejsc pochówku zmarłych i uznanych za zaginione dzieci. Stworzono całodobową telefoniczną linię kryzysową dla osób poszkodowanych w wyniku działalności szkół z internatem. Realizacja wielu z 94 zaleceń TRC, których dotychczas nie wykonano, zostanie przyspieszona. Rdzenni mieszkańcy, zmuszeni nigdy do zmiany imion i nazwisk, będą mogli je odzyskać i używać ich w dokumentach, co ogłosił 14 czerwca federalny minister ds. obywatelstwa i imigracji Marco Mendicino.

Czas na pojednanie, ale najpierw trzeba stawić czoła przeszłości i oddać to, co się należy, ofiarom i ich potomkom, nie tylko w postaci odszkodowań. Trzeba zwrócić im godność oraz poczuć wartości i zapewnić, że ich losy staną się na zawsze częścią powszechnie znanej historii Kanady.

Na jaw wychodzą kolejne fakty: w prowincji Saskatchewan członkowie społeczności rdzennej Cowessess odkryli 751 nieoznakowanych grobów przy szkole z internatem Marieval. Nagrobki zostały z nich usunięte przez Kościół katolicki, co jest nielegalne w Kanadzie, więc wódzowie mówią, że traktują teren jako miejsce przestępstwa. Domagają się okazania aktu i przeprosin od papieża. Proszą o pomoc w dalszych pracach nad ustaleniem tożsamości każdej pochowanej osoby. A to zaledwie początek bolesnego odkrywania prawdy.

Małgorzata P. Bonikowska

Koniec jazdy na gapę?

USA i Europa zaczynają poważnie rozmawiać o wspólnym podatku od wielkich korporacji

Jakub Dymek

Ile to jest 49 mld zł rocznie? Dwa razy więcej, niż kosztował program Rodzina 500+ w momencie jego startu, i tyle co wybudowanie ponad 500 przedszkoli w polskich miastach i miasteczkach. Albo modernizacja i remont 6 tys. km naszych linii kolejowych, a przy okazji peronów, przejść podziemnych czy parkingów. Tyle także kosztowałaby budżet likwidacja podatku dochodowego i składki na NFZ dla jednej trzeciej najmniej zarabiających Polaków.

49 mld zł rocznie. Tyle mogłaby otrzymać Polska, gdyby wielkie korporacje zaczęły płacić podatki od zysków, zamiast wyprowadzać je do rajów.

I tyle właśnie, zdaniem Obserwatorium Podatkowego powołanego do życia 1 czerwca przez Komisję Europejską, mogłaby otrzymać Polska z nowych i ujednoliconych stawek podatku korporacyjnego na świecie. A mówiąc prościej, gdyby firmy zaczęły od zysków płacić podatki, zamiast wyprowadzać je do rajów. Kierowane przez francuskiego ekonomistę Gabriela Zucmana Obserwatorium za optymalną uznaje stawkę 25% CIT, która w przypadku Polski oznacza 11 mld euro więcej w budżecie. Skromniejsze propozycje – 15% i 21% podatku – miałyby przynieść od 4 do 8 mld euro. Skąd te dodatkowe pieniądze, skoro stawka CIT w Polsce wynosi już 19%? Stąd, że ponadnarodowe korporacje, banki, platformy cyfrowe czy towarzystwa ubezpieczeniowe rozliczają u nas faktycznie tylko część zysku, jaki generują tu

konsumenci. Chętniej zaś wyprowadzają go do Irlandii czy Luksemburga, gdzie mogą zapłacić mniej, albo wprost do rajów podatkowych.

Liczyby i szacunki zawarte w podobnych raportach łatwo było dotychczas ignorować. Przecież to wszystko zyski potencjalne, życzeniowe myślenie ekonomistów, kielbasa wyborcza dla naiwnych – komentują cynicy. To prawda o tyle, że projekcje wpływów podatkowych, które wychodzą spod ręki ekonomistów, często znacznie przewyższają kwoty, jakie udaje się realnie pozyskać. A światowi liderzy rzadko pochyłali

ma pretekst, by je podnosić. Pandemia wręcz wymusiła na wszystkich rozmowę o nowych i niekonwencjonalnych sposobach łatania budżetów i szukania pieniędzy na odbudowę gospodarek. Wielkie cyfrowe platformy straciły parasol ochronny, którym cieszyły się jeszcze kilka lat temu, a strach przed konfrontacją z gigantami internetu zmalał. Europa porzuciła zaś kult zrównoważonego budżetu i politykę zaciskania pasa w kryzysie.

Dlatego nie jest przypadkiem, że wiosną 2021 r. po raz pierwszy od lat liderzy świata zachodniego tak stanowczo postawili sprawę. Musimy



się nad problemem unikania opodatkowania, zostawiając tę tematykę swoim podwładnym, think tankom albo organizacjom walczącym z ubóstwem. Czyli w rzeczywistości odkładając ją „na święty nigdy”. Coś jednak zaczyna się zmieniać.

Warunki doskonałe

Amerykanie mają określenie *perfect storm* – burza idealna, które oznacza rzadki a potrzebny zbieg różnych okoliczności. Nic wielkiego – jak burza – nie wydarza się, o ile wszystkie czynniki gdzieś wysoko, ponad naszymi głowami, nie stworzą burzowej mieszkanki, prawda? Trochę tak jest dziś z rozmową o unikaniu opodatkowania i walką z rajami podatkowymi. Poprzedni prezydent USA obniżał podatki swoim korporacyjnym sojusznikom, więc nowa administracja

wspólnie opodatkować wielkie korporacje, bo ani czekanie na rezultaty walki z rajami podatkowymi, ani rozwiązania na poziomie państw nie przyniosły rezultatu – zgodnie mówią prezydenci i szefowie rządów, urzędnicy na najwyższych szczeblach globalnych instytucji finansowych, naukowcy i badaczk.

Równolegle wystartowały więc różne inicjatywy. Amerykańska administracja zapowiedziała walkę o wspólny korporacyjny podatek na światowym szczeblu, a wkrótce to samo ustaliła grupa G7. Komisja Europejska pracuje także nad podatkami i regulacjami, które obejmą szczególnie dotychczas trudny sektor cyfrowy. Wystartowało wspomniane już unijne Obserwatorium Podatkowe. Europejski komisarz ds. gospodarki Paolo Gentiloni przekonywał przy tej okazji, że „nigdy walka

► z nadużyciami podatkowymi nie była bardziej konieczna niż teraz. Musimy chronić publiczne pieniądze konieczne do odbudowy gospodarek i realizacji olbrzymich inwestycji w zieloną i cyfrową transformację”. Szef nowego Obserwatorium, prof. Zucman, dodawał zaś, że unikanie opodatkowania czy optymalizacja, do jakiej uciekają się korporacje, to nie są jakieś „katastrofy naturalne”, ale zjawiska, z którymi europejskie państwa powinny i są zdolne walczyć.

Dlaczego akurat Europa jest szczególnie zainteresowana walką z unikaniem opodatkowania i wspólnymi regułami dla wszystkich? Bo to ona wciąż stanowi najbogatszy i najbardziej atrakcyjny rynek – zasobność jej kilkuset milionów obywateli tworzy olbrzymi popyt, czy to na chińską

w rodzaju Huawei czy Alibaby rozwijają się dzięki porozumieniu z rządem i partią. Ameryka była przeciwna jakimkolwiek ruchom, które mogłyby relatywnie osłabić pozycję firm z siedzibą w Dolinie Krzemowej w starciu z tymi z Pekinu i Shenzhen.

W niedawnym wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej” szef Krajowej Rady Doradców Podatkowych dr hab. Adam Mariański przekonywał, że Ameryka jest w stanie wspierać swoje firmy globalnie, byleby płaciły podatki w Stanach. „Dlatego administracja USA walczyła np. o interesy gigantów technologicznych i broniła ich choćby przed Komisją Europejską”, mówił. A przynajmniej tak było do niedawna, bo ta strategia przestała jednak się sprawdzać. „Widać, że nawet Stany Zjednoczone mają dzisiaj

reformy wspierające budżety domowe klasy średniej, tworzenie miejsc pracy i odbudowę przemysłu w USA z pieniędzy największych firm i bogaczy, nie zwykłych ludzi. Wyższe podatki dla korporacji na poziomie globalnym to dla niego sposób na powiększenie bazy podatkowej w ojczyźnie i na zacieśnienie sojuszu z tradycyjnymi partnerami oraz realizacja kampanijnej obietnicy.

Biden do Europy na niedawny szczyt grupy G7 wysłał swoją sekretarz skarbu Janet Yellen z jasnym przekazem. „Wyścig do dna musi się skończyć – mówiła na konferencji prasowej pod gołym niebem w londyńskim Regent’s Park. – Globalni liderzy zgadzają się, że w świecie po pandemii musimy grać uczciwie. W szczególności w odniesieniu



Biden obiecywał sfinansować reformy z pieniędzy największych firm i bogaczy, nie zwykłych ludzi.

elektronikę, czy na filmy z Netflixu albo towary Amazona. Jednocześnie wielkie korporacje z całego świata korzystały z tego, że w ramach europejskiego wspólnego rynku interesy można robić wszędzie – w Hiszpanii, w Polsce i na Cyprze – a podatki płacić tam, gdzie są niższe. Dziś szefowie rządów i europejskich instytucji coraz częściej i bardziej otwarcie mówią, że za dostęp do wspólnego rynku trzeba będzie po prostu zapłacić.

Amerykanie zmieniają front

Przez długi czas pierwszym i najpotężniejszym hamulcowym podobnej reformy – i w skali globalnej, i na poziomie państw narodowych – byli Amerykanie. Administracja w Waszyngtonie bała się, że walka z unikaniem opodatkowania albo wprowadzenie podatku cyfrowego uderzy przede wszystkim w firmy amerykańskie, w szczególności grupę GAFA (Google, Amazon, Facebook, Apple). Kontekstem była także rywalizacja z Chinami, gdzie wielkie firmy

problem z podatkiem dochodowym, a jest on kluczowym źródłem dochodów budżetów: federalnego, stanowych czy lokalnych, bo nie ma tam *de facto* VAT. Dlatego USA chcą doprowadzić do przyjęcia na poziomie OECD minimalnej stawki CIT”, kontynuował prawnik.

To zaskakujące, jak kompletny zwrot dokonał się w ciągu zaledwie kilku miesięcy. Ale poza powodem gospodarczym są też dwa polityczne. Po pierwsze, Ameryka chce dziś razem z tradycyjnymi sojusznikami – Europą, Australią, Wielką Brytanią czy nawet Turcją – przeciwstawić się Chinom i ich ekspansji technologicznej. By to umożliwić, nie może aż tak wulgarnie faworyzować interesów Facebooka czy Amazona w Europie, blokując i sabotując reformy podatkowe, na których zależy europejskim partnerom. Słowem, by pozyskać rządy krajów UE jako sojuszników, USA sygnalizują zejście z tradycyjnej drogi wspierania własnych firm, nawet gdy grają one nie fair. Po drugie zaś, Biden obiecywał sfinansować

do podatków na poziomie międzynarodowym. Wszyscy obywatele i korporacje muszą sprawiedliwie się podzielić ciężarem utrzymania wydatków publicznych. Zbyt długo mieliśmy zaś do czynienia z sytuacją, w której państwa konkurują w dziedzinie obniżania stawek podatkowych, a nie troski o obywateli i środowisko naturalne”.

Polska i Węgry na złość Europy?

Według kalkulacji Obserwatorium Podatkowego Polska znalazłaby się w czołówce beneficjentów ujednoliconej stawki CIT – czyli tego rozwiązania, które popiera także Biden i grupa G7. Nie wchodząc już w szczegóły obliczeń, można powiedzieć, że tylko trzy europejskie państwa – Luksemburg, Irlandia i Belgia – zyskałyby proporcjonalnie więcej (jako odsetek wpływów budżetowych w ogóle). Polska należy do wąskiej grupy krajów, których przychody z CIT miałyby w tym scenariuszu przynajmniej się podwoić. Badacze szacują, że gdyby

taki ujednolicony CIT wszedł w życie, Polska mogłaby dzięki tym wpływom zwiększyć wydatki na ochronę zdrowia o jedną trzecią względem obecnych. Całość tortu do podziału między kraje UE oszacowano w 2021 r. na 170 mld euro!

Zaskakiwać więc w tym kontekście może fakt, że polski rząd raczej pomyśli się opiera. Minister finansów Tadeusz Kościński powiedział dziennikowi „Financial Times”, że „Polska nie poprze planu wprowadzenia globalnego minimalnego poziomu podatku od przedsiębiorstw, o ile nie będzie klauzuli wyłączającej z niego istotną działalność gospodarczą prowadzoną w kraju”. Minister dodał też nieco bardziej wprost: „Nie powinno być tak, by G7 dyktowała nam, jaką stawkę podatkową mamy mieć w naszym kraju”. Dyskusja o tym, czy wyłączenie niektórych przedsiębiorstw krajowych miałyby w przypadku Polski sens, jest oczywiście możliwa. Sęk w tym, że konstrukcja takiego międzynarodowego CIT zakłada, że podatek i tak musi zostać ściągnięty – jeśli nie tu, to gdzieś indziej. To,

czy Kościński miał na myśli interesy największych płatników CIT w Polsce, którymi są często spółki skarbu państwa, czy coś innego, pozostaje na razie nierozstrzygnięte.

Szybko jednak do Polski dołączyły Węgry, co natychmiast zamknęło merytoryczną dyskusję i znów zepchnęło nasze dwa kraje do nacjonalistycznego narożnika, z którego

Czy rząd premiera Morawieckiego ma powody, dla których nie chce podatków sięgających do kieszeni najbogatszych?

można tylko sabotować europejskie pomysły. Jak zauważył na antenie TOK FM ekonomista związany z Fundacją InStrat i autor książek o kapitalizmie w dobie cyfrowej, Jan J. Zygmuntowski, tworzenie ulg i wyłączeń dla poszczególnych krajów nie tylko złamałoby fundamentalną dla tego pomysłu zasadę efektywności (która mówi, że krańcowa stawka i tak musi

zostać odprowadzona). Co więcej, takie ruchy tylko skomplikowałyby cały system, na czym znów skorzystaliby ci, którzy podatków chcą unikać.

Wcześniej Polska wstrzymała się od wprowadzenia podatku cyfrowego z powodu nacisków Ameryki. To była jednak inna epoka – przed pandemią i za kadencji prezydenta Trumpa. Dziś globalny klimat dla opodatkowania korporacji się zmienił. Pytanie, czy rząd premiera Morawieckiego tego nie zauważył, czy ma inne powody, dla których nie chce podatków sięgających do kieszeni najbogatszych. Częstotliwość, z jaką lobbyści sektora cyfrowego pukają do drzwi władzy, nie jest tajemnicą. Ale teraz, gdy wszystkie państwa Zachodu poszukują pieniędzy na pokryzysową odbudowę, każdy rząd pozwalający na dalsze unikanie opodatkowania i łagodnie traktujący gapowiczów działa nie tylko na własny rachunek.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeгляд.pl
dymek.substack.com

DKMS
POKONAJMY NOWOTWORY KRWI

Agnieszka,
Dawczyni szpiku

Piotr,
żyje dzięki
Dawcy szpiku

POTRZEBUJEMY CIEBIE!
- POMAGANIE MASZ WE KRWI

**ZOSTAŃ DAWCĄ SZPIKU
NA DKMS.PL**



Mattel, producent zabawek, ubiegły rok zakończył stratą w wysokości 115 mln dol.

Czy zabraknie nam wszystkiego?

Pandemia zatrzęsała globalnym łańcuchem dostaw, przypominając, co znaczy niedobór

Mateusz Mazzini

Że brakowało maseczek, płynów do dezynfekcji i respiratorów – wiemy wszyscy. Rok temu podziw wzbudzały historie osób szyjących osłony twarzy, by jakoś wspomóc służbę zdrowia, czy młodych startupowców, którzy nagle okazali się geniuszami pragmatyczności i od trwonienia pieniędzy inwestorów na kolejne niezbyt potrzebne aplikacje przechodzili do tworzenia oprogramowania zbierającego dane o pandemii lub ułatwień bezdotykowego funkcjonowania. Wiele z tych sytuacji, jak to w gospodarce rynkowej, było wymuszonych koniecznością. Koronawirus przestawił większość światowych gospodarek na inne tory, zamknął też tradycyjne, analogowe kanały dystrybucji produktów. Trzeba było momentalnie przestawić się na produkcję i sprzedaż tego, co aktualnie okazywało się najpotrzebniejsze, żeby zarobić, przetrwać, oszczędzić na kosztach magazynowania starych towarów.

Równoległe z tą zmianą – nazwij ją roboczo przebranżowieniem

medycznym, bo w końcu wywołały ją wirus i potrzeba leczenia jego ofiar – w gospodarce wystąpiło jeszcze jedno zjawisko, o porównywalnej skali dramatu. Z globalnego punktu widzenia przebranżowić się mogły tak naprawdę tylko jednostki, w skali makro stanowiące promile, maksymalnie procenty całych sektorów. Inni, a była ich większość, zmuszeni byli zaciągnąć hamulec albo przynajmniej zwolnić – z produkcją, ze sprzedażą, ze wszystkim. Również dlatego, że produkować zwyczajnie nie było z czego.

Pandemia wywróciła do góry nogami globalny łańcuch dostaw prawie we wszystkich branżach – od spożywczej, przez technologiczną, odzieżową, po samochodową. Zamknięcie fabryk w Chinach, potem w kolejnych krajach azjatyckich, wreszcie w większości krajów globalnego Południa, służącego za fabrykę dla całego globu, połączone z późniejszym ograniczeniem ruchu na granicach, spowodowało, że filozofia kapitalizmu we współczesnym, ekspresowym wydaniu wzięta w łeb. Od dekad największe firmy na świecie wprowadzały

model biznesowy oparty nie tylko na ograniczaniu zatrudnienia przez automatyzację, ale też na ograniczaniu dostaw produktów. Zamiast zamawiać je i otrzymywać cyklicznie, mając wprawdzie swobodny dostęp do nich przez cały czas, ale płacąc za ich przechowywanie, przechodzili na model dostaw *just in time*. Na polski tłumaczyć można to jako dostarczanie produktów dokładnie w chwili, w której są potrzebne. Ani wcześniej, ani później. Tylko tyle, ile trzeba.

Jednym z liderów transformacji łańcucha dostaw przez ostatnie dziesięciolecie była Toyota. Japoński gigant branży samochodowej zrewolucjonizował system zamawiania części od podwykonawców i transportowania ich w poszczególne regiony świata. Azjatyckie fabryki produkowały tylko tyle mikrochipów, ile potrzebowały linie produkcyjne w Brazylii. Transport był natychmiastowy, części instalowane w samochodach, samochody wysyłane do Stanów Zjednoczonych i Europy i błyskawicznie sprzedawane, co pozwalało na otwarcie nowego cyklu produkcyjnego.

Jeszcze niedawno wydawało się, że podejście *just in time* ma same zalety. Pozwala uniknąć nadwyżek w produkcji poszczególnych części czy większych elementów całości, których dzięki temu nie trzeba magazynować. Dodatkowo globalizuje też rynek, bo zakłady produkcyjne niemal w każdym kraju na świecie zależne są od swoich odpowiedników na drugim końcu globu. Gdyby więc któremukolwiek z polityków przyszło do głowy nagle zarządzić odwrót od światowego wolnego rynku w stronę całkowitego protekcjonizmu, biznes postawiłby weto i wygrałby bez większych problemów. Wreszcie *just in time* niesamowicie napędza konsumpcję, co widać w branżach jeszcze bardziej masowych niż samochodowa: odzież, zabawki, elektronika. Celowość i zmniejszenie dostaw powoduje bowiem, że żywot produktu na rynku jest krótki, bo najczęściej nie opłaca się go naprawiać. Na części trzeba by długo czekać, ich zamówienie i instalacja kosztują krocie, łatwiej więc kupić nowszy model. A ten producent zawsze ma pod ręką. Także dzięki *just in time*, bo jeśli linie produkcyjne nie są obciążone zamówieniami pod kątem starszych produktów, łatwo je przestawić na nowsze modele. Spłaszcza się więc cały cykl produkcyjny, powiększa natomiast asortyment firmy. Produktów jest liczbowo mniej, chociaż klient wybór ma znacznie większy. Można kupować szybciej, częściej, łatwiej, nawet jeśli wydaje się to mało sensowne, skoro

zmniejsza odporność gospodarek na zewnętrzne kryzysy. Według badań prowadzonych przez szkołę biznesu City University of London, cytowanych przez „New York Timesa”, amerykańscy producenci w latach 1980-2000 co roku zmniejszali magazynowanie produktów o 2%. Proces ten przybrał na sile w pierwszej dekadzie XXI w., prowadząc do coraz większej zależności tamtejszych firm od poddostawców

Toyota zrewolucjonizowała system zamawiania części od podwykonawców i ich transportu.

z Meksyku, Ameryki Centralnej czy Azji. Pandemia pokazała, że była to ślepa uliczka. Jak wynika z danych firmy doradczej Accenture, aż 94% z 1000 największych amerykańskich przedsiębiorstw odczuło wyraźne zaburzenia w łańcuchu dostaw z powodu globalnej zarazy. 75% zaobserwowało negatywne konsekwencje finansowe tych zaburzeń, a ponad połowa – 55% – już ograniczyła lub zamierza ograniczyć prognozy zysków na najbliższe kwartały.

Do największych poszkodowanych przez koronawirusa należą Intel, producent mikroprocesorów, którego przychody spadły w okresie pandemicznym aż o 41%, a także Mattel, producent zabawek, który ubiegły rok zakończył stratą w wysokości 115 mln dol. Niewiele lepiej wyglądały sprawozdania finansowe potentatów w segmencie *fast fashion*,

Czy cokolwiek teraz się zmieni? Rzut oka na prognozy eksperckie i pierwsze analizy doradców biznesowych wskazuje, że szanse na to są minimalne. Po pierwsze, bo pandemia, choć na prawie półtora roku zmieniła na świecie wszystko, w szerszej perspektywie czasowej tak naprawdę zmieniła bardzo niewiele, a na pewno mniej, niż byśmy sobie życzyli. Willy C. Shih, profesor zarządzania z Harvard Business School,

przypomina, że choć przedsiębiorstwa przeszły trudny okres, klienci nadal będą oczekiwać tego samego: niskich cen, częstej rotacji produktów, szerokiego asortymentu. Choćaby z tego powodu producenci będą musieli przynajmniej częściowo zachować istniejący model. Z kolei firmy doradcze zdają się przyjmować zasadę: czym się strujeś, tym się lecz, na problemy spowodowane nadmiarem globalizacji i neoliberalizmu oferując remedium w postaci... większej dawki obu zjawisk.

Accenture radzi, by łańcuch dostaw jeszcze bardziej rozproszyć i mieć dostawców w jak największej liczbie krajów. Tak jakby eksperci tej firmy nie wierzyli, że problem prawdziwie globalny, np. pandemia, może się powtórzyć. Dodatkowo sugeruje, by jeszcze bardziej uelastyczyć logistykę dostaw, a cały proces poddać szerokiej cyfryzacji.

Podobne rady płyną od innych wielkich graczy na rynku doradztwa – PwC, KPMG, BCG, McKinsey. Dane nas uratują, dane pokażą z wyprzedzeniem, gdzie mamy słabe punkty – zdają się mówić szamani Excela. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że to refren powtarzany co najmniej od dekady. Rosnąca digitalizacja przemysłu i produkcji z pewnością sprawia, że jest on „lżejszy”, bo ma mniej stałych balastów. Lekkie podmioty łatwo przenosi się z miejsca na miejsce po całym świecie, ale równie łatwo może je przewrócić pierwsza lepsza burza. I to jest główna lekcja płynąca z pandemii – nawet jeśli wielu nadal decyduje się ją ignorować.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Żywot produktu na rynku jest krótki, bo najczęściej naprawa się nie opłaca.

realne dostawy produktów są często niewielkie. Zadowoleni są wszyscy wielcy gracze. Producent tnie koszty i zwiększa przychody, inwestor liczy rosnące zyski, zarabiają wszyscy pośrednicy. Okruchy ze stołu nie trafiają tylko do pracowników, kluczowych w całej układance, ale do tego w kapitalizmie XXI w. zdążyliśmy się już przyzwyczaić.

Podejście *just in time* od dawna wzbudzało zaniepokojenie ekspertów rynkowych, podkreślających, że ślepe ograniczanie wszystkiego w pogoni za maksymalizacją zysków

czyli odzieżowych sieciówek. Słabe wyniki zanotowały Inditex, największy na świecie koncern odzieżowy, ale też irlandzki Primark i szwedzki H&M. A także inne europejskie firmy, na których dodatkowo odbił się bojkot konsumencki na rynku chińskim, spowodowany konfliktem o tamtejszą bawełnę, najpewniej zbieraną w obozach pracy przez prześladowanych przez Pekin Ujgurów. To wyliczanie można ciągnąć w nieskończoność, bo *just in time* było do 2019 r. dogmatem gospodarczej globalizacji.



Tomasz Skowronek

Tysiące pudeł zalegających magazyny, pracownicy prując elektrycznymi wózkami, by układać nowe skrzynie, czekające na załadunek kolejki ciężarówek. A w pobliskiej hali setki robotników montujących przy taśmach produkcyjnych rowery. To codzienny widok w RTE Bikes, największej w Europie montowni rowerów, w regionie Águeda w północnej Portugalii, niedaleko Porto. Produkuje się tu felgi, szprychy, widelce, a przede wszystkim dziennie montuje ponad 5 tys. rowerów przeznaczonych na eksport, zwłaszcza dla Decathlonu. „Pracujemy na pełnych obrotach, aby nadrobić zamówienia opóźnione przez blokady”, wyjaśnia Bruno Salgado, dyrektor wykonawczy grupy.

Między marcem a majem 2020 r., kiedy Portugalia wprowadzała *lock-down*, by powstrzymać pandemię, RTE – największy europejski monter rowerów – musiał zamknąć fabrykę i zmniejszyć etaty niektórych spośród 750 pracowników. „Nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać”, mówi Salgado. Jednak od połowy kwietnia on i jego zespół dostali masę zleceń. Koncern musiał zatrudnić więcej pracowników i wprowadzić dodatkowe zmiany.

Jak rower, to z Portugalii

Europejski trend rowerowy napędza lokalne firmy

Popyt na rowery rośnie, po części dzięki pandemii. Coraz więcej osób decyduje się bowiem na ten środek transportu, aby zadbać o formę po długim siedzeniu w zamknięciu lub uniknąć zatłoczonych pociągów i autobusów w drodze do pracy. W niektórych krajach, np. w Hiszpanii, sprzedaż wzrosła o ponad 300% w ciągu kilku miesięcy. Częściej też europejskie aglomeracje zaczynają wdrażać działania na rzecz ochrony klimatu. Burmistrzowie, świadomi korzyści płynących z jazdy na rowerze, coraz częściej stawiają na ścieżki rowerowe. Niekiedy zamykają ulice, aby zrobić miejsce dla pieszych i rowerzystów. Anne Hidalgo, popularna mer Paryża, za jedną z najpilniejszych spraw uważa nakłonienie paryżan do przesiadki z samochodów na rowery. W czasie pandemii stworzono 60 km nowych ścieżek. „Moim następnym celem jest uczynienie każdej ulicy w Paryżu przejezdną dla rowerów”, podkreśla pani mer. Do 2030 r.

w stolicy Francji ma powstać 680 km ścieżek rowerowych.

Mediolan jest w trakcie przekształcania 35 km ulic w ścieżki rowerowe. Niektóre włoskie miasta wprowadziły nawet dopłaty, które mają pomóc w kupnie rowerów osobom dojeżdżającym do pracy. Z kolei Londyn w czasie pandemii uruchomił nowy program wspierający poruszanie się po mieście – *Streetspace*. Jego celem było ułatwienie przemieszczania się w okresie, kiedy wielu ludzi nie chciało korzystać z transportu zbiorowego. Trasy dla jednośladów zostają na stałe, a ich sieć będzie nawet rozszerzana.

W 2020 r. Portugalia wyeksportowała rowery o wartości 400 mln euro.

Do korzystania z rowerów zachęca też Barcelona. Tamtejsza dzielnica Eixample ma się stać terenem architektonicznej rewolucji spod znaku ekologii. Pod koniec 2020 r. lewicowa burmistrzyna Ada Colau ogłosiła plan przebudowy Eixample. Priorytetem będą już nie samochody, tylko piesi, na dotychczasowych skrzyżowaniach powstaną place, a zamiast jezdni

pojawiają się ścieżki rowerowe i pasaż dla pieszych. Projekt jest ambitny, bo dotyczy dzielnicy o powierzchni 7,5 km kw., w samym centrum i zamieszkałej przez 250 tys. ludzi.

Podobne ruchy pojawiają się w Niemczech. Przed Światowym Dniem Roweru 3 czerwca minister transportu Andreas Scheuer przedstawił „Plan rowerowy 3.0”. „Chcemy, aby Niemcy stały się krajem kolarskim – powiedział w kwietniu. – Koronawirus nie ma wielu pozytywów, ale widzimy jeden: bum rowerowy”.

Scheuer planuje wprowadzenie ulg podatkowych na zakup drogich rowerów lub rowerów elektrycznych, podobnie jak na bilety kolejowe. Minister z bawarskiej centroprawicowej partii CSU był krytykowany za promowanie ruchu samochodowego, ale teraz chce podwoić liczbę rowerzystów w Niemczech do 2030 r. Rząd planuje zainwestować 1,46 mld euro w infrastrukturę rowerową do 2023 r.

„Od tego czasu wszystkie miasta zaczęły jeździć na rowerze, który jest bezpieczniejszy niż transport publiczny; wreszcie ten kryzys stał się również szansą”, zauważył Bruno Salgado. Faktycznie, bum rowerowy jest dobrodziejstwem dla północnej Portugalii, gdzie znajduje się skupisko producentów rowerowych. Kraj z 10 mln mieszkańców – czyli nieco ponad 2% populacji Unii Europejskiej – produkuje prawie jedną czwartą rowerów w UE. Branża ta stała się jednym z najszybciej rozwijających się pracodawców w Portugalii, a jej siła robocza zwiększyła się w ciągu ostatnich pięciu lat o 65% – do 7,8 tys. pracowników.

Wzrost ten jest częściowo wynikiem protekcyjnych przepisów handlowych, które uniemożliwiają wjazd do Unii tanich rowerów wyprodukowanych w Chinach. Na początku lat 90. Europejczycy producenci zwrócili się o pomoc do Komisji Europejskiej w związku z konkurencją ze strony Pekinu. Ostatecznie Komisja wprowadziła podatki antidumpingowe w wysokości 30,6% na import chińskich rowerów, a następnie podniosła je do 48,5%.

Portugalskie firmy rowerowe zatrudniły wykwalifikowanych pracowników, gdy inni producenci zamknęli działalność lub przenieśli się gdzie

indziej w poszukiwaniu tańszej siły roboczej. W 2020 r. Portugalia wyeksportowała na cały świat rowery o wartości 400 mln euro. Do tego projekt *Portugal Bike Value* (Portugalia warta roweru) otrzymał właśnie od Komisji Europejskiej nagrodę Supporting for the Internationalisation of Business w ramach strategii Europa 2020.

Niektóre portugalskie fabryki produkują ponad milion rowerów rocznie, co sprawiło, że kraj stał się europejskim potentatem. Takie firmy jak RTE Bikes czy In Cycles niemal

Kraj mający 10 mln mieszkańców produkuje prawie jedną czwartą rowerów w UE.

podwajają produkcję z lat ubiegłych: z ok. 3 tys. do ponad 5 tys. rowerów dziennie. Esmaltina – jedna z najstarszych portugalskich firm produkujących rowery, która działa od 1974 r. – wręcz potroiła w zeszłym roku produkcję i zamówienia tylko na rok 2022. „Przez cały 2021 r. nie można przyjmować nowych zamówień, już teraz realizujemy zlecenia na rok 2022 i 2023 – wyjaśniał rzecznik firmy Paulo Lemos w rozmowie z portugalskim radiem TSF, dodając: – W drugim tygodniu po zatrzymaniu produkcji byliśmy zmuszeni wznowić pracę, zatrudnić więcej pracowników i potroić czy nawet czterokrotnie zwiększyć moce produkcyjne”.

Wiele firm borykało się z brakiem części. „Ze względu na braki materiałów nie byliśmy w stanie zaspokoić popytu – przyznał Lemos. Wszystko dlatego, że komponenty pochodzą w dużej mierze z produkcji azjatyckiej, a ten sektor został dotknięty koronawirusem już w styczniu 2020 r.”.

„Jedną lekcją z pandemii jest to, że musisz być bliżej swojej produkcji”, powiedział Emre Ozgunes, dyrektor generalny Carbon Team, firmy produkującej wysokiej klasy ramy rowerowe, w wywiadzie dla „New York Timesa”. W związku z tym w całej portugalskiej branży rowerowej firmy dążą do zwiększenia produkcji i zmniejszenia uzależnienia Europy od importu z Azji. To pobudziło inwestycje w regionie, a także za granicą – RTE rozpoczęła

budowę nowoczesnej fabryki rowerów chociażby w Polsce w Brześciu Kujawskim. Inne koncerny również zaczęły inwestować i wprowadzać innowacje.

W Portugalii powstała pierwsza w Europie fabryka produkująca ramy rowerowe z włókna węglowego. Portugalczycy wytwarzają też najnowocześniejsze na świecie linie lakiernicze do malowania jednośladów i dostarczają na rynek najlżejsze siodła, które ważą tylko 24 g. Istnieje tu także kilka fabryk produkujących z wykorzystaniem najnowszych technologii niestandardowe felgi.

W zeszłym roku firma In Cycles zainwestowała ok. 1 mln euro w nową fabrykę w Anadii. Inwestycja była spowodowana potrzebami wynikającymi z umowy podpisanej z Uberem, największym operatorem mikromobilności na świecie. Dzięki temu portugalskie przedsiębiorstwo stało się liderem w produkcji rowerów elektrycznych. Zresztą niemal wszystkie firmy rowerowe w Portugalii zajmują się już produkcją elektrycznych jednośladów. To nie tylko wyścig o najniższe ceny, ale także przystosowanie się do szybko zmieniającego się rynku. „Obecnie rower elektryczny stanowi już 40% produkcji – mówi Paulo Lemos. – Jesteśmy pełni optymizmu co do przyszłości”.

Dziennikarz tygodnika „NIE” z wizytą w garderobie Jarosława Kaczyńskiego. Szukał tam butów, a znalazł...
Szczegóły w najnowszym numerze.





Na froncie rozciągającym się od Finlandii po Karpaty agresorzy zaangażowali siły liczące 4 733 990 żołnierzy.

Odwrócone sojusze

Dlaczego musiało dojść do wojny niemiecko-radzieckiej w 1941 r.

Bohdan Piętko

22 czerwca 1941 r. o godz. 3.15 czasu środkowoeuropejskiego rozpoczęła się operacja „Barbarossa”, czyli agresja państw Osi na Związek Radziecki. Liczebność sił niemieckich zaangażowanych w ten atak wynosiła ponad 3 mln żołnierzy. Pierwszego dnia agresji Niemców wsparła tylko 300-tysięczna armia rumuńska. Następnie włączyły się do walki wojska słowackie, 26 czerwca fińskie, a 27 czerwca węgierskie. W lipcu 1941 r. na froncie wschodnim pojawił się też Włoski Korpus Ekspedycyjny. Ogółem na ogromnym froncie rozciągającym się od Finlandii po Karpaty agresorzy zaangażowali siły liczące

4 733 990 żołnierzy, skoncentrowanych w 164 dywizjach – 135 niemieckich i 29 sprzymierzonych. Ich uzbrojenie stanowiło m.in. 12 686 dział i moździerzy, 3612 czołgów oraz 2937 samolotów. Była to największa operacja sił lądowych w historii.

W okresie późniejszym wojska niemieckie zostały wsparte przez ochotników belgijskich, holenderskich, norweskich, francuskich, a nawet hiszpańskich (Błękitna Dywizja), chociaż oficjalnie Hiszpania pozostała neutralna. Dlatego propaganda hitlerowska przedstawiała wojnę z ZSRR jako wielką krucjatę antykomunistyczną narodów Europy pod przewodnictwem III Rzeszy. Odrębnym rozdziałem jest udział w tej wojnie po stronie Niemiec faszystów i kolaborantów

estońskich, litewskich, łotewskich, białoruskich, ukraińskich i rosyjskich. W agresji na ZSRR nie wzięła udziału Bułgaria, choć należała do sojuszników III Rzeszy.

Agresja na ZSRR była jednym z przełomowych momentów II wojny światowej. Hitler wszedł 22 czerwca 1941 r. na drogę, która doprowadziła go do druzgocącej klęski. Kampania zaprojektowana przez jego feldmarszałków i generałów na kilka miesięcy przerodziła się, po początkowych oszałamiających sukcesach, w długą i wyniszczającą wojnę. Już pierwszego dnia wojny niemiecko-radzieckiej Winston Churchill, uważany dotąd za nieprzejednanego antykomunistę, zaoferował Stalinowi pomoc i sojusz. 12 lipca 1941 r. został podpisany w Moskwie przez komisarza spraw zagranicznych Władysława Łośa i ambasadora brytyjskiego Richarda Stafforda Crippsa układ brytyjsko-radziecki o wzajemnych zobowiązaniach w walce przeciwko Niemcom. To był początek koalicji antyhitlerowskiej, do której dołączyły później Stany Zjednoczone i rządy innych państw, w tym okupowanych przez Niemcy. Jej powstanie stało się wielkim ciosem politycznym dla III Rzeszy.

Plan Wschodni

Dlaczego zatem Hitler wykonał 22 czerwca 1941 r. ruch wojskowo-polityczny, który miał, co prawda nie od razu, tak katastrofalne skutki? Odpowiedź na to pytanie jest krótka: wojna niemiecko-radziecka wybuchła, ponieważ wybuchnąć musiała. Była logiczną konsekwencją całej ideologii i polityki hitlerowskiej zmierzającej do stworzenia niemieckiego Lebensraumu (przestrzeni życiowej) na Wschodzie.

„Ostatecznym celem Hitlera – pisał brytyjski historyk Paul Johnson w książce „Historia świata od roku 1917 do lat 90-tych” – było stworzenie 250-milionowego niemieckiego Volku. Na rozległych równinach na zachód od Uralu zamierzał on osiedlić 100 mln Niemców. (...) Na niezmiernych obszarach Ukrainy i południowej części europejskiej Rosji powstać miała nowa cywilizacja. Oto jak opisał ją Hitler: »Tereny te muszą utracić charakter azjatyckiego stepu. Muszą zostać zeuropeizowane! (...) Chłop z Rzeszy będzie mieszkał w pięknych

osadach. Niemieckie agendy oraz władze będą miały siedziby we wspólnych budynkach, w gubernatorskich pałacach. Pierścień uroczych wiosek będzie otaczał w promieniu 30 lub 40 km każde miasto, (...) powstaną niemieckie miasta, jak perły nanizane na sznur, a wokół tych miast rozłożone będą niemieckie osady. Bo nie otworzymy przed sobą Lebensraumu, zagrzebując się w starych, nędznych, rosyjskich dziurach! Niemieckie osiedla muszą być na zdecydowanie wyższym poziomie”.

Nie jest zatem przypadkiem, że właśnie w 1941 r. powstał w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy pod kierunkiem Heinricha Himmlera Generalny Plan Wschodni. Z tego, co o nim wiemy ze źródeł pośrednich

Dostęp do surowców

Równolegle do terroru hitlerowskiego w pierwszych tygodniach wojny nakręcała się spirala terroru stalinowskiego. W masakrach więziennych dokonywanych przez NKWD zginęły dziesiątki tysięcy więźniów politycznych. Mordowano ich na rozkaz komisarza spraw wewnętrznych Ławrientija Berii z 24 czerwca 1941 r., nakazujący rozstrzelanie w zachodnich obwodach ZSRR wszystkich więźniów politycznych, których ewakuacja była niemożliwa. Nie chciano, by jako świadkowie zbrodni stalinowskich wpadli w ręce niemieckie. Dalsze tysiące więźniów politycznych i kryminalnych ginęły w „marszach śmierci”, gnane na wschód przez

Znaczące sukcesy Blitzkriegu w pierwszych tygodniach kampanii niemiecko-radzieckiej utwierdziły Hitlera w przekonaniu, że bliskie jest pomyślnie dla niego zakończenie II wojny światowej. To z kolei przyspieszyło jego decyzję o zagładzie Żydów europejskich, która zapadła w ścisłym gronie kierownictwa III Rzeszy najprawdopodobniej już w lipcu 1941 r.

Celem agresji na ZSRR było także uzyskanie przez Niemcy dostępu do surowców, zwłaszcza ropy naftowej, jak również unicestwienie komunizmu. Zniszczenie bolszewizmu Hitler postawił przed ruchem nazistowskim jako jeden z najważniejszych celów politycznych jeszcze w 1924 r. Agresję hitlerowską próbowali skierować na Wschód pod koniec lat 30. politycy brytyjscy i francuscy i taki był podtekst ich polityki appeasementu, czyli zaspokajania roszczeń niemieckich w latach 1938-1939. Polityka historyczna współczesnej Rosji

Hitlerowcy zakładali depopulację terenów Czech i Moraw, Polski, krajów bałtyckich, Białorusi, Ukrainy i Krymu. Tam miał powstać niemiecki Lebensraum.

(oryginały planu zniszczono przed klęską III Rzeszy), wynika, że hitlerowcy zakładali depopulację (w drodze eksterminacji bezpośredniej i akcji wysiedleńczej, tylko w niewielkim stopniu germanizacji) terenów Czech i Moraw, Polski, krajów bałtyckich, Białorusi, Ukrainy i Krymu. Tam miał powstać niemiecki *Lebensraum*.

Cel ten realizowano od pierwszych dni wojny z ZSRR. Za przekraczającymi granicę niemiecko-radziecką jednostkami Wehrmachtu posuwały się grupy operacyjne policji bezpieczeństwa (Einsatzgruppen), które dokonywały masowych mordów na Żydach, komunistach i osobach posądzanych o bycie komunistami (ale także na inteligencji polskiej we Lwowie i w Stanisławowie). Do zwiększenia skali eksterminacji na zajmowanych terenach radzieckich przyczynił się *Kommissarbefehl* (rozkaz o komisarzach), wydany 6 czerwca 1941 r. w imieniu Hitlera przez feldmarszałka Wilhelma Keitla, nakazujący Wehrmachtowi natychmiastowe rozstrzelanie wziętych do niewoli radzieckich komisarzy politycznych. Masowe zbrodnie dokonane przez Einsatzgruppen i Wehrmacht latem 1941 r. były wstępem do depopulacji Europy Wschodniej. Agresja niemiecka na ZSRR oznaczała ludobójstwo na nieznaną dotąd w historii skalę od pierwszych godzin tej wojny.



Wojna niemiecko-radziecka była konsekwencją całej ideologii i polityki hitlerowskiej zmierzającej do stworzenia niemieckiego Lebensraumu na Wschodzie.

konwojentów z NKWD. Realia życia pod reżimem stalinowskim, w tym wszechobecne w ZSRR terror i zastraszanie, spowodowały niespotykaną gdzie indziej reakcję ludności terenów zajmowanych przez wojska niemieckie. W wielu miejscowościach Litwy, Łotwy i Estonii, zachodniej Białorusi i zachodniej Ukrainy witano entuzjastycznie (w tym kwiatami, chlebem i solą) wkraczające jednostki Wehrmachtu. Robili to nie tylko nacjonaliści ukraińscy i antykomuniści. Szybko jednak zorientowano się, co niesie ze sobą okupacja hitlerowska.

uzasadnia tym, a ściślej rozgrzesza, zawarcie paktu Ribbentrop-Mołotow 23 sierpnia 1939 r. Wedle tej narracji miało to być genialne posunięcie Stalina, które pozwoliło mu zyskać dwa lata na przygotowanie się do wojny z Niemcami i „poprawić położenie strategiczne” Związku Radzieckiego, czyli dokonać zaboru części terytoriów Polski, Finlandii i Rumunii oraz całości Litwy, Łotwy i Estonii.

Pakt Ribbentrop-Mołotow był jednak nie żadnym genialnym posunięciem, tylko poważnym błędem politycznym Stalina, za który ZSRR zapłacił

► agresją hitlerowską z 22 czerwca 1941 r. i 27 mln ofiar. Agresją, której Stalin nie przewidział ani w 1939, ani w 1941 r., uważając, że układy zawarte z Niemcami 23 sierpnia i 28 września 1939 r. wystarczająco zabezpieczają Związek Radziecki. Po współpracy z III Rzeszą, zwłaszcza gospodarczej, Stalin wiele sobie zresztą obiecywał, czego dowodem jest chociażby to, że ostatnie pociągi radzieckie z dostawami surowców dla Niemiec przekraczały granicę niemiecko-radziecką w nocy z 21 na 22 czerwca 1941 r.

Hitler tymczasem traktował układy ze Stalinem jako rozwiązanie przejściowe, mające mu pomóc w rozstrzygnięciu wojny na Zachodzie. Klęska Francji w 1940 r. zaskoczyła wszystkich, także Stalina, a Hitlera wprowadziła w euforię. Właśnie dlatego, mimo że nie została rozstrzygnięta wojna z Wielką Brytanią, wydał naczelnemu dowództwu Wehrmachtu 31 lipca 1940 r. wytyczne

wśród radzieckiej kadry oficerskiej oraz kompromitacja militarna ZSRR w tzw. wojnie zimowej z Finlandią (30 listopada 1939-13 marca 1940). Fakt, że wojskom radzieckim nie udało się podbić Finlandii i poniosły w tej wojnie znaczne straty (ponad 126 tys. zabitych i zaginionych wobec 30 tys. poległych Finów), najprawdopodobniej utwierdził Hitlera i jego generałię w przekonaniu, że Armia Czerwona nie będzie dla Wehrmachtu trudnym przeciwnikiem.

Zerwane więzi

Drugim czynnikiem, który przyspieszył decyzję Hitlera o ataku na ZSRR, była wizyta Wiaczesława Mołotowa w Berlinie, w listopadzie 1940 r. Od szefa radzieckiej dyplomacji Hitler i Ribbentrop usłyszeli m.in., że „Związek Radziecki zainteresowany jest uporządkowaniem Europy na nowo. W szczególności zależy

bieg wypadków dążyćby do zniszczenia ZSRR, nawet gdyby wizyta Mołotowa zakończyła się z niemieckiego punktu widzenia pomyślnie.

W mediach zachodnich i polskich od dawna popularyzowane są tezy głoszone przez publicystów Wiktora Suworowa i Marka Sołonina, że ZSRR latem 1941 r. przygotowywał się do ataku na Niemcy i agresja hitlerowska jedynie uprzedziła ten atak. Autorzy ci dowodzą, że państwo Stalina od co najmniej dekady prowadziło intensywne zbrojenia, Armia Czerwona zaś potencjałem znacząco przewyższała siłę Wehrmachtu. Miałąca po stronie radzieckiej była zwłaszcza przewaga liczebna pod względem broni pancerniej, jednak w 1941 r. większość z ok. 20 tys. czołgów radzieckich stanowiły przestarzałe T-26, T-28, BT-5 i BT-7. Miał istnieć plan „Burza” (albo plan mobilizacyjny MP-41), czyli domniemany plan ataku ZSRR na III Rzeszę, opracowany w 1940 r., który zakładał uderzenie na Niemcy, gdy będą one zaangażowane w inwazję na Wielką Brytanię (inwazja ta została jednak odłożona na czas nieokreślony po porażce Niemiec w bitwie lotniczej o Anglię w 1940 r.). Zdaniem Sołonina operacyjne rozwinięcie Armii Czerwonej do natarcia na Europę miało się rozpocząć w 1941 r., 19 lub 20 czerwca*.

Tezy te nie są dostatecznie udokumentowane i nie można ich traktować jako pewnych. Do agresji hitlerowskiej na ZSRR doszło niezależnie od tego, czy istniał plan ataku radzieckiego na Niemcy i czy rzeczywiście w 1941 r. przygotowywano się do wprowadzenia go w życie. Dlatego nie można jej w żadnym wypadku przedstawiać jako „ataku przewencyjnego”, jak robią to powołujące się na pisarstwo Suworowa niektóre prawicowe media polskie. Wojna z ZSRR wybuchła, ponieważ Hitler uznał, że doprowadził do wystarczającego rozstrzygnięcia militarnego na Zachodzie i przyszedł czas na zrealizowanie najważniejszego celu politycznego – zdobycie dla Niemiec Lebensraumu na Wschodzie. Zajęcie Europy Wschodniej było dla Hitlera celem strategicznym. Wojna z Zachodem, zwłaszcza z Wielką Brytanią, była tylko środkiem do tego celu.

Bohdan Piętko

* Mark Sołomin, *22 czerwca 1941, czyli jak zaczęła się Wielka Wojna Ojczyźniana*, Poznań 2007, s. 30.

Pakt Ribbentrop-Mołotow nie był genialnym posunięciem Stalina, ale poważnym błędem, za który ZSRR zapłacił niemiecką agresją.

w sprawie opracowania planu „Barbarossa”. Plan ten Hitler zatwierdził dyrektywą nr 21 z 18 grudnia 1940 r. Jej pierwsze zdanie głosiło: „Jeszcze przed zakończeniem wojny przeciwko Anglii niemieckie siły zbrojne muszą być przygotowane do pokonania Rosji radzieckiej w krótkotrwałej kampanii”. Kampania ta miała trwać najwyżej pięć miesięcy, a siły niemieckie miały uderzyć na trzech kierunkach: północnym (Leningrad), centralnym (Smoleńsk, Moskwa) i południowym (Kijów). Datę ataku wyznaczono na 15 maja 1941 r. Została jednak przesunięta na 22 czerwca ze względu na zaangażowanie wojsk niemieckich w kampanię bałkańską (Jugosławia, Grecja). Opóźnienie niemieckiego ataku i wczesny początek wschodnioeuropejskiej zimy w 1941 r. prawdopodobnie uratowały Związek Radziecki przed całkowitą klęską.

Hitler, kierując opracowaniem planu „Barbarossa”, był przekonany o słabości przeciwnika, dlatego uznał, że kampanię uda się rozstrzygnąć tak szybko. Przesłanką do niskiej oceny wartości bojowej Armii Czerwonej była prawdopodobnie wiedza o rozmiarach czystek stalinowskich

mu na tempie i formie kształtowania na nowo Europy”. Zaprezentowane przez Mołotowa stanowisko było nie do przyjęcia dla Hitlera. Wódz III Rzeszy uważał, że w Europie tylko Niemcy są gospodarzami. Dlatego nie mógł się pogodzić z przedstawionymi przez Mołotowa ekspansjonistycznymi celami ZSRR odnośnie do Bułgarii, kontroli przejścia z Morza Czarnego na Morze Śródziemne (w tym radzieckich baz w Turcji) czy swobody przejścia przez cieśniny duńskie. Próbował skierować zainteresowanie rozmówcy na rejon Zatoki Perskiej i Oceanu Indyjskiego, bezskutecznie oferował ZSRR przystąpienie do Paktu Trzech (czyli Osi) i udział w rozbiórce Imperium Brytyjskiego. Władimir Pawłow, radziecki tłumacz, opisał później te rozmowy jako „wyraźnie pozbawione sensu”. Stało się wtedy dla Hitlera oczywiste, że więzi między obydwojma mocarstwami, powstałe dzięki paktowi Ribbentrop-Mołotow, pękają.

Fiasko rozmów z Mołotowem w Berlinie stanowiło jednak tylko pretekst do agresji na Związek Radziecki. Analizując wojenne poczynania Hitlera, można założyć, że bez względu na

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Deszcze niespokojne

Deszcze padały zawsze. Ulewne także. Niekiedy ich oczekiwanie nabierało zupełnie niesamowitych wymiarów, choćby wówczas, gdy w polskim parlamencie (w kaplicy sejmowej) w 2006 r. odprawiano mszę o deszcz zamówioną przez posłów PiS. Czasem deszcz, czasem go brak – wydawałoby się, nic nowego pod słońcem. A jednak nie. Parogodzinne opady w ubiegłym tygodniu doprowadziły do małych klęsk żywiołowych w Poznaniu (przede wszystkim) i Krakowie (na mniejszą skalę). Zatopione auta, nieprzejezdne dla komunikacji ulice, zawalony dach nowo wybudowanej szkolnej hali sportowej, z której dzięki przytomności umysłu dyrektorki chwilę wcześniej ewakuowano uczniów. Awaryjne prądu i inne dolegliwości. Ktoś powie: przecież nawet nikt nie zginął. Skąd lament nad deszczem, nawet obfitym? Jestem przekonany, że na to, co wydarzyło się w Poznaniu, należy spojrzeć szerzej (nie powiem w tym kontekście, że głębiej), mądrzej, z wyobraźnią. Obejrzelśmy bowiem kumulację co najmniej dwóch zjawisk, które są globalnym trendem i na razie tylko kolejną zapowiedzią (na świecie – który poza Polską istnieje, w co Polakom często trudno uwierzyć – podobne kataklizmy bywają bardziej dotkliwe i są jednak zauważane) i ostrzeżeniem. W wyniku zmian klimatycznych – co do tego mamy tzw. naukowy konsensus – zjawiska pogodowe nabierają nieznanej wcześniej lub rzadko występującej gwałtowności, intensywności, obfitości i skali. W ciągu kilku godzin zanotowano opady wysokości jednej dziesiątej opadów rocznych. Z takim rosnącym nasileniem gwałtownych zjawisk pogodowych mamy do czynienia od lat, zaczynamy je widzieć na własne oczy. Jeśli ktoś nie mieszka obok lodowca albo nie obserwuje go przez całe życie, to najczęściej nie ma pojęcia o skali ich topnienia i znikania. Mieszkańcy choćby europejskich Alp – zobaczyli.

Problem wzrostu gwałtowności zjawisk przyrodniczych polega na tym, że będą się tylko intensyfikować. Same się nie zatrzymają. Niektórzy eksperci twierdzą, że my też ich już nie powstrzymamy. Tak świat natury reaguje na zmiany na Ziemi, których sprawcą jest człowiek. Mówię „sprawcą” w znaczeniu przestępczym, wobec globu jesteśmy niszczycielami, szkodnikami, demolkarzami. Tu się zrodził zresztą pomysł najbogatszych na rozbudzenie fascynacji ucieczką na Marsa czy gdzieś tam w kosmos. Żeby zniszczyć kolejny fragment świata, nie ponosząc odpowiedzialności za to, co zrobiliśmy z Ziemią. Możemy zacząć też sygnały odbierać i traktować z najwyższą powagą lub nadal zajmować postawę indyferentną. Nie pytamy kandydatów w wyborach politycznych, jak zamierzają się zachować wobec nadciągających kataklizmów, media interesują się tematem jeden dzień, bo mistrzostwa, bo duperele w mejlach rządzących, bo dwa różne buty na nogach Kaczyńskiego, bo Krystyna Pawłowicz chce od Szwedów odszkodowania za potop, ale ten spod

Jasnej Góry. Równocześnie oglądaliśmy spektakl nieprzygotowania wielkiego, wybetonowanego miasta na podobną nawałnicę, mało uspokajająco brzmiał prezydent Jaśkowiak, tłumacząc, że żadne kanały burzowe nie dałyby rady. No cóż, będzie tylko intensywniej i mocniej, może czas pomyśleć i zacząć działać kompleksowo i do przodu? Ubiegłoroczny raport ONZ „Woda a zmiany klimatu” powinien być lekturą obowiązkową polityków każdego szczepła, a może każdego z nas. Woda jest kluczowym elementem i zagrożeniem, i szansą. „Woda jest podstawą wszelkiego życia na Ziemi i podstawowym prawem człowieka. Dlatego woda powinna być sercem wszystkich działań i strategii podejmowanych w celu przeciwdziałania zmianom klimatu, wdrażania założeń zrównoważonego rozwoju czy przeciwdziałania klęskom żywiołowym i wielu innych programów”.

„Zrównoważony rozwój”, jego cele, metody i strategię – czy kiedykolwiek jakiś główny program informacyjny zaczynał się od takiego problemu? Czy szkoła, w której na indoktrynację katolicką poświęca się więcej godzin lekcyjnych niż na fizykę, biologię, chemię razem wzięte, jest w stanie nas przygotować do wyzwań nadchodzących dekad? Czy jedyną reakcją będzie zamawianie modlitw o deszcz, o brak deszczu, o łżejsze pioruny, łagodniejsze wiatry i bardziej przepustowe kanały odprowadzające potopy deszczówki? Nie czytając sygnałów, pozostajemy bezbronni wobec nadchodzącego. Bo każdego dnia mamy coś do zrobienia. Aż przestaniemy mieć cokolwiek do zrobienia, bo nie przeżyjemy. To ci katastrofizm niewyważony. A tu nie można tak ekstremistycznie. A klimat, pogoda po prostu będą coraz bardziej ekstremistyczne.

Przed kilkoma laty w BBC, wzorze cnót mediów publicznych w Europie i na świecie, wypełniając świętą misję bezstronności (nie obiektywizmu, to jeszcze dodatkowa uzurpacja), wycofano się z praktyki zapraszania przedstawicieli skrajnie odmiennych poglądów na zmiany klimatyczne. Zrozumiano, że nie istnieje symetria między opinią i zgodą tysięcy naukowców a wynurzeniami przypadkowych „zwykłych obywateli”. Wyrażono to mniej więcej tak: „Bądźmy świadomi »fałszywej równowagi«. Ponieważ wiadomo, że zmiana klimatu ma miejsce, nie potrzeba »zaprzeczającego«, aby zrównoważyć dyskusję. (...) Aby zapewnić bezstronność, nie musimy włączać do materiałów BBC otwartych sceptyków klimatycznych, dokładnie tak samo, jak nie trzeba zapraszać kogoś, kto zaprzecza, że Szwecja wygrała z Polską zeszłej środy 3:2. Sędzia przemówił” (cytat za Marcinem Napiórkowskim, przykład meczu zmieniony – sens pozostał).

Uczciwie i bezstronnie to nie znaczy dać każdemu tak samo ważący głos. Nauka to nie urna wyborcza.

A burza idzie.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Wykonałem swoją robotę, żeby nudno nie było

Jako pisarz opisuję własne obsesje. W tym jestem najlepszy

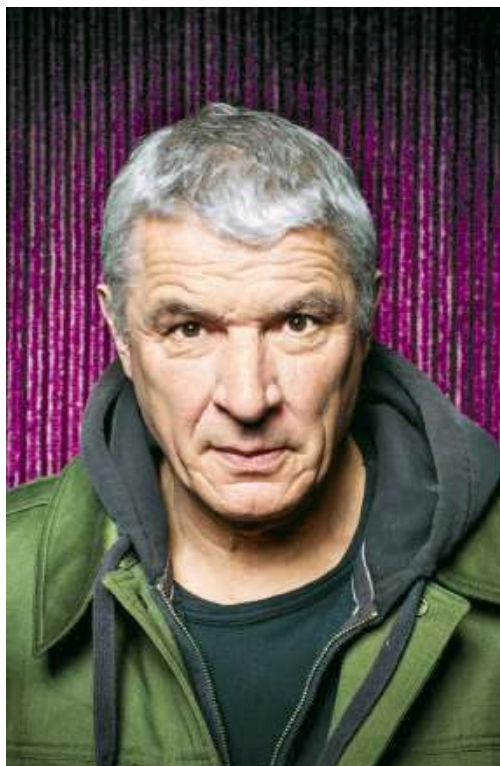
Rozmawia Jan Tracz

„Przewóz” jest pańskim powrotem do powieściopisarstwa. Skąd pomysł na tę książkę? Jej tematem są początki II wojny światowej, (nie)duże tragedie ukazane są w niej w dramatyczny sposób.

– Pierwsza sprawa jest taka, że po prostu miałem ochotę napisać tego typu książkę. Wpadła mi do głowy myśl, że trzeba to zrobić. No to zrobiłem! Wziąłem się do roboty, nie miałem żadnych większych pobudek, w moim przypadku to właśnie tak wygląda, nie ma tu jakiegokolwiek kalkulacji. Historie same przychodzą, a potem stają się czymś w rodzaju obsesji. Następnie trzeba znaleźć odpowiedni język, by opowieść przedstawić czytelnikowi w jak najprzystępniejszy sposób. Powieści nie pisałem od 12 lat, więc sam sobie zadałem wówczas pytania: Czy potrafisz? Czy nie zapomniawszy? Uda się? To prosty schemat, zresztą to jest mój zawód. Jako pisarz opisuję własne obsesje. W tym jestem najlepszy. To tylko moje wyobrażenie tego procesu teraz. Jak było naprawdę? Nie mam bladego pojęcia. Natomiast wiem, że zadanie jest zawsze jedno i to samo: odnalezienie słów najlepiej brzmiących po polsku. Sensy, brzmienia, rytmika, moc i siła wywoływania obrazu... to cała filozofia. Jak już skończyłem „rzeźbić”, napisałem do mojego kolegi Kamila. Spytałem: „Kamil, widać?”. „Widać”. I to mi wystarczyło. Jeśli ten obraz będzie plastyczny, to wiem, że swoje zadanie wykonałem przynajmniej poprawnie.

Pan ma w głowie obrazy?

– Ja nimi myślę! W prozie to dla mnie arcyważny element, w poezji zresztą tak samo.



ANDRZEJ STASIUK

– prozaik, poeta, dramaturg, eseista, publicysta i wydawca

Na lekcjach w liceum omawialiśmy fragmenty pańskich tekstów, „Opowieści galicyjskich” i „Jadąc do Babadag”. Jako 17-latkowie nie rozumieliśmy treści, ale czuliśmy sugestywność pisarskiego płótna. To wymagające lektury, ale dzięki tej barwności mogą przemawiać do wszystkich.

– Tutaj muszę panu przerwać, bo ja też nie do końca rozumiałem, co wtedy pisałem. Nie był pan, wraz ze swoimi kolegami i koleżankami, w tych interpretacjach odosobniony. Szkoła zmusza do dziwnej umiejętności „rozumienia tekstu”. Tekst ma coś w tobie budzić, a to rozumienie jest jakimś XIX-wiecznym

pomysłem. Nie ma czym się przejmować, czasem sam się głowię nad tym, co akurat napisałem. Literatura ma budzić w człowieku emocje, a nie być bezpłciowym tworem, który trzeba poznać, wykuć i zapomnieć. A w trakcie prawdopodobnie też znienawidzić. Sam częściej stawiam na dynamikę niż na sens i fabularną konsekwencję.

„Przewóz” ukazuje triumf naturalizmu nad realizmem. Chodzi o pastwienie się nad czytelnikiem czy ukazanie prawdy taką, jaką wówczas była?

– Zadałmy sobie pytanie, czym tak naprawdę jest brutalność. To ma działać, bo przecież piszę o wojnie. Świat dookoła jest zwierzęcy, rzeczy z powieści mogły się kiedyś wydarzyć. Nie staram się usilnie szokować, raczej trzymam się ówczesnej rzeczywistości. Mogłem przycisnąć pedał i opisać straszniejsze zdarzenia, ale to nie był mój cel. Zależało mi na zachowaniu pewnej dozy harmonii. Z jednej strony, znajdziemy tu udane liryzmy gramatyczno-tragiczne między postaciami, ale odbiorca tej książki nie może zapominać, że „Przewóz” mówi o wojnie i jej zasadach. Powinna łać się krew, a przecież jest jej tam bardzo mało, głównie pojawia się ta zwierzęca. To książka, w której okrucieństwo karze jeszcze większym okrucieństwem, ale sprawiedliwym. Ja, urodzony w 1960 r., jestem dzieckiem wojny, ona wciąż trwała w ówczesnej popkulturze, w rodzinnych opowieściach, moje doświadczenia z wojną są prędzej zetknięciem z jej postbrutalnością. Dlatego ta powieść wygląda tak, a nie inaczej. Z drugiej strony, chciałem napisać brutalną książkę, więc niech nikogo nie dziwi, że znajdzie w niej mocniejsze momenty.

W jednym z wywiadów nazwał pan „Przewóz” polskim *danse macabre*.

– Zapewne jest on o mrocznej części polskiej duszy, o ludziach uwikłanych w *danse macabre* na polskich ziemiach.

Również ta „antypolskość” oburzyła część odbiorców. Ludzie zarzucali panu brak dobrego smaku, przekroczenie granic moralnych.

– Ale ja kompletnie nie myślę o czytelniku, zależy mi na historii, którą akurat chcę przedstawić. Co to znaczy „dobry smak”? Literatura

nasza tożsamość przestanie kompletnie istnieć.

Bohaterowie są jedynie pretekstem do ukazania pamięci. Siwy, Młody, Miętus – te imiona brzmią mgliście. Niedookreślenia sprawiają, że te postaci jakby nie mają duszy, indywidualności. Dlaczego tak?

– To są ich pseudonimy, nie odkrywam kart w postaci prawdziwych imion i nazwisk, wpasowałem ich w tamtejsze ryzy historyczne. Co do samych postaci, to każda z nich wychodzi z jakiejś przeszłości. Ojciec

Zadanie jest zawsze jedno i to samo: odnalezienie słów najlępiej brzmiących po polsku.

polega też na świadomej prowokacji, przecież moim celem jest, by dana lektura wywoływała mniej lub bardziej pozytywne emocje w czytelniku. Dla mnie ta powieść jest „arcypolska”, nie napisałem w życiu lepszego studium polskiego narodu. Bo ja od zawsze próbuję to robić: opisać mój jedyny, umiłowany kraj. Może nieco bezlitośnie, ale nie uznaję tego za jakiegokolwiek przestępstwo literackie. Dla pisarza najciekawsze są człowiecze kompleksy, ciemności, pewne niedopowiedzenia, do których może on dopisać coś własnego. Polak jest pełen przeciwieństw, jego natura nakazuje mu konfrontować się z całym światem. Takie rzeczy są dla mnie pociągające.

Cytat z książki opisuje mentalność naszego narodu: „Przez sen pomyślałem, że jestem jak ten kraj: wciąż powracam do dzieciństwa”. Ta metafora nawiązuje do przeżywania przeszłości, a książka rozlicza Polaków z ich historią. Czy tak nadmierne „kultowanie” przeszłości pana mierzi?

– Nie, ono mnie interesuje. To jest książka o pamięci, a także jej utracie. Przeszłość definiuje więc nasze własne ja, wpływa na nasze rozumienie świata, na obraną perspektywę. Zadaję w tej powieści ważne pytanie: gdzie jest ta równowaga między zachowaniem pamięci a wyzwoleniem się spod jej przemożnego wpływu? To swoją drogą wielki problem. Jedne narody mają mniejszą pamięć, inne skomplikowaną, ale ona jest zawsze istotna. Nie namawiam do jej utraty, jeśli do tego dojdzie, wtedy

jednego jest folksdojczem, drugi kogoś pobił, bo jego matka była kurwą, trzeci miał jeszcze inne perypetie. Jednak specjalnie nie rozpisuję ich pełnych biografii, to nie jest żadna saga sprzed 200 lat, więc czytelnik nie otrzymuje pełnej puli informacji. Ba, on nawet umyślnie jest oszukiwany przez narratora. Jest sporo zawiesznień i niedopowiedzeń. Dobra proza ma, moim zdaniem, zmuszać do wyobraźni, kombinowania, dopowiadania sobie niektórych wydarzeń. To jest zbyt patriarchalne, kiedy pisarz podaje wszystko na tacy. Trzeba

Od zawsze próbuję to robić: opisać mój jedyny, umiłowany kraj.

dać pole czytelnikowi. W ten sposób traktuję go poważnie. Zawsze zależało mi na niejasnych, enigmatycznych historiach. Co do śmiertelności – to jest wojna, swego rodzaju loteria. Każdy ma, w teorii, równe szanse na przetrwanie.

Narrator funkcjonuje tu jako *alter ego* autora. Czy stworzenie takiej figury było autoterapią, czy ekshibicją na rzecz koncepcji fabularnej?

– Wciąż upieram się, że jest to narrator, a nie autor. On opowiada dosyć prywatną historię, która musiała być współczesna, ponieważ „Przewóz” jest na swój sposób próbą odpowiedzi na naszą współczesność. Mam cichą nadzieję, że nie ma tam zbyt przesadnego ekshibicjonizmu. Starałem się tego zawsze unikać, ale jeśli ktoś znajduje takie ślady, to bardzo

przepraszam. Tak naprawdę, poza fabularnością i historycznością lektury krajobraz tej opowieści jest krajobrazem mojego dzieciństwa. Ja w tym północno-wschodnim, nadrzecznym pejzażu dorastałem. I to ustawiło moją zmysłowość na całe życie, najpierwotniejsze obrazy pamiętam właśnie z tych miejsc. Chciałem oddać hołd krainie mojego dzieciństwa. Ona mnie formowała, chciałem ją ocalić... Przynajmniej dla samego siebie. Barwy, zapachy, kształty, zwierzęcość; uwzględniłem te aspekty w książce, a wojnę dodałem jako kontrapunkt. Połączyłem te wątki ze współczesną podróżą i całość ułożyła się w koncepcję „Przewozu”. Dla mnie geografia i krajobrazy są czymś fundamentalnym, nie potrafię omijać opisów przyrody we własnej literaturze. Dlatego musiałem dodać trochę alkoholu, seksu i przemocy!

Spaczeni, brudni mężczyźni są ustawiani do pionu przez nierzadko znieczulone emocjonalnie kobiety. To kobieta kontroluje swój żywot psychiczno-fizyczny. Parafrazując Łukasza Maciejewskiego, w „Przewozie” kobieta skrzy się lucyferycznie. Bohaterki wiodą tutaj prym.

– Trzy bohaterki w tej książce pokazują swoją moc. Starałem się ograniczoną męskość ideologiczną zrównoważyć silną kobiecością. Literatura jest sztuką kontrastu. Zastanawiam się, czy one są lucyferyczne. Prędzej są bardziej wyzwolone od facetów, którzy siedzą gdzieś w okopach tej toksycznej męskości.

Zresztą ostatnie słowo fabularne należy do kobiety. Tak wyszło, pasowało mi to zarówno kompozycyjnie, jak i pogładowo.

Odnoszę wrażenie, że w tej powieści jest połowa strumienia pisarskiego, a połowa świadomych koncepcji.

– Nie wiem, jak rozłożyć te proporcje. Być może chciałem połączyć wszystkie języki, którymi potrafię operować, może pragnąłem portretować obcą rzeczywistość, tak jak robiłem to w kilku innych książkach. Podsumuję to tak: wykonałem swoją robotę, żeby nie było nudno. Powieść jest czymś w rodzaju symfonii, wykorzystuje wszystkie muzyczne środki. Mam wrażenie, że „Przewóz” jest udaną symfonią. Dobrze się tego słucha. ■

27. MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE

Zbigniew Namysłowski Quintet

Ta impreza jest letnią wizytówką artystyczną stolicy – od prawie trzech dekad sobotnie wieczory na Starówce w lipcu i sierpniu rozbrzmiewają najlepszym i najciekawszym jazzem. Festiwal przyciąga publiczność zróżnicowanym stylistycznie programem, prezentującym najwartościowsze zjawiska w muzyce międzynarodowej i polskiej. I właśnie polskim wykonawcom, na znak solidarności z rodzimą sceną jazzową w trudnym czasie pandemii, poświęcona będzie tegoroczna edycja (zorganizowana według procedur epidemiologicznych – więcej informacji w spotach przed koncertami). Jako pierwszy wystąpi wybitny multiinstrumentalista, kompozytor i aranżer, artysta w równej mierze zafascynowany możliwościami jazzu, co urodą folku, a także prekursor w łączeniu tych dwóch światów, Zbigniew Namysłowski. Wstęp bezpłatny, szczegóły na: www.jazznastarowce.pl.

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 3 LIPCA, GODZ. 19

(ap)



SERIAL

RICK I MORTY

reż. Jacob Hair, HBO i HBO GO

Piąty sezon to odtrutka na poddające się poprawności politycznej komedie. Animacja, której głównymi bohaterami są dziadek, szalony naukowiec, i jego nierozgarnięty wnuk, nie szanuje świętości. Śmiało żartuje się tu z czarnych, katolików, ciepłotywności i seksu. Ja-kość dowcipu nigdy jednak nie spada poniżej pewnego poziomu, więc widzowie, których stać na dystans wobec dosłownej przemocy i naturalizmu, będą się bawić świetnie. Czwarta seria budziła niepokój, że formuła serialu się wyczerpała,



ale pandemia wpłynęła na scenarzystów twórczo, bo parodia „Aquamana” i żarty z dyspozytora policji, który pyta zgłaszającego o kolor skóry, naigrawają się z filmów superbohaterskich i klimatu społeczno-politycznego Ameryki. A przy tym bezpośredni Rick uosabia pragnienia, by głośno mówić to, czego powiedzieć nie wypada.

Artur Zaborski

KURTYNA W GÓRĘ



„Skóra węża”, tekst i reżyseria Artur Urbański, Teatr Narodowy, scena przy Wierzbowej, premiera 27 maja 2021

WAMPIR BRECHT

Chociaż to sztuka o reformatorze teatru Bertolcie Brechcie, żerującym na oddanych mu kobietach, żonie (Aleksandra Justa) i kochankach, szczególnie na Ruth Berlau (Beata Fudalej), samego Brechta na scenie nie zobaczymy. Spotkamy za to jego asystenta-stażystę Konrada Swinarskiego (Paweł Głowaty), który w Berliner Ensemble rozpoczynał drogę charyzmatycznego reżysera. Nie pierwszy to dramat odśnawiający niezbyt pociągające oblicze artysty jako człowieka prywatnego. Siłą tego spektaklu są kreacje rywalizujących kobiet. Pamiętać będzie się też epizod Marka Barbasiewicza w roli wykonawcy maski pośmiertnej Brechta. Artur Urbański, sięgając po liczne świadectwa, skonstruował przejmującą sztukę nawiązującą do poetyki Brechta, korzystając także ze środków satyry.

Tomasz Miłkowski

SMUTNY KONIEC KLEKSA

Bajka z piosenkami zaproponowana przez Jana Brzechwę w „Akademii Pana Kleksa” miała wprowadzić realia historyczne. Podczas zabawy w geografię padają z ust uczestników wyłącznie nazwy pól bitewnych polskiego żołnierza z II wojny światowej: Narwik, Monte Cassino, Lenino itd. Skierowanie uwagi widzów na ten okres dziejów nie zawierało jednak takich słów jak getto, choć najwyraźniej autorom widowiska dla dzieci i dorosłych chodziło o prze-myślenie informacji, że Brzechwa stworzył „Akademię” podczas okupacji. Udało się natomiast rozbawić publiczność nietypową obsadą. Do roli Dziewczynki z zapałkami zaproszono drobniutką 90-latkę Wandę Siemaszko, a Królową Żabką stała się Gołda Tencer. Prócz uśmiechu był i smutek, kiedy okazało się, że Pan Kleks nie wiadomo dlaczego kończy żywot Akademii.

Bronisław Tumitowicz



Jan Brzechwa, „Akademia Pana Kleksa”, adaptacja i reżyseria Michał Buszewicz, Teatr Żydowski, premiera 11 czerwca 2021

Kolumnę przygotowała Agata Gogółkiewicz

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Stan idealny

Słuchałem i oglądałem, jak Lidia Staroń, pisowska kandydatka na rzecznika praw obywatelskich, zachęcała w Senacie, by na nią głosować – długa, nudna, niemądra i źle wygłoszona mowa. Przekonywała nieporadnie, że jest niezależna. Do tego nie trzeba przekonywać, jest się albo się nie jest. Potem były pytania senatorów. Dawno nie widziałem takiego spektaklu. Bredziła jak Piekarski na mękach. I wydawało się, że zaraz się rozplacze. Oglądałem to przez niemal godzinę zatrwożony, zniesmaczony i rozbawiony zarazem. I pomyśleć, że polski Sejm przegłosował taką kandydatkę. Ale przy okazji kilka świetnych wystąpień senatorów opozycji, w tym Michała Kamińskiego. Wybitny mówca. A pamiętam, jak przed laty z Markiem Jurkiem i Tomaszem Wołkiem wybrał się spotkać z osadzonym w areszcie domowym gen. Augustem Pinochetem, by wręczyć mu pamiątkowy ryngraf z Matką Boską. Zdarzają się jednak cudowne przemiany ludzi, Tomek Wołek też się zmienił, tylko Jurek jest uparcie i świętobliwie sobą.

Posłaniec przyniósł moją nową powieść „Arytmia i kwarantanna”. Jak zwykle gdy ukazuje się moja książka, gdy jeszcze pachnie drukiem, dziwne poczucie swojskości i obcości zarazem. Kusi, żeby ją ponownie przeczytać, ale strach, że to nic niewarte. Skorzystałem w tej powieści, w jej drugiej części, ze wszystkich osobliwości pandemii i kwarantanny. Już choćby po to, by dać świadectwo. Bieda z moją żoną, która każdą moją nową książkę czyta, poodejrzewając, że jest autobiograficzna, i ma do mnie różne żale. A przecież pisarz, nawet jeśli korzysta z okruszków swojego życia, buduje na nich fikcję.

Oglądałem mistrzostwa Europy w piłce nożnej; jak już pisałem, nie kibicuję polskiej drużynie, to znaczy kibicuję, ale umiarkowanie, więc oglądałem mecze na luzie, oczywiście utożsamiając się z różnymi drużynami. Decyduje sympatia do jakiegoś kraju czy stylu gry. Ciekawy jest ten mechanizm utożsamiania się, dotyczy on wielu dziedzin życia. Wiele we mnie patriotyzmu, stąd też taka niechęć do PiS. Uważam, że niszczy Polskę. Utożsamiam się z polskimi tenisistami, a z piłkarzami jakoś nie mogę, to chyba też wina kibiców piłkarskich, ich prymitywnych plemion. Uderza, jak zmienili się sportowcy nowej ery wobec tych dawnych. O ileż ładniejsi, o wiele lepiej mówią i myślą.

Przed meczem Polska-Szwecja Krystyna Pawłowicz wspomniła na Twitterze, że jej zdaniem będzie okazja do

tego, by Szwedzi zwrócili dobra narodowe polskiej kultury, które zostały wywiezione z kraju w XVII w. Szwedzkie media odnotowały te słowa sędzi Trybunału Konstytucyjnego. Jeśli to był żart, to nierozważny. Bardzo w stylu tej osobliwej, niechlujnej w wyglądzie i w wypowiedziach polityczki PiS. Ale to prawda, Szwedzi w XVII w. zupełnie zrujnowali Polskę, a grabili, co się dało. Mieszkając w Szwecji przez kilka lat, naoglądałem się w szwedzkich muzeach setek cennych obiektów przywiezionych z Polski. Wiele też drobnych przedmiotów codziennego użytku, widać, że biedni grabili bogatego. Po szwedzkim najeździe Polska podniosła się dopiero niedawno. Tak, jakąś formę dobrobytu uzyskaliśmy dopiero teraz.

Wracając zaś do mistrzostw Europy w piłce nożnej, od zupełnego potępienia polskiej drużyny po meczu ze Słowacją nastąpił po niezłym meczu z Hiszpanią czas euforii. Polska generalnie jest manodepresyjna, czyli dwubiegunowa.

Czy Tusk powinien wrócić do polskiej polityki? Jeśli myśli bardziej o Polsce niż o sobie, to uważam, że tak. Będzie to wejście do szamba, rozumiem, że to niełatwe po bywaniu na światowych salonach. Ma swoje winy

Polska generalnie jest manodepresyjna, czyli dwubiegunowa.

w dojściu do władzy PiS, byłaby to więc jakaś pokuta. Budka, Schetyń to jednak przy nim mikrusy. Tym, którym Tusk będzie przeszkadzał po opozycyjnej stronie, zostaje Hołownia, a to nie jest zły wybór.

Ostatnio zepsuło się nam kilkanaście różnych rzeczy w domu czy z domem związanych. Mieszkamy w Międzyzlesiu od 12 lat, jedną z cech naszej cywilizacji jest to, że nie wytwarza przedmiotów na dłużej, chodzi o napędzanie popytu. Teraz w upał nagle nie mamy wody. Katastrofa. Mamy za to po sąsiedzku elektryka, zna się też na hydraulice, złota rączka; zawsze się spóźnia, ale ostatecznie nigdy nie zawodzi. I jest niepokojąco tani. Spóźnił się, ale nie zawiódł. A nazajutrz znowu woda, ale w jeziorze. Byliśmy tu rok temu. Drewniany domek zbudowany przez dwójkę malarzy, pełen prostych, artystycznych rozwiązań. Prawdziwe cacko. Pojezierze suwalskie, blisko Sejnu, pusto, cicho i dziko. Kotyszę się w wodzie na plecach, patrząc na niewielkie, jasne chmury na niebie. I myślę o niczym. Stan idealny.

t.jastrun@przegladtygodnik.pl

Jest aktorstwo, jest ryzyko

Nie ma nic bardziej fascynującego niż ludzkie słabości. To one mówią prawdę o tym, jacy jesteśmy



MICAELA RAMAZZOTTI

– włoska aktorka, film „Najlepsze lata”, w którym gra, można już oglądać w kinach



Rozmawia Piotr Czerkawski

W jednej z najbarwniejszych scen „Najlepszych lat” twoja bohaterka, Gemma, kąpie się w fontannie di Trevi, jak Anita Ekberg w ikonicznym „Słodkim życiu” Felliniego. Zdecydowałaś się kiedyś na podobne szaleństwo?

– Coś takiego mogło ująć na sucho tylko Anicie. Zwykle śmiertelniczki, jak ja, zostałyby za próbę takiej kąpieli ukarane mandatem. Powiem więcej, nawet gdy realizowaliśmy wspomnianą scenę, tylko początek sfilmowaliśmy przy prawdziwej fontannie. Samą kąpiel nakręciliśmy w źródłach termalnych w Tivoli pod Rzymem. Przynajmniej pod tym względem miałam więcej szczęścia od Anity, która swoje szaleństwa mogła przypłacić zapaleniem płuc.

Wygląda na to, że zdrowy rozsądek i komfort są dla ciebie dużo waż-

niejsze niż dla postaci, w którą się wcielasz. Gemma sprawia wrażenie nieprzewidywalnej, spontanicznej i wечно poszukującej emocji.

– Rzeczywiście, na co dzień jestem jej całkowitym zaprzeczeniem. Dużo bardziej przypominam Gemmę w życiu zawodowym. Dobierając role, wielokrotnie stawiałam wszystko na jedną kartę, skakałam na główkę, nie znając dna, wybierałam projekty, w które mało kto wierzył. Zwykle wychodziło mi to na dobre, bo ryzyko mnie stymuluje. Jest źródłem energii i pasji, bez której aktorstwo nie ma sensu.

„Najlepsze lata” wydają mi się przede wszystkim opowieścią o skomplikowanej naturze przyjaźni między Gemmą a Paolem, Giuliem i Riccardem, którzy poznają się w szkole i zacieśniają relacje przez kilkadziesiąt następnych lat. Jak wygląda przepis na idealną przyjaźń?

– Dobra, satysfakcjonująca przyjaźń to taka, która pozostaje wolna od szantażu emocjonalnego i wzajemnego uzależnienia. Jak właściwie we wszystkich relacjach międzyludzkich, także w przyjaźni strony powinny zostawić sobie trochę wolności, wystrzegać się zazdrości i zawiści. Bardzo istotna wydaje mi się też równość. Relacje mistrz-uczeń mają swoją wartość, ale trudno rozpatrywać je w kategoriach przyjaźni.

Pielęgnujesz do dziś przyjaźnię z dzieciństwem?

– Niestety nie i bardzo tego żałuję. Było mi jednak trudno, bo wychowywałam się na przedmieściach Rzymu i gdy trochę dorosłam, moim priorytetem stała się przeprowadzka do centrum miasta. Gdy tylko jako 19-latkę zarobiłam pierwsze pieniądze, spełniłam swoje marzenie, wyprowadziłam się od rodziców i wynajęłam mieszkanie w sercu Rzymu. To rozwiązanie miało mnóstwo zalet,

ale i kilka wad, w tym zerwanie więzi z przyjaciółmi z dzieciństwa.

Przeprowadzka pomogła ci w karierze?

– Zdecydowanie. Jeśli ktoś nie mieszka tam na co dzień, pewnie tego nie zauważa, ale Rzym jest miastem chaotycznym, zakorkowanym i źle skomunikowanym. Podróż z jednego krańca na drugi może zająć pół dnia. W takich okolicznościach trudno dbać o pozycję w branży, uczestniczyć w życiu miasta, dowiadywać się o castingach. Gdy mieszkałam na peryferiach, byłam sfrustrowana tym, że moja kariera się ślimaczy. Odkąd przeniosłam się do centrum, wreszcie nabrała tempa.

Dobra, satysfakcjonująca przyjaźń pozostaje wolna od szantażu emocjonalnego i wzajemnego uzależnienia.

W Rzymie toczy się lwia część akcji „Najlepszych lat”, a miasto zmienia się na naszych oczach wraz z bohaterami. Jaki jest twój stosunek do stolicy?

– Uwielbiam Rzym i nie wyprowadziłabym się z niego za nic w świecie. Najbardziej podoba mi się to, że choć mieszkam w pobliżu Koloseum, nie czuję się, jakbym żyła w męczącej, hałaśliwej metropolii. Przeciwnie, mam ulubiony sklep spożywczy i warzywniak, wszędzie tam docieram na piechotę, zupełnie jak na wsi. Kiedy natomiast mam ochotę pobyć w miejscach bardziej reprezentacyjnych, wybieram się do popularnej, trochę turystycznej dzielnicy Trastevere (Zatybrze), gdzie znajduje się szkoła mojego syna. Oczywiście to nie oznacza, że nie dostrzegam problemów, których Rzym ma całkiem sporo. Miasto od dawna nie ma szczęścia do polityków, jest źle zarządzane, a w wielu miejscach zwyczajnie zaniedbane. Pod tym względem bardzo daleko mu do bogatych metropolii zachodniej Europy.

Nastoletnia Gemma po śmierci matki zamieszkuje na kilka lat u ciotki w Neapolu, gdzie nie potrafi się zaaklimatyzować.

– Ale to nie ma nic wspólnego z samym miastem. Zakochałam się w Neapolu, odkąd jako nastolatka podziwiałam mecze tamtejszej drużyny piłkarskiej, której gwiazdą był Diego

Maradona. Po wielu latach spędziłam w Neapolu trochę czasu, gdy z Gianim Ameliem kręciliśmy film „Czułość”. W tamtym okresie moja miłość do tego miasta tylko przybrała na sile. Neapol jest dla mnie jak pigułka antydepresyjna, otwartość, humor i energia mieszkańców wprawiają mnie w dobry nastrój.

Żadna z tych pozytywnych emocji nie udziela się jednak twojej bohaterce.

– Tyle że Gemma czułaby się równie nieszczęśliwa w Turynie, Mediolanie czy gdziekolwiek indziej. Dla mojej bohaterki liczy się to, że wskutek wyprowadzki z Rzymu została odcięta od chłopaka, przyjaciół,

– Ale to dopiero początek drogi. Gemma długo pozostaje osobą niesamodzielną, uzależnioną już nie od narkotyków, ale od innych ludzi. Na szczęście nadchodzi w końcu moment, w którym przewartościowo swoje życie, zmienia pracę i emancypuje się. Robi to późno, bo w wieku 40 lat, ale szanuję ją, bo wiele kobiet nie decyduje się na podobny krok nigdy. Tymczasem gdy Gemma po latach wraca do Paola, możemy być pewni, że wreszcie podejmuje dojrzałą decyzję i będzie funkcjonować w tym związku na własnych warunkach.

Miedzy innymi za sprawą przemiany twojej bohaterki „Najlepsze lata” ostatecznie podnoszą na duchu.

– To prawda, ale nie osiągnęlibyśmy tego efektu, gdybyśmy nie przedstawili wcześniej Gemmy jako pełnej wątpliwości i kompleksów. Jako aktorka, a więc osoba, która pracuje głównie na emocjach, w ogóle uważam, że nie ma nic bardziej fascynującego niż ludzkie słabości. To właśnie one, a nie nasze sukcesy i zwycięstwa, mówią prawdę o tym, jacy jesteśmy. Dlatego nie ma sensu ich ukrywać ani się wypierać. Otwarte przyznanie się do słabości to pierwszy krok do tego, by zacząć nad nimi panować.





Od Giertycha do Czarnka

Jest wielu przerażonych nauczycieli i dyrektorów, jest mnóstwo wkurzonych rodziców. I co z tego? Panuje przekonanie, że rządząca partia, która z takim rozmachem kupuje sobie głosy wyborców, jest nie do ruszenia.

Jan



Żał mi moich wnuków, nigdy nie przypuszczałam, że doczekam czegoś takiego. Rodzice i dziadkowie – uczcie swoje dzieci prawdziwej historii, dawajcie im do czytania klasykę, a nie bzdety. Poświęćcie im więcej czasu, rozwijajcie samodzielne myślenie.

Elżbieta

A kiedyś myślałam, że nic gorszego niż Giertych polskiej szkole przetrącić się nie może... Jak dobrze, że jestem już na emeryturze.

Magdalena

A czy nauczyciele nie mogą się zebrać i pokazać Czarnkowi drzwi? Gdzie ZNP? Gdzie organizacje i ruchy akademickie, nauczycielskie? Będziemy tak siedzieć na tyłkach i patrzeć?

Marta

Zadziwiam się coraz bardziej, jak fanatyzm religijny zaczyna zakleszczać edukację w Polsce. Tym bardziej czekam wraz z dominikaninem o. Szustakiem na upadek Kościoła katolickiego (niewiele ma on już wspólnego z chrześcijaństwem). A ten fanatyczny minister działa na szkodę edukacji. Nie bójmy się w końcu o tym głośno mówić. Przemoc króluje w polskich szkołach, czy ma być jej jeszcze więcej?

Dorota



Pańszczyzna ma się dobrze

W Polsce ze szlachtą utożsamiają się przede wszystkim narodowcy (typowy naziol – koszulka z husarzem). Z elektoratu PiS głównie ci wyborcy, którzy mieszkają w zachodniej części województwa podlaskiego, w północno-zachodniej mazowieckie-go i północnej lubelskiego. Na tych obszarach udział szlachty zaściankowej jest bardzo wysoki, wynosi przeciętnie ok. 70%, a w niektórych gminach prawie 100%. Ich utożsamianie ze szlachtą ma więc racjonalne podstawy. Tyle że pochodzą niemal bez wyjątku od szlachciców nigdy nieposiadających choćby jednego chłopstwa niewolnika. Jest też trochę zakompleksionych nowobogackich, nawet w metropoliach, którzy chcą znaleźć wśród przodków chociaż jednego szlachcica. Nad drzwiami do swoich dworców dokleją gipsowe, malowane herby, a nad kominkiem wieszają skrzyżowane szable. Na Ziemiach Odzyskanych i terenach dawnego zaboru pruskiego niemal nikt już nie myśli tymi kategoriami, może prócz nazistowskiej patologii, która w większości wyemigrowała do Wielkiej Brytanii i tam się afiszuje ze swoją odzieżą „patriotyczną”.

Kamil Prorok



Jak Związek Zawodowy Pracowników Przemysłu Miedziowego korzysta z norweskich doświadczeń – cz. 3



Przykład trzeba brać z najlepszych, zwłaszcza gdy za możliwość czerpania z ich wzorców, uczenia się, to oni płacą. ZZPPM jako jeden z nielicznych w zagłębiu miedziowym otrzymał na ten cel od Królestwa Norwegii grant szkoleniowy. Na pierwszym seminarium – w czerwcu zeszłego roku oraz kolejnym – w maju tego roku 30-osobowa grupa liderów związkowych spotykała się z norweskimi i polskimi ekspertami. Omówiono aspekty prawne, teorię i praktyczne doświadczenia dotyczące dialogu społecznego. Polscy eksperci – dr Sabina Klimek i Wojciech Trocewicz – przygotowali 40-stronicowy raport „Poprawa dialogu społecznego i współpracy w Polsce”.

Na potrzeby badawcze projektu przeprowadzono anonimowe badania wśród przedstawicieli ZZPPM. Odpowiedzi udzieliło kilkadziesiąt osób, członków związku. Zdaniem respondentów dialog społeczny jest bardzo ważnym elementem debaty publicznej. Aż 65,4% zapytanych wskazało, że zdecydowanie zgadza się z tym



stwierdzeniem. Podkreśla to doniosłość dialogu społecznego. Jednocześnie respondenci jednoznacznie odpowiedzieli, że ich zdaniem bez dialogu społecznego nie można wypracować skutecznych rozwiązań systemowych. Ankietowani stwierdzili, że sukces gospodarczy naszego kraju w dużej mierze zależy od skutecznego dialogu społecznego oraz jego prawidłowego rozwoju. To dobitnie pokazuje, że przedstawiciele związków zawodowych są świadomi znaczenia, jakie dla ich organizacji ma porozumienie i dialog prowadzące do rozwiązań ważnych dla środowiska gospodarczego. A wszystko to poznać możemy dzięki Innovation Norway – operatorowi programu finansowanego przez Królestwo Norwegii.

Każdy zainteresowany może na bieżąco śledzić przebieg prac prowadzonych w ramach projektu oraz zapoznać się z raportem końcowym na przygotowanej specjalnie stronie <http://www.zzppm-poprawa-dialogu-spoecznego.pl>.



Supported by Norway through the Norway Grants 2014-2021, in the frame of the Programme "Social Dialogue – Decent Work".

Realizowane ze wsparciem Norwegii poprzez Fundusze Norweskie 2014-2021, w ramach programu „Dialog Społeczny – Godna Praca”.



Czerwiec topielców

Robert Borkowski

Upały skłaniają do szukania ochłody w wodzie, mimo że stan czystości akwenów śródlądowych plasuje Polskę na ostatnim miejscu w Europie. Chłodna wiosna uchroniła nas od fali związanych z tym okresem wypadków nad wodą, ale już ostatnie dni przynoszą dramatyczne dane o liczbie utonięć. Od 1 do 22 czerwca śmierć w wodzie poniosło 46 osób.

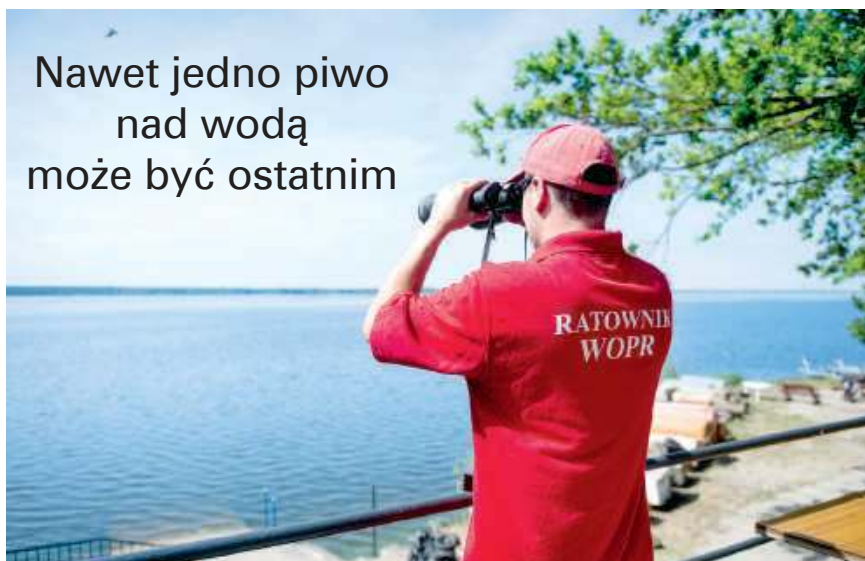
Wiele utonięć jest powodowanych szokiem termicznym. Zapoczątkowany zostaje on gwałtownym ochłodzeniem rozgrzanego ciała w zimnej wodzie. Najczęściej dochodzi do niego po wskoczeniu do wody po długotrwałym opalaniu się lub po wypadnięciu za burtę kajaka albo łodzi. Znaczna różnica temperatur i brak możliwości adaptacji układu sercowo-naczyniowego powodują natychmiastowe zatrzymanie podstawowych funkcji życiowych. Szok termiczny jest przyczyną wielu utonięć szczególnie w okresie wiosenno-letnim, gdy występuje duża różnica pomiędzy temperaturą powietrza a temperaturą wody. Naczynia krwionośne

Numer ratunkowy nad wodą:

601 100 100 lub 112

skóry pod wpływem ciepła i promieni słonecznych rozszerzają się, a po kontakcie z chłodną wodą gwałtownie kurczą, czego wynikiem jest zwężenie tętniczek oraz żył i przeciążenie serca, co powoduje niedotlenienie mózgu oraz utratę przytomności. Objawem szoku termicznego może być też hiperwentylacja. W wyniku pobudzenia mózgowego ośrodka oddechowego przez zimno człowiek zaczyna oddychać spazmatycznie, co skutkuje zaburzeniami świadomości, drętwieniem, skurczami mięśni, zakrzuszeniem wodą i utratą przytomności. Warto przypomnieć, że w dawnej tradycji istniał zakaz kąpieli przed dniem

Nawet jedno piwo nad wodą może być ostatnim



Ratownicy zawsze udzielają pomocy, ale czasem może na nią być już za późno.

św. Jana, czyli 24 czerwca (wcześniej przed nocą kupały), co było wyrazem ludowej mądrości.

Nad Bałtykiem z kolei najpoważniejszym zagrożeniem są prądy wsteczne. Powstają one w strefie przybrzeżnej w wyniku załamywania się fal przyboju na płycznach. Masy wody niesione do linii brzegowej odbijają się od plaży i zwracają ku otwartemu morzu. Dno morskie nie zawsze jest gładkie i równe. Czasami jest pełne zagłębień (rowów) i wzniesień (rewy). W wąskich wyźłobieniach w dniu powstałych w wyniku utworzenia się przerw w podwodnych rewach woda osiąga znaczną prędkość, nawet do 2 m/s. Siła prądu jest tym większa, im większe są energia załamujących się fal i przybrzeżna płycznina. Prądy te tworzą się również w pobliżu budowli hydrotechnicznych, takich jak nabrzeża, mola i falochrony. Taka też była przyczyna

głośnej tragedii, utonięcia trójki dzieci w Darłównie w 2018 r. Przy wystąpieniu prądów wstecznych kąpiel na kąpieliskach strzeżonych jest zabroniona, w żadnym wypadku nie wolno także wchodzić do wody w pobliżu obiektów hydrotechnicznych. W razie porwania przez prąd należy dać się wynieść kawałek od brzegu, przepłynąć wzdłuż linii brzegowej i wrócić na plażę w innym miejscu, gdzie prądu już nie będzie. Niestety, większość ofiar prądów wstecznych albo nie umie pływać, albo w panice traci siły, bezskutecznie walcząc z prądem.

Niebezpieczne bywają kąpiele w rzekach, zwłaszcza w miejscach

nieznanych. Wiry i bystrza w rzekach, szczególnie górskich przy wysokim stanie wody, oraz ruchome piaski, np. łachy wiślane w środkowym biegu naszej największej rzeki, mogą powodować tragedie. Najbezpieczniejsze do kąpieli w rzekach są miejsca okolonowane kamieniami, naturalne baseny poniżej progów wodnych.

Eksperci WOPR radzą, by pamiętać o kilku podstawowych zasadach gwarantujących nam bezpieczeństwo nad wodą:

- nie pływać po spożyciu alkoholu (nawet jedno piwo może być ostatnim),
- nie przeceniać swoich umiejętności pływackich,
- nie wskakiwać do chłodnej wody (zaturzać się stopniowo),
- nie skakać do wody w miejscu nieznanym (możliwość urazu kręgosłupa),
- najlepiej pływać w miejscach strzeżonych, w towarzystwie innych osób,
- nie wszczynać fałszywych alarmów,
- widząc tonącą osobę, natychmiast alarmować: „Tonie człowiek!”,
- nigdy nie pozostawiać nad wodą dzieci bez opieki.

W znacznej mierze jednak to, czy pobyt nad wodą będzie relaksem, czy dojdzie do nieszczęścia, zależy od nas samych. Ratownicy zawsze udzielą pomocy, ale czasem może na nią być za późno. Woda bezpieczna to taka, w której sami zachowujemy się bezpiecznie.

Robert Borkowski jest profesorem Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, ratownikiem wodnym i pletwonurkiem, przewodniczącym Komisji ds. Innowacji Technicznych i Technologicznych w Ratownictwie Wodnym Śląskiego WOPR

Falowiec, Mrówkowiec, Superjednostka

Największe budynki mieszkalne PRL

Katarzyna Niedurny

Imponują rozmiarami. Każdy może pomieścić społeczność wielkości miasteczka i każdy w momencie powstania był synonimem nowoczesności. Jednak już wtedy największe budynki budziły kontrowersje. Bo czy człowiek będzie dobrze żyć w ponadludzkiej skali?

– Zniszczenia wojenne i głód mieszkaniowy sprawiły, że szukano narzędzia skutecznego i radykalnego, mogącego odmienić losy społeczeństwa – opowiada krytyk architektury Marcin Szczelina. Lata 60. i 70., kiedy stawiane były największe budynki mieszkalne, to okres wzmożonych migracji ludności do miast i gwałtownej industrializacji. Głównym wyzwaniem architektonicznym było znalezienie modelu mieszkania, na które

Szczelina, to ona pozwoliła na szybkie zaspokojenie chociaż w części potrzeb mieszkaniowych powojennej Europy.

Prefabrykacja, a co za tym idzie, tworzenie dużych jednostek mieszkaniowych, to jednak rozwiązanie stosowane nie tylko w krajach bloku wschodniego. Już w 1933 r. Międzynarodowy Kongres Architektury Nowoczesnej uchwalił kartę ateńską przygotowaną pod przewodnictwem czołowego przedstawiciela modernizmu Le Corbusiera. Zespół poszukiwał formy odchodzącej od rozwiązań XIX-wiecznych kamienic, izolujących najbiedniejszych mieszkańców i mało higienicznych. Hasło zmiany to „słońce, przestrzeń i zieleń”, a środkiem do jej osiągnięcia stało się budownictwo z gotowych modułów, które pojawiło się w Europie jeszcze przed II wojną światową.

Wielka płyta pozwoliła na szybkie zaspokojenie części potrzeb mieszkaniowych powojennej Europy.

stać każdego. I które mogło zostać zbudowane jak najszybciej. W audycji radiowej poprzedzającej oddanie do użytku wrocławskiego Mrówkowca w 1967 r. padają przytłaczające dane. Tylko w tym mieście ponad 1650 rodzin wciąż żyje w budynkach niemieszkalnych, a kolejka do mieszkania spółdzielczego liczy 52 tys. miejsc. Nic dziwnego, że wielokrotnie podkreślana przez dziennikarza obietnica skończenia ogromnego domu przed Bożym Narodzeniem miała dla wrocławian tak duże znaczenie.

Słońce, przestrzeń i zieleń

Środkiem do osiągnięcia celu „szybko, dużo, tanio” była prefabrykacja, czyli przemysłowe tworzenie gotowych do montażu elementów z wielkiej płyty. Jak zaznacza Marcin

Najważniejszą tego typu realizacją jest budowana od 1946 r. w Marsylii *Unité d'habitation* (Jednostka mieszkaniowa) zaprojektowana przez samego Le Corbusiera. Nawiązania do niej pojawiają się we wszystkich omawianych tu polskich dużych domach. Powstałe we Francji dwupoziomowe mieszkania, przeszklone ściany, pasaż handlowy na jednym z pięter, punkty usługowe, basen i otwarty taras na dachu stanowiły model idealny masyżyny do mieszkania, wzór nigdy nieodśnigniony w Polsce.

Działo się tak najczęściej nie z winy architektów. Wyzwania przy tworzeniu projektów były również ograniczeniami. Stały motyw opowieści o największych budynkach to narastające wraz z postępowaniem budowy różnice między planem a jego realizacją. – Nieprecyzyjnie wykonane



elementy, kłopoty z ich łączeniem, złe składowanie, niedostatek fachowców, a także wady gospodarki centralnie planowanej powodowały, że budynki z okresu PRL zostały wykonane niebardzo, wręcz nieprofesjonalnie – wylicza Szczelina, wyjaśniając, dlaczego zachwyt architektów nad projektami tak często spotyka się z narzekaniem mieszkańców. Pytanie zaś brzmi, czy w tamtych czasach i warunkach można było wybudować coś lepszego, działać inaczej w kontekście powszechnego braku. Tym bardziej że duże budynki traktowano jako rozwiązania tymczasowe – szybką odpowiedź na najbardziej palące problemy społeczeństwa.

Warszawski Pekin

Nikt nie umawia się na spotkania po prostu przy Przyczółku Grochowskim. To bardzo niekonkretna lokalizacja. W końcu to osiedle-budynek połączony układem galerii ciągnących się na 1,8 km, z 22 złączeniami nadającymi całości kształt labiryntu rozłożonego między różnymi adresami, w którym w 2330 mieszkaniach żyje ponad 7 tys. osób. Nazwa warszawski Pekin nie jest przypadkowa.

Przyczółki Grochowskie są właściwie dwa. Pierwszy – wyobrażony przez twórców, Zofię i Oskara Hansenów, drugi – ten, który przybrał formę materialną. Hansenowie myśleli o budynku dającym komfortowe warunki mieszkaniowe tysiącom ludzi. Chcieli, by mieszkańcy cały obiekt mogli przejść osłoniętymi od góry zewnętrznymi galeriami, tak



Największy falowiec jest długi na 860 m, wysoki na 10 pięter, składa się z 1792 mieszkań.

Superjednostka, dom o statusie osiedla, ma własne zasilanie w prąd i wodę.



by wychodząc na zakupy, nie musieli moknąć nawet w czasie największego deszczu. Do przenoszenia produktów miały im służyć zamontowane na galeriach wózki, a dodatkowym plusem sieci połączeń był ratunek przed nielicznymi, często psującymi się windami. Mieszkańcy bez problemu mogli dojść do kolejnego szybu. Stworzenie sieci galerii pozwalało również na budowę jasnych kuchni z oknami – rzadkości w tamtych latach. Przyczółek miał być także miejscem przyjaznym spotkaniom, w którym kontakt między sąsiadami był maksymalnie ułatwiony. W związku z tym przestrzeń wokół budynku

podzielona została na części parkingowe i tereny zielone.

Sprawdzam, co z tych założeń udało się zachować. Imponująca jest zieleń wokół bloku, liczne skwerki, ławki, tereny dla dzieci, przygodą jest przejście zacięzionym labiryntem ścieżek ciągnącym się wzdłuż całego obiektu. Niemożliwe natomiast jest odbycie takiego spaceru galeriami. Duża liczba mieszkańców sprzyjała anonimowości, a co za tym idzie – kradzieżom. To historia wspólna dla wszystkich dużych budynków. W odpowiedzi mieszkańcy zaczęli zakładać kraty, które, poprawiając bezpieczeństwo, zablokowały swobodne przechodzenie przez zewnętrzne galerie. To rozwiązanie od początku było zresztą problematyczne. Drzwi wszystkich mieszkań prowadzą bezpośrednio na dwór, co potęguje uczucie zimna. A także, jak pisał Filip Springer, który w Przyczółku Grochowskim zamieszkał na czas pisania książki „Zaczyn. O Zofii i Oskarze

Hansenach”, sprawia, że wiatr i deszcz słychać w środku niezwykle głośno.

Spacer po galeriach jest trudny również z innego powodu. Niegrzecznie jest ciągle zaglądać komuś w okno. A niestety robi się to, bo galerie są znacznie węższe, niż zakładał projekt.

Pochwała de Gaulle’a

Podobno w czasie oficjalnej wizyty w Polsce Charles de Gaulle porównał katowicką Superjednostkę do *Unité d’habitation*. Wydaje się jednak, że w opinii francuskiego prezydenta więcej było kurtuazji niż autentycznego

zachwytu, a z francuską realizacją polski budynek łączy głównie rozmiar.

Ten na pewno w przypadku Superjednostki (czyli skomasowanej jednostki mieszkaniowej) jest imponujący: 764 mieszkania, ok. 3 tys. lokatorów, 50 m wysokości (15 pięter), czyli dokładnie tyle, na ile pozwalały ówczesne dźwigi. Zgodnie z założeniem Le Corbusiera wzniesiona jest na żelbetonowych słupach, które uwalniają przestrzeń pod nią, tworząc miejsce na punkty usługowe, oraz przeciwdziałają zdarzającym się na Śląsku efektom tąpnięć. Ten dom o statusie osiedla ma własne zasilanie w prąd i wodę. Windy zatrzymują się na co trzecim piętrze, co miało sprzyjać powiększeniu powierzchni mieszkaniowej – m.in. dlatego w Superjednostce bardzo łatwo się zgubić. Dodatkowo nie wszystkie korytarze łączą się, za to tworzą dla niezorientowanych prawdziwy labirynt przejść. Kilkanaście lat temu głośno było o licznych działających w budynku agencjach towarzyskich, których zabłąkani klienci dobijali się do mieszkań prywatnych.

Problemy projektu Mieczysława Króla pogłębiła budowa w trudnych warunkach. Początkowo zakładano, że mieszkania w budynku przeznaczone będą dla osób samotnych i młodych, bezdzietnych małżeństw, co wyjaśnia mały metraż. Dodatkowo według pierwotnych planów miały być pozbawione kuchni, zastąpione wspólną dla wszystkich mieszkańców stołówką. Z tego pomysłu na szczęście zrezygnowano i do mieszkań dodano kuchnie – ciasne, ale własne. W trakcie budowy najbardziej problematyczna okazała się kwestia ocieplenia. W momencie montażu zabrakło bowiem kaloryferów. Zdecydowano się wtedy na innowacyjny pomysł wmontowania w ściany systemu grzewczego. Dzięki temu jest wprawdzie ciepło, ale grzejąca ściana musi pozostawać niezastawiona, by dawać odpowiedni efekt, co w tak małym metrażu sprawia kłopot.

Plusami tej realizacji są ogromne balkony, które ciągną się przez całą długość mieszkania. To z nich lokatorzy mają widok na Katowice, a przy dobrych warunkach atmosferycznych na odległe Beskidy, a nawet Tatry. Gdy Katowice starały się o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury pod hasłem Miasta Ogrodu, namawiano do ozdabiania balkonów roślinami. ▶

► Mieszkańcy Superjednostki chętnie na to przystali. Na jednym balkonie rośnie nawet brzoza.

Plaża na dachu

Pochodzenie nazwy Mrówkowiec nie jest do końca znane. Nie wiadomo, czy odnosi się ona do podobnej do mrowiska struktury wrocławskiego bloku – 590 mieszkań, dających schronienie 3 tys. osób, czy do plagi mrówek faraona, które miały się w nim pojawiać jeszcze przed mieszkańcami.

W opisie wśród wielu „naj” w przypadku tego budynku pojawia się również słowo najtańszy w Polsce. Jego budowa miała kosztować jedynie 63 mln zł za całość, czyli prawie połowę mniej od innych tego typu obiektów. Zaletą były tu jasne pokoje, minusem ciemne kuchnie (w tym momencie prawo budowlane ze względu na oszczędności nie przewidywało

dużej wysokości były bezpieczne. Być może to celowe działanie architekt Leszka Zdeka i mrugnięcie okiem do lokatorów jego budynku – zastosowanie miejsca na wprowadzenie własnych rozwiązań wynikających z praktyki mieszkania.

Mikroklimat falowca

Morski krajobraz Gdańska został uzupełniony w latach 70. ośmioma falowcami. Blokami przypominającymi kształtem fale, w których wejścia do mieszkań porobiono na zewnętrznych galeriach. Najdłuższy falowiec (i najdłuższy polski budynek, jeśli liczyć w linii prostej) stoi przy ulicy Obrońców Wybrzeża. Długość na 860

były prostopadłe do morza z powodu silnych wiatrów, dzieląc przestrzeń na północną „Skandynawię” i południową „Włochy”. Dzięki temu wokół największego wykształcił się specyficzny mikroklimat. I jest to zjawisko widoczne gołym okiem. Na północy dłużej utrzymuje się śnieg, panuje znacznie niższa temperatura, po południowej stronie szybciej usycha trawa i żółkną liście. Podobno na usytuowanych od tej strony balkonach można nawet uprawiać winorośl. A przynajmniej próbować.

Nie tylko niedoróbki są dziś przyczyną negatywnego stosunku do dużych domów z wielkiej płyty. – Ich współczesny odbiór w Europie zależy

Przyczółek Grochowski to osiedle-budynek połączony układem galerii, z 2330 lokalami i ponad 7 tys. mieszkańców.



Architekci chcieli, by mieszkańcy Przyczółka Grochowskiego cały obiekt mogli przejść zewnętrznymi galeriami.

budowy kuchni z oknami), znakiem nowoczesności – pierwsza w mieście zbiorcza antena telewizyjna. Podstawowe pytanie w przypadku tych największych budowli dotyczy jednak tego, czego zabrakło. Pierwszy na liście jest styropian, którego brak uniemożliwił ocieplenie części budynku. Zabrakło również pawilonu handlowego na VII piętrze oraz basenu na dachu – na taką ekstrawagancję nie wydano zgody.

W tym wypadku mieszkańcy poradzili sobie sami, na własną rękę tworząc na dachu miejsce spotkań i przestrzeń do opalania, z której chętnie korzystali. Umożliwił im to okalający dach murek, dzięki któremu dzieci na

m, wysoki na 10 pięter, składa się z 1792 mieszkań, przy czym najmniejsze mają jedynie 17 m kw. Żyje w nim ok. 6 tys. osób. Wzdłuż bloku znajdują się aż trzy przystanki autobusowe. Początkowo budynek zaprojektowany przez zespół Tadeusz Różański, Danuta Olędzka i Janusz Morek miał być krótszy. Dopiero w czasie budowy na obszarze byłego lotniska stwierdzono, że skoro jest przestrzeń i potrzeba, to budowlę można wydłużyć.

Jak głosi miejska legenda, falowiec jest widoczny z kosmosu. Żaden z mieszkańców nie miał jednak okazji tego sprawdzić. Blok odstawia natomiast inną tajemnicę. Bryły wszystkich falowców zorientowane

od historii kraju. W miejscach, które po wojnie musiały odbyć długą drogę do rządów demokratycznych, kojarzą się z komunizmem – mówi Marcin Szczelina. Podkreśla jednocześnie, że był to ustrój wyjątkowo sprzyjający ich rozwojowi, w którym nowe formy mieszkaniowe stały się symbolem nowego społeczeństwa.

Jak zaznacza krytyk, również na Zachodzie duże budynki nie zawsze były należycie wykonane, zgodnie z założeniami twórców, a ich stan z biegiem czasu się pogarszał. Można więc narzekać i przyglądać się ich niszczeniu lub podarować im drugie życie. W 2017 r. prestiżową nagrodę im. Miesa van der Rohe otrzymała pracownia NL Architects i XVW architectuur za modernizację galeriowca Kleiburg w Amsterdamie, podobnego do polskich dużych domów. – Humanizacja osiedli, przekształcanie mieszkań, układu urbanistycznego i architektury to kierunki działań mających na celu wykorzystanie potencjału istniejących już założeń mieszkalnych i tym samym uchronienie ich przed zdegradowaniem. Dobudowy i uzupełnienia zabudowy, wyburzanie całych kondygnacji, budowa tarasów na dachach, dobudowa wind zewnętrznych, loggii, balkonów to tylko niektóre możliwości – dodaje Marcin Szczelina. Pytanie, czy taka przyszłość jest dostępna także polskim gigantom.

Katarzyna Niedurny

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Najgorsi klienci, my

Albo to: grupka „kulturalnych” nas wbija do lokalnej knajpki, gdzie przyzwicie karmią, starannie gotują, obsługa jest miła i generalnie każdemu smakuje. Sama od razu proszę bez pomidorów, potem upewniam się, czy nie ma czosnku i czy sos jest bez octu, a ser nie jest czasem wędzony. Lepiej bez sosu – myślę – bezpieczniej. Zamiast ciemnego pieczywa – proszę białe. Lemoniada – czy mogę prosić bez cytryny i tylko jedną kostkę, jedną jedyną kostkę lodu, bo muszę mówić, z reguły dużo mówię, nawet zawodowo, rozumie pani, a wieczorem mam spotkanie, rano warsztacik i nie chcę dostać anginy, bolesnej i kosztownej. – Ja przeciwnie – mówi koleżanka. – Wezmę z sosem. I proszę właśnie więcej czosnku, bo gardło JUŻ mnie boli, więc zdezynfekuję, dlatego jeśli macie państwo imbir... Tak? Genialnie! Ale nie więcej niż jeden plasterzek o średnicy – o, o, mniej więcej takiej jak te kółka, moje kolczyki, jestem wdzięczna, *merci*, pieczywko czarne i do wszystkiego dwa talerzyki, bo mąż się przyłączy, tylko jemu bez sosu.

Pani kelnerka notuje. Na twarzy ma uprzejmy uśmiech, wie, że to stado, te dystynkcje, popisy, foszki, to mazgajstwo, wybujały egotyzm, narcyzm i męczyzm – kwilono nad mleczkiem – to jakiś przedziwny regres. Że przy jedzeniu te grupy, a to z akademii, a to znów z teatru czy innych spotkań z polszczyzną, przeżywają właśnie swój powrót do mamy, obnażywszy się przy talerzu. Swoją delikatność (słabość), swoje zamyslenie (rozkojarzenie). I że może to się zwróci w napiwkę. A i to nie zawsze, bo głowy zajęte czymś ważniejszym niż pożał się boże rachunek: etyką i estetyką, ekologiami mediów, błędem poznawczym, sporem przekładowym, punktacją i aberracją. Przynajmniej dość cicha (zwłaszcza o tej porze) grupka w końcu zmienia lokal, gdzie znów bezczelnie się rozsiądzie i powie: bez, bez, bez, *without*. Z potrawy wyjmie – i z obrzydzeniem usunie na krawędź talerza – kaparek. Bo z czymś się komuś skojarzył nieprzyzwicie. Wyrzębienie z dna zupy obłok śmietany i chłapnie nim na spodeczek. Coś po skrytej analizie odepchnie, czegoś doda, doprosi. I w końcu wyjdzie z knajpy ten kłopotuchy potwór: niech żre w domu swoje brokuły wyliczone, swoje masło staniem okupione, swoje sosy tysiąca prośb. Coś bez niczego. Potrawę doskonałą.

„Bez niczego” – napisano tak na kartonie z napojem. Zagadkowy karton wzięłam z półki w markecie, bo ktoś

pomysłowo go zaprojektował i chciałam bliżej przyjrzeć się tym talentom. W miejscu, gdzie opisuje się skład produktu, sprecyzowano zaczepnie owo „Bez niczego”: bez laktozy, bez glutenu, bez cukru, bez sztucznych barwników, bez regulatorów kwasowości. Natychmiast nabrałam więc wątpliwości co do statusu ontologicznego napoju: czy picie w kartonie w ogóle istnieje? Pomachałam kartonem – w środku zakotłosał się płyn „ryżowy”. Włożyłam produkt do koszyka w uznaniu dla projektanta. Przypomniał mi się kolega malarz, który pewnego dnia postanowił, że będzie kupował rzeczy jedynie w pięknie zaprojektowanych opakowaniach.

Bez niczego. Kiedyś zamawiałam po węgiersku makaron dla syna. Bez sera. – Bez? – upewniał się pan. – Bez – odpowiadałam. Przez te wszystkie „bez” dostaliśmy sam makaron z wody – bez sosu, mięsa, masła. Czyściutki jak wyszorowany garnek. Jacy musimy być straszni jako klienci – pomyślałam, mając na myśli nas, Europejczyków.

Przy jedzeniu te grupy, a to z akademii, a to z teatru czy innych spotkań z polszczyzną, przeżywają swój powrót do mamy.

Wstydzę się zamawiać wino, bo go nie rozumiem. Wiem, że lubię wytrawne, nie lubię kwiatowego, bo mi zalatuje perfumą, ale już nawet to zwierzenie zwyczajnie rośmieszysz kolegę z sąsiedniej rubryki PRZEGLĄDU. Ujawnia bowiem wysoki poziom dyletanctwa i prostactwo osoby tu mówiącej. Jednakowoż wskazówka dla kelnera *without flower flavour* (bez kwiatowego posmaku) często była jedynym narzędziem, jakim potrafiłam się posłużyć. Do czasu, kiedy w Wiedniu obsługiwał mnie ekstrawertyczny kelner. Ten – osobiście dotknięty moją ordynarną prośbą – nawrzeszczał na mnie, machając serwetką, popluwając na obrus, strzelając w górę krzaczastymi brwiami. Słusznie okazał mi pogardę, jednocześnie kończąc żywot językowego narzędzia, to jest przytaczanego zwrotu (*without flower flavour*). Moja wina. Nasza wina. Cierpliwość kelnera musiała zostać nadwyrężona i/lub zszargana przez hordy oszalałych turystów, często na pewno roszczeniowych ignorantów, którzy chcieli zachlać upał byle czym, niecierpliwi i skąpi.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl



Po dwukrotnym trafieniu w poprzeczkę do siatki Szwedów zamiast piłki wpadł Robert Lewandowski.

Euro niespełnionych marzeń

Lewandowski nie sprawił cudu

Maciej Polkowski

Niespodzianki nie było. Żłudny optymizm nie przełożył się na możliwości biało-czerwonych. Potwierdziły się obawy, że nawet jeśli selekcjoner Paulo Sousa ma jakąś wizję, to nie zdąży jej zrealizować (albo – co gorsza – nie potrafi). Już wiemy jednak, że pozostaje na stanowisku. Marnym pocieszeniem są trzy bramki zdobyte przez Roberta Lewandowskiego.

Naszemu zawodnikom brakowało kreatywności – ani Krychowiak, ani Zieliński nie potrafili być liderami.

Nie wiem, dlaczego popularnością cieszy się stwierdzenie, że gra się tak, jak przeciwnik pozwala. Według mnie należałoby powiedzieć: gra się tak, na ile przeciwnikowi się pozwoli. Pozwalaliśmy rywalom na stanowczo za dużo. A podczas czwartkowej konferencji prasowej Zbigniew Boniek przyznał: – Sportowo zawiedliśmy, zabrakło nam piłkarskiej jakości.

O krótkie oceny tego, co się wydarzyło, poprosiłem kilka osób ze świata futbolu.

Wojciech Łazarek, były selekcjoner: – Nie przekreślałbym wszystkiego i wszystkich. Powiedziałbym tak: mamy drużynę do dalszego rozwoju, którą jednak, jeśli chce coś więcej osiągnąć, czeka mnóstwo wyjątkowej pracy. Widać przecież duże braki w grze obronnej – słabości, jeśli chodzi o szybkość, zwrotność. W większości zawodników drzemią duże

możliwości, stać ich na postęp, ale pod warunkiem solidnej harówki. Mamy sygnały, że jest nad czym i z kim pracować, ale... pierdołami kapusty nie okrasisz.

Władysław Żmuda, były reprezentacyjny obrońca: – Z olbrzymimi problemami w defensywie zaczęliśmy i z takimi samymi zakończyliśmy. Nie ma znaczenia, czy gramy

na dwóch, czy trzech stoperów – gramy źle, bo na ogół bronimy się za późno, dopiero na własnym polu karnym. Za dużo jest prostych błędów – złe ustawianie się, zły odbiór piłki, brak właściwej asekuracji. Trener Sousa borykał się z dylematami, których do końca nie rozwiązał.

Lesław Ćmiekiewicz, były reprezentacyjny pomocnik: – Przegrywaliśmy w środku pola. Trener Sousa rotował składem, bo przecież musiał wykazać, że czymś się odróżnia od Jerzego Brzęczka. Szukał więc zmian, co odbijało się na zgraniu tej formacji. Naszym zawodnikom brakowało kreatywności – ani Krychowiak, ani Zieliński nie potrafili być liderami.

Grzegorz Lato, były reprezentacyjny napastnik: – Jedyne Lewandowski nie sprawił cudu. Pozostali nominalnie ofensywni gracze może nawet się starali, w pewnych okresach walczyli, ale nic z tego nie wynikało. I jeszcze jedno – w polu karnym przeciwnika nie ma czasu na przyjmowanie piłki, trzeba od razu uderzać. ■



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Dzień Ojca

Nie wiedziałbym, gdyby dzieci nie przypomniały; ojcu nigdy nie składałem życzeń, choć wiedziałem, że na nie czekał, przecież darliśmy koty przez cały rok, to była moja słodka, milcząca zemsta. Nie pamiętam o tej dacie, tym razem Dzień Ojca przypadkiem spędzam u starszego syna, który jest przystojnym, wysportowanym mężczyzną przed trzydziestką, ostatnio mieszka po kawalersku, więc budzi nieustające ożywienie wśród atrakcyjnych sąsiadek, niektóre spać przez niego nie mogą. Poszedł na noc do kolejnej narzeczonej, zostawił mi „wolną chatę”, przed północą wysokopienna blondynka w kusej koszuli zapukała i zaskoczona moim widokiem naprędce zagadała o zapałki, powiedziałem, że sam nie palę, ale może wejść i poszukać, to mieszkanie syna, ona dała znać, że o syna jej chodziło, nie o ogień. Rano syn nie może dociec, która to mogła być, pomimo portretu pamięciowego, który rzetelnie sporządzam; mówi, że mieszka w lesie wysokopiennych blondynek, ot, kawalerska zagwozodka. Widzę, jak rozmawia przez telefon i dostaje chodzonki, przemierza w trakcie rozmowy kawalerkę wzdłuż i wszerz, od czasu do czasu zonglując piłką; niewymownie się dziwi, kiedy mówię, że ma to po mnie.

Siadamy naprzeciw siebie przy laptopach, z podobnym impetem tomoczemy w klawisze, choć w przeciwieństwie do mnie syn nie uczył się pisać na maszynie Łucznicz przez kalkę. Niech będzie, że to geny, innymi słowy jedna dusza wędrownia, która się dzieli i zadomawia w przedstawicielach kolejnych pokoleń. Młodszy syn, choć dziadka poznał niewiele przed jego śmiercią, używa określenia „durny”, kiedy mu się coś nie spodoba, mojemu ojcu od połowy życia generalnie nic się nie podobało, więc „durności” nadużywał, przyprowadzał nią sownie każde zdanie.

Z ojcem nie miałem lekko, żadna to tajemnica, brał dość nieostrożny udział w moim dojrzewaniu, wiele mu miałem za złe, póki nie zniknął na dobre, niby wszystko burzył, a i tak mnie zbudował. Na przykład jako taternika. Jeśli myślę o górach jako o żywym organizmie, nie chodzę po nich, lecz delikatnie stąpom, to przez niego – ojciec starał się wpoić mi przekonanie o grozie Tatr, zanim mnie pierwszy raz zabrał w góry, podsunął „Tragedie tatrzańskie” Wawrzyńca Żuławskiego, żebym się najadł strachu, jeszcze nim postawię pierwszy kok w chmurach. Ojciec był wychowywany przez opresyjną matkę w poczuciu, że nie istnieją bezkarne przyjemności, dlatego z duszą na ramieniu chodził po górach, czekając na karę, a może to

właśnie lektura Żuławskiego sprawiła, że wycieczki bez historii, niezwieńczone tragiczną puentą, wydawały mu się czymś niezwykłym; no tak, z „Tragedii...” można wywnioskować, że w góry chodzi się po to, żeby ginąć. Wszelako miłość do gór ojcu zawdzięczam, choć tylko przez kilka lat dotrzymywał mi kroku, potem wszystko, co przestało być dla niego w życiu dostępne, obejmował resentymentem, góry też stały się „durne”. Kiedy pojawiły się komórki i zacząłem rytualnie do niego dzwonić z kolejnych szczytów, których nazwy wypowiadał z górobojną czcią, przez jego gratulacje przebijał się rodzaj zażenowania, że te święte a niepojęte dla niego szczyty traktowałem z butą, no jak to tak, zamiast podziwiać ich majestat, zuchwale je odzierałem z godności. Strachy górskie zostały u mnie właściwie tylko dwa: niedźwiedź i burza, dobrze ułożone leki wyrównały emocje i lęk nie jest już fobią, czyli stałym strachem przed możliwością burzy i potencjalnym spotkaniem misiołaka, lecz pojawia się jako zdrowa reakcja na złowrogie sygnały. Kiedy widzę na grani, że niebo gwałtownie

sinieje od chmur i słysząc pierwsze pomruki na horyzoncie, albo gdy trafiam na świeże odchody niedźwiedzie, błędząc w łanach kosówki, owszem, wtedy zaczynam się bać. (Świeża kupa w chłodne dni jeszcze paruje, w upale ucztuje na niej rój much

– proszę państwa, oto miś, gdzieś tu jest i na pewno nas obserwuje, a przynajmniej zwąchał nasze siódme poty).

W Tatrach zawsze biorę tatrzańskie lektury, żeby w czasie załamań pogody, kiedy nie można się wspiąć, choć poczytać o wspinaczce. Tym razem zabrałem ze sobą „Kamienny sufit” Anny Król, feministyczną historię taternictwa, kronikę prekursorskich dokonań „taterniczek, marzycielek, zuchwałych bab”, jak je określa sama autorka. Ania idzie po ich tropach... o, źle trafiłem w klawisz i napisało mi się „po trupach”, niezupełnie od rzeczy, bo jej bohaterki w wielu przypadkach właśnie w Tatrach kończyły swoje krótkie życia, jak siostry Skotnicówny na Zamarłej Turni czy Jadwiga Honowska i Zofia Krózkowska na Ostrym. Kronikarska swada umajona jest osobistymi opisanymi wypraw śladami wybitnych poprzedniczek, promocji książki towarzyszy efektowna sesja zdjęciowa, w której atrakcyjną kobiecość autorki zestawiono z atrybutami wspinaczkowymi, stroje wieczorowe z liną, uprzężą i czekanem. Dobra, wreszcie szczyt, dzwonię. Tato, jestem w Tatrach, zgadnij, gdzie wlałem. Słyszysz mnie tam?

**Dobra, wreszcie szczyt, dzwonię.
Tato, jestem w Tatrach, zgadnij,
gdzie wlałem. Słyszysz mnie tam?**

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Marcin M. Granat

Ambiwalentne uczucia budzą już od starożytności. W Babilonii uważano je za wcielenie złych duchów, a Erynie, boginie zemsty z mitologii greckiej, przedstawiane były z ich skrzydłami. Zdarzało się jednak, że nietoperze ukazywane były w dobrym świetle – u twórcy w VI w. p.n.e. Ezopa reprezentowały mądrość, potrafiąc poruszać się w ciemnościach. O ile związana z chrześcijaństwem kultura europejska najczęściej kojarzyła nocne ssaki z szatanem (skrzydła nietoperza ma już *Lucyfer* z „Boskiej komedii” *Dante*go), o tyle w Japonii i Chinach symbolizują one szczęście i długowieczność, ponieważ zamieszkują jaskinie, a te według dawnych wierzeń są połączone ze światem zmarłych.

Winne pandemii?

Polaryzacja w opiniach na temat nietoperzy istnieje i dzisiaj, a niewykluczone, że jest silniejsza niż kiedykolwiek. Jedni bowiem widzą w nich przyczynę pandemii COVID-19, drudzy natomiast biorą je w obronę, podkreślając ich kluczową rolę w ekosystemie.

To prawda, że pojawienie się wirusa SARS-CoV-2 u ludzi jest najprawdopodobniej efektem transmisji czynnika zakaźnego od nietoperzy.



Mroczak posrebrzany (*Vespertilio murinus*) z uszkodzonym skrzydłem.

GDY OSŁONA NOCY NIE WYSTARCZA

Nietoperze znalazły się w najtrudniejszym momencie w swoich dziejach



W Japonii i Chinach nietoperze symbolizują szczęście i długowieczność.

Traktuje o tym obszerny raport Światowej Organizacji Zdrowia „WHO-convened Global Study of Origins of SARS-CoV-2: China Part” (Złeczone przez WHO globalne badanie pochodzenia wirusa SARS-CoV-2: część chińska). Ssaki te według przedstawionych tam danych są nosicielami nie tylko patogenów blisko spokrewnionych z SARS-CoV-2, ale także innych niebezpiecznych dla człowieka wirusów, powodujących takie schorzenia jak choroba Nipah, Hendra czy MERS. Nie powinno to jednak czynić z nich źródła wszelkiego zła.

Świadczy o tym praca prof. Davida L. Robertsona z Uniwersytetu Glasgow, którą wraz ze współpracownikami opublikował w „Nature Microbiology”. Na podstawie analizy materiału genetycznego koronawirusów obecnych u tych ssaków badacze stwierdzili, że szczep bardzo podobny do SARS-CoV-2 „krąży w populacji nietoperzy od kilku dekad”. Oznacza to, że wirusy te potrafią przenosić się na człowieka już od

dawna, a co za tym idzie, pandemia równie dobrze mogła wybuchnąć nawet kilkadziesiąt lat temu.

Dlaczego w takim razie zaczęła się w 2019 r.? Na skutek postępującej agresywnej ekspansji człowieka. Nisze ekologiczne ludzi i nietoperzy coraz bardziej się przenikają. Wyćinka lasów pod pola uprawne lub grunty deweloperskie, chwytanie nietoperzy do celów kulinarnych oraz handlowych – do zoo oraz jako oryginalne zwierzątka domowe dla zamożnych – wszystko to zwiększa transmisję czynników zakaźnych na niespotykaną wcześniej skalę. Wyjście z antropocentrycznej bańki i jak najszybsze zrozumienie, że to czynnik ludzki jest główną przyczyną pojawienia się COVID-19, nie tylko pomoże zapobiec wybuchom nowych pandemii, ale też uchroni niewinne nietoperze przed linczem. Jest to sprawa najwyższej wagi, ponieważ – jak twierdzą ekolodzy i chiropterolodzy (naukowcy zajmujący się badaniem nietoperzy) – nasze

życie w ogromnej mierze zależy właśnie od tych ssaków.

Warte ochrony

Ich apetyt na owady przyczynia się do oczyszczania nocnego nieba z komarów oraz wspierania rolnictwa poprzez likwidację owadów żerujących na roślinach uprawnych. Jak donosi prestiżowe czasopismo „Science”, działalność nocnych ssaków pozwala światowemu rolnictwu zaoszczędzić około miliarda dolarów w skali roku, przyczyniając się do wzrostu plonów. Z kolei nietoperze, których pożywieniem są nie insekty, ale owoce, biorą udział w odnowie lasów deszczowych, przenosząc nasiona na duże dystanse. Uczestniczą one również w procesie zapylania. Wśród mnóstwa roślin, które rozmnażają się dzięki tym zwierzętom, są chociaż-

że nocne ssaki wyrządzają więcej szkód, niż przynoszą pożytku. Na jego wpis zareagowało Bat World Sanctuary, teksaska organizacja *non profit* ratująca nietoperze, która jako jedyna na świecie prowadzi wysokiej jakości schronisko wyłącznie dla tych zwierząt. Interwencje edukacyjne Bat World Sanctuary najczęściej przynoszą sukces i tak samo było w tym wypadku. Gallo-way szybko zrewidował poglądy, odpowiadając organizacji: „Wiele się nauczyłem. (...) Odgrywają one ważną rolę w ekosystemie. Zostałem oświecony i napiszę o tym tweet”.

Polskie realia

Z podobnymi problemami ochrony nietoperzy musi się mierzyć także w Polsce. Ma nawet trudniej, ponieważ musi działać w opozycji do propagowanej przez państwo ideologii „czynienia sobie ziemi poddaną” i wrogości do ekologów. Polskie Towarzystwo Ochro-

w Europie, ogrom codziennej pracy i tak potrafi przytłoczyć. Gdy w marcu nie udało się uratować znalezionej w Biłgoraju borowca wielkiego, towarzystwo w przejmującym poście napisało na Facebooku: „Sprawa pokazuje, jak bardzo brakuje w Polsce państwowej służby zajmującej się chronionymi gatunkami. Wolontariusze mogą dużo, ale nie wszystko”.

Sprawy nie ułatwia też Narodowy Fundusz Zdrowia. Obowiązujące przepisy nie przewidują bowiem refundacji profilaktycznego szczepienia przeciw wściekliźnie – chorobie, przed którą powinni się zabezpieczyć wolontariusze ratujący nietoperze. Osoba chcąc pomagać przy nietoperzach musi zacząć od wydania np. w publicznej poradni chorób zakaźnych w Warszawie 530 zł: 140 zł za wizytę lekarską i po 130 zł za trzy dawki szczepionki. Co ciekawe, po ugryzieniu przez podejrzaną o wściekłość zwierzę NFZ takie szczepienie już refunduje, co leży w kuriozalnej sprzeczności ze słynnym „lepiej zapobiegać, niż leczyć”.

Ochrona nietoperzy jest wymagająca. Potrzeba do tego wiedzy, zorganizowania opieki medycznej, odpowiednich regulacji prawnych, współpracy ponad podziałami i poświęcenia. Gra jest jednak warta świeczki, bo nie ulega wątpliwości, że chroniąc nietoperze, chronimy siebie. ■

Nietoperze niszczą komary i likwidują owady żerujące na roślinach uprawnych.

by lecznicze gatunki z rodziny akanowatych oraz kakaowiec właściwy, bez którego na sklepowych półkach nie byłoby czekolady, a w aptekach czopków (są wytwarzane z masła kakaowego). Brak nietoperzy skutkowałby też problemami z produkcją pasty do zębów, gdyż jednym z jej składników jest saletra potasowa – składnik chemiczny pozyskiwany z guana tych ssaków.

Ochrona nietoperzy nie jest łatwym zadaniem. Covidowa rzeczywistość dostarczyła już i tak zbyt wielu powodów do zmartwień. Popularyzacja wiedzy o tych zwierzętach jest jednak niezwykle ważna. W wielu miejscach na świecie rola nietoperzy nie jest rozumiana, a kojarzone z covidowymi zachorowaniami ssaki były już obiektem ataków w Indiach, Chinach, Indonezji, Australii czy Peru.

Działalność edukacyjna na rzecz ochrony nietoperzy ma sens, gdyż negatywny wizerunek towarzyszy im niekiedy nawet w środowisku akademickim. Przykładem może być wypowiedź prof. Scotta Gallo-way, naukowca związanego z New York University Stern School of Business. W kwietniu ub.r. zamieścił on na Twitterze post sugerujący,



Nazywam się GORSZY. Stoję dziś przed Tobą i proszę Cię o pomoc. Błagam o uratowanie życia. Wiem, że szanse na to mam bardzo małe. Bo w wśród tysięcy skazanych na rzeź koni, nie znacze nic. I jestem nikim. Tak jak nikim byłem całe swoje długie życie.

Pracowałem od zawsze, wielokrotnie zmieniając stajnię i właścicieli. Kupowali mnie na chwilę, gdy mogłem im się przydać, potem sprzedawali dalej. Z niejednego żłobu jadłem owies, a bywało, że i nie jadłem wcale. Czasem udało mi się ukradkiem złapać trawę rosnącą na łące, by nie burczało w brzuchu, gdy głód dokuczał bardzo.

Bywało, że woziłem dzieci od świtu do zmierzchu. Bez wytchnienia. W kurzu i upale. Zdarzało mi się ciągnąć zbyt ciężką brzyckę. Robilem co kazał, bo takie kucyki jak ja, by żyć, muszą się przydać. Bez pracy nasze życie jest zupełnie nieważne.

Nigdy nie liczyłem na emeryturę. Moi koledzy, gdy przestali zarabiać, znikali. Dobrze wiedziałem gdzie jada, mijalem ich czasem u handlarza. Ja czekałem na kolejnego klienta, oni na samochód do rzeźni. Tak bardzo się bałem śmierci. I nawet, wtedy gdy koślawe kopytka nie chciały już mnie nieść, starałem się ze wszystkich sił i robiłem co kazano. Dawałem z siebie wszystko, bo nie chciałem umierać. Chciałem żyć. Nadal chce.

Dziś, nie mam siły już na nic. Często leżę i nie mogę się podnieść. Wiem, że śmierć wyciąga już po mnie swoje ręce, a rzeźnicy samochody warczą złowrogo, nie dając mi zapomnieć gdzie jestem. Nikt już nie przyjeżdża mnie oglądać, bo i kto by chciał starego, zaniedbanego kucyka, który nie może pracować? Nie znacze nic. I jestem nikim. Ale mimo tego, ośmielam się prosić Cię o ratunek. Bo tak bardzo chce żyć. Błagam byś dał mi czas, choć kilka tygodni, miesięcy, może rok czy dwa, gdy będę mógł żyć życiem, którym chce się żyć. I to nic, że już nigdy nie będę młody, ani sprawny. To nic, że siwizna która dawno obyspala moją skórę, nie zniknie gdy mi pomożesz. Dziś, stojąc na rozdrożu, nie chce jechać do ubojni. Ja marzę, by położyć się na łące, wygrzać się w letnim słońcu i nie musieć robić już nic. Żyć tylko po to, by żyć.

Nazywam się GORSZY. Stoję dziś przed Tobą i proszę Cię o pomoc. Błagam o uratowanie życia. Warte ono jest raptem 1200 zł, więcej by kosztował mój transport do fundacji. Bardzo Cię proszę, pomóż mi. Pomóż...

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem GORSZY na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Możesz też pomóc wysyłając SMS o treści GORSZY na numer 7412 (koszt SMS 4,92 zł z VAT), 7910 (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub 91950 (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

ul. Walibzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Maczce
Regulamin: <http://certianus.org.pl/km>

Kuchnia przyjazna naturze

Zero waste i less waste, czyli jak gotować, by nic nam się nie marnowało

Rozmawia Paula Leśniewska

Czym różnią się dwa terminy – zero waste i less waste?

– *Less waste* to dobry wstęp do *zero waste*. *Less waste* oznacza po prostu mniej marnowania. Zgodnie z tą myślą za każdym razem trzeba się zastanowić, czy na pewno jest sens wyrzucić do kosza todygę kalafiora albo słoik, czy może lepiej todygę zemleć i dodać do sosu do makaronu, a słoiki wykorzystać do przechowywania kasz lub mąki. *Zero waste* rozumiem jako całkowite niemarnowanie, niewyrzucanie, przerabianie wszelkich odpadów. To próba generowania jak najmniej śmieci.

Dlaczego to takie ważne?

– Z wielu powodów. *Zero* i *less waste* może się odnosić nie tylko do kuchni, choć właśnie dane o marnotrawstwie żywności szokują mnie najbardziej. To uderza szczególnie mocno, jeśli ma się świadomość, ile biedy nas otacza, ilu ludzi, w tym dzieci, na świecie głoduje. Także w Polsce. UNICEF w 2019 r. opublikował przygotowany z FAO, IFAD, WFP

JOANNA KOWALCZYK-BEDNARCZYK

– autorka bloga Bieganizm

jedzenia oraz ograniczanie ilości śmieci. Jednak w wielu przypadkach to dość skomplikowane. Zmiany przyzwyczajęń nigdy nie są łatwe, choć czy faktycznie zakręcanie wody podczas mycia zębów jest takie trudne? Można zacząć od małych rzeczy.

Co można zrobić, by produkować mniej odpadów w kuchni?

– Mamy dwa rodzaje odpadów: organiczne, czyli jedzenie i resztki, oraz nieorganiczne – papier, plastik, metal i szkło. Patrząc na ilość wyrzucanego jedzenia i innych odpadów,

Obierki z umytych warzyw, głąby i todygi mrozę, by w razie potrzeby zrobić z nich szybko wywar jako bazę do zupy.

i WHO raport dotyczący bezpieczeństwa żywnościowego i żywienia na świecie („The State of Food Security and Nutrition in the World”), z którego wynikało, że prawie 690 mln ludzi dotknął głód. Największy procent głodujących przypadł na Azję i Afrykę. Prognozy na rok 2020 nie były pocieszające – z powodu kryzysu wywołanego COVID-19 naukowcy oszacowali, że liczba głodujących mogła wzrosnąć do 800 mln. Nieistotne więc, czy *less*, czy *zero waste* – najważniejsze jest niemarnowanie

myślę, że warto po prostu kupować mniej, a jeśli już kupimy za dużo, trzeba przerabiać jedzenie, zanim zdąży się popsuć, np. zamrozić. Inne odpady, szczególnie plastik, puszki czy papier, to już większy problem, w moim odczuciu trudniejszy do zminimalizowania, ale próbować trzeba. Już dawno temu chciałam np. kasze czy mąki kupować na wagę do słoika, ale okazało się, że choć zminimalizowałam ilość opakowań, w których są sprzedawane, pojawiło się w mojej kuchni tyle moli, że prawie

wszystko, co kupiłam, musiałam wyrzucić. To było znacznie większe marnotrawstwo niż te kilka hermetycznie zamkniętych plastikowych opakowań z kaszą, którą zaraz po zakupie zawsze przesypuję do szklanych słoików i szczelnie zamykam z liściem laurowym w środku. Dla mnie istotne jest, by odpady (plastik, papier, szkło) były faktycznie poddawane recyklingowi, wtedy nie mam aż tak obciążonego sumienia. Na szczęście coraz więcej firm wykorzystuje użyty już raz plastik czy papier do produkcji np. opakowań na kosmetyki, butelek z filtrem czy nawet ekskluzywnych kalendarzy. To tylko garść przykładów. Na rynku produkcyjnym ekokreatywność jest coraz większa, co bardzo mnie cieszy.

Ma pani jakieś lesswaste'owe tricki?

– Jeszcze do niedawna kupowałam z mężem wodę w baniakach i plastikowych butelkach, a kiedy przeprowadziliśmy się do Warszawy, od razu zamontowaliśmy filtr pod zlewem i teraz pijemy czystą, pyszną wodę z kranu. Plastikowej butelki nie było w naszym domu od listopada! Torebek papierowych po mące można używać do przechowywania różnych rzeczy, bardzo lubię ten papier. Trzymam w nich np. wysuszoną



pokrzywę czy inne zioła do naparów. Na bazarkach kupuję lub zabieram (jeśli można) wszystkie możliwe warzywa ze skrzynek „z odpadami”. Czasem papryka ma lekko pomarszczoną skórę, natka pietruszki jest już trochę zwiędnięta, a pomidor jest dla sprzedającego zbyt miękki. Bywa też, że w skrzynce leży piękny kalafior! Jeśli te warzywa i owoce mają wyładować w śmietniku, to wolę, by znalazły się np. w moim soku. Wszystkie obierki z umytych warzyw, głąby i łodygi mrozę, by w razie potrzeby zrobić z nich szybko wywar jako bazę do zupy, albo od razu gotuję z nich bulion, porcję i zamrażam. Potem wystarczy rozmrozić, dodać np. pomidory, szparagi czy kalafiora i zblendować na dowolną zupę krem. Z głąbów, łodyg (np. kalafiora czy brokuła) robię także sosy do makaronu albo zapiekanki. Staram się, aby żadna część warzywa nie musiała lądować w koszu, jeśli nie jest zepsuta. W sklepie zamiast produktów w puszkach, jeśli już tego typu produkt muszę kupić (np. przecier pomidorowy), wybieram te w szkle. A później słoiki zbieram na własne potrzeby.

Ulubiony przepis na potrawę stworzoną w duchu *less waste*?

– Kotlety z reszek z porannego soku warzywnego, na który składają się np. marchew, seler, pietruszka, burak. Z takich reszek robię też pyszną zupę krem albo piekę pasztet. Nazywam takie dania dobrymi reszkami. Bardzo lubię także pesto lub pastę z liści rzodkiewek. Wiele z tych

myję. Dlatego polecam spróbować kupowania żywności luzem albo na wagę. I to nie tylko owoców i warzyw, innych produktów też. W supermarketach jest i jedna, i druga opcja. Niestety, sklepy dyskontowe, które zdominowały nasz rynek, nie oferują kupowania na wagę niczego innego

Z głąbów, łodyg (np. kalafiora czy brokuła) robię sosy do makaronu albo zapiekanki.

oprócz warzyw i owoców. Więcej śmieci to również skutek większej liczby dań gotowych do spożycia. Człowiek postawił na wygodę i zyskał czas, bo nie musi spędzać godzin w kuchni, za to nasza planeta traci, bo śmieci jest więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Głównie z winy plastikowych opakowań. A przecież kiedyś mleko, kefiry i śmietany były w szklanych butelkach zwrotnych. Mojej mamie bardzo brakuje tego rozwiązania, a mnie przeraża ilość plastiku, którą jestem otoczona.

Hoduje pani własne warzywa.

Czy to też wpisuje się w nurt *less waste*?

– Wszystko, co generuje mniej odpadów, jest w duchu *less/zero waste*. Dodatkowo, hodując własne rośliny, wiemy, co jemy. Kupując warzywa i owoce w sklepach czy na targu, nie zawsze możemy być pewni ich jakości. A dochodzi wątek przyjemności i satysfakcji – mnie własne plony i zbiory dają dużo radości.

o środowisko, starają się żyć w duchu *less waste*. Znam takich ludzi i szanuję ich podejście. Sądzę, że *less waste* to niezależny nurt, choć dość często idący w parze z weganizmem, ale niekoniecznie. I dobrze – każdy, niezależnie od diety, może spróbować mniej wyrzucać.

Co skłoniło panią do gotowania w duchu *zero/less waste*?

– Duży wpływ na to, jaki kierunek życia obrałam i co zmieniałam na lepsze, ma obserwacja świata i mojego bliskiego otoczenia. Media społecznościowe i internet mają dużą moc, dzięki nim łatwiej dotrzeć do informacji, również one docierają szybciej do nas i nagle orientujesz się, że oglądasz film, w którym pewien znany szef kuchni robi z fusów po kawie pyszne ciastka. Jeśli chcemy, by nasza planeta jeszcze długo nam służyła w dobrym stanie, musimy o nią dbać i włożyć w to więcej pracy. Nasza wygodą kosztuje Matkę Ziemię najwięcej. Dlatego powinniśmy pokazywać różne możliwości, jak pomóc naszej planecie. Myślę, że warto trochę się wysilić. Robimy to dla przyszłych pokoleń.

p.lesniewska@tygodnikprzeklad.pl

Bardzo lubię pesto lub pastę z liści rzodkiewek.

przepisów można znaleźć na blogu Bieganizm albo na moim kanale na YouTube, gdzie dodatkowo pokazuję, jak gotuję.

Czego unikać w supermarkecie?

Jakie produkty generują najwięcej odpadów?

– Niestety, wiele produktów jest sprzedawanych na plastikowych tacach zamkniętych w folii. Wiem, że trwałość takiego produktu jest większa, ludzie nie dotykają warzyw rękoma, nie wybierają, ale kiedyś tak nie było i jakoś nikt nie narzekał. Dlatego lubię korzystać z targowisk, bazarów czy warzywniaków. Każde warzywo czy owoc i tak zawsze dokładnie

Czy weganizm łączy się z *less waste*?

– Niekoniecznie. Zależy, z jakiego powodu ktoś jest weganinem. To szerokie pojęcie. Może zahaczać i o ekologię, więc także o dbałość o minimalizowanie odpadów. Ale może być weganin, który nie je produktów odzwierzęcych np. z przyczyn zdrowotnych, a nie ideologicznych, i nadal jedzenie wyrzuca, produkuje dużo odpadów, zużywa zbyt dużo wody itp. Są też przypadki w drugą stronę – osoby, które jedzą wszystko, ale starannie dobierają produkty, dużo gotują, mają własny warzywnik czy sad i bardzo dbają



Rejs postpandemiczny

Tydzień na Adriatyku to ani dużo, ani mało, w sam raz, aby odciąć się od koronawirusa

Barbara Jagas

Korespondencja z Chorwacji

Poptynać przez Adriatyk i umrzeć? Nie, raczej odciąć się od koronawirusa, którego nadal wokół pełno. Zwłaszcza gdy człowiek non stop siedzi przed telewizorem albo komputerem i jest bombardowany koronawirusami.

Na początku śledziliśmy wiadomości, które zmieniały się jak w kalejdoskopie. Puszczą, nie puszczą, wystarczy zrobić test antygenowy czy będą wymagać PCR? A co po powrocie – kwarantanna czy dadzą nam spokój? Wykupić dodatkowe ubezpieczenie zdrowotne, a może poprzestać na karcie EKUZ? Przecież i tak będziemy na morzu, do lekarza daleko. Towarzystwo ubezpieczeniowe zapewnia nawet powrót do domu w razie czego. Ale polisę otrzymujemy dzień przed wyjazdem, ponieważ nie chcą ryzykować. Strona chorwacka zażądała testu antygenowego. Dobrze, że nie znacznie droższego testu PCR. Wszyscy na szczęście mają wyniki negatywne.

Pusty Dubrownik

Udało się. W Dubrowniku chodzą już bez maseczek, ale nadal obowiązują one w samochodach, środkach transportu miejskiego i sklepach. Nigdy nie byłam w tym mieście, znam je tylko z widokówek i programów Makłowicza, jest rzeczywiście piękne. Jednak centrum – Stari Grad – wydaje mi się dziwne. Wszystkie filmy na YouTube pokazują zatłoczony Stradun, czyli główną ulicę, teraz nie ma tam ludzi. Wymarłe miasto. Nawet mur obronny świeci pustkami, a zwykle przecież jest oblężony; można wejść za friko, bo w kasie nikogo nie ma.

Mieszkamy u Mładynki, serdecznej Chorwatki, która lubi Polaków, ma nawet polskie książki. Płacimy za

nocleg 90 zł dziennie. Jest nas ośmioro śmiałków, miłośników żeglarstwa, w tym prawdziwy spec – kapitan Janis (na co dzień Janusz), bo reszta, może poza Bašką, która w młodości trochę pływała na omegach, dopiero uczy się sztuki prowadzenia łodzi. W sobotę jedziemy do mariny, gdzie czeka zamówiony katamaran. Jeszcze nie jest gotowy, ciągle działa ekipa sprzątająca. Zatrzymujemy się na obiad w portowej knajpie, obok jest Konsum, chorwacki market, gdzie robimy zakupy. Noc spędzamy już w kajutach, a rano wypływamy. Jest 15 maja.

Na brak ofert wypożyczenia katamaranu lub jachtu w Chorwacji nie można narzekać. Stoją – do wyboru,



Ofert wypożyczenia katamaranu lub jachtu w Chorwacji jest bez liku. W marinie w Dubrowniku stoją – do wyboru, do koloru.

do koloru – od niewielkich jachtów z dawnej epoki po supermaszyny z urządzeniami do odsalania morskiej wody. Nasz katamaran jest średniej klasy, ale nowy – z 2020 r. Zamówiliśmy go jeszcze przed pandemią.

Za wynajęcie zapłaciliśmy po

1,8 tys. zł od osoby, po 500 zł wyszło na wyżywienie i opłaty jachtowe, tj. benzynę, prąd i koszt postoju w porcie, 800 zł każdy wydatkował na samolot. Razem z pobytem w Dubrowniku wychodzi nieco ponad 3 tys. zł. To chyba nie tak wiele za

Dubrownik liczy na turystów.



tydzień żeglarskich przygód na Adriatyku. Dodajmy do tego jeszcze 200 zł na badania antycovidowe.

Wachta

Plan jest taki: mamy płynąć tam, gdzie jest dobry, ale nie za silny wiatr i nie pada. Jesteśmy w Dalmacji, więc ją sobie zwiedzimy, mamy do wyboru ponad 1,2 tys. wysp, skupimy się na tych południowych, ale które konkretnie to będą, zdecyduje kapitan.

Najpierw zabiera nas do kokpitu i tam omawiamy zasady pływania, a przy okazji Janis przypomina nam, dlaczego żaglowiec się przemieszcza. Że na wiatr chodzi, niby wiemy, ale kiedy jest to bajdewind, a w którym momencie trzeba dokonać zwrotu przez rufę, to już niekoniecznie.

Jesteśmy początkowo przytłoczeni wiedzą, nadmiarem nazw i myli nam się szot z fokiem, ale nad wszystkim czuwa szef i z tego, co nam opowiada, jest w stanie sam poprowadzić łódź. Najbardziej niebezpieczne jest to, podkreśla Janis, że łódź może wpaść w szkwał. I owszem, zdarzyło nam się to na samym początku, w Šipanskiej Luce na wyspie Šipan w Archipelagu Elafickim, czyli w pierwszym porcie,

do którego zawinęliśmy, jeszcze niewiele wtedy umiemy. Tylko dzięki manewrom kapitana uniknęliśmy kolizji z nabrzeżem. Ostatecznie stanęliśmy na bojce, Janis stwierdził, że jest za płytko, by cumować przy pomoście.

Woda w zatoczce nie przypominała widokówkowego szmaragdu w Dubrowniku. Chociaż do zachodu słońca pozostawało kilka godzin, odpychała swoimi czeluściami i temperaturą. A jednak dwoje z nas postanowiło wejść do niej, by przepłynąć na drugi brzeg, gdzie w miejscowym sklepiku planowaliśmy zakupić wino, podczas gdy koledzy będący na wachcie robili pierwszą wspólną kolację – smażyli sznycle z kurczaka. Niestety, nie była to ośmiornica w czernym winie, chociaż po obejrzeniu nagrodzonego Oscarem dokumentu „Czego nauczyła mnie ośmiornica” straciłam jakby apetyt na te inteligentne żyjątka.

To miał być święty czas uroczystego poczęstunku, którym załoga postanowiła uczcić pierwsze przepłynięte mile. Zebrane na ten cel kuny zapakowano do szklanej butelki po occie, którą kolega Staś zawiesił w worku-plecaku, poprawił jeszcze płetwy, ale zdjął rurkę, by nie przeszkadzała

mu w oddychaniu. Towarzysząca mu Baśka ledwo łapała oddech, by dorównać dzielnemu płetwonurkowi, który wystartował jak rakieta. Ich powrót powitano brawami, Staś dostał gorącą herbatę, Baśkę zagnano do mesy, by zaparzyła sobie rumianek. Pozostała część załogi już urzędowała przy stole, drugi oficer Andy wpisał kolejną notatkę do dziennika jachtowego. Jeszcze tylko spotkanie z kapitanem (na koszulce miał *deputy*, czyli zastępcę, ale to była koszulka ze starego rejsu), podczas którego omówiono kolejność nocnych wacht, ponieważ miał się zerwać silny wiatr. Noc podzielono na osiem wacht, by każdy z nas mógł odczuć, co to znaczy być wilkiem morskim.

Budziliśmy się parami – by żona mogła potrząsnąć mężem lub odwrotnie, kapitanowa kapitanem i singiel singielką – oni mieli najgorzej, bo jedno z nich spało w mesie, akcentując tym swoją niezależność. Nad ranem zaczął siąpić kapuśniaczek, potem się rozpadało, z czasem wiatr wzmógł się, ale na końcu wyszło słońce.

„Odchodzimy”, zapowiedział po śniadaniu kapitan. Na tę myśl niektórych przeszedł dreszcz, ale wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby nie nagły zryw wiatru – taki, że bojka ledwo utrzymywała łajbę. Ktoś rozwinął niepotrzebnie muring, linkę do cumowania do pachotka, który wpadł do wody i zahaczył o coś na dole. Łódź zadrżała, kapitan i jego dziewczyna Grace znieruchomieli. Ale na to tylko czekał Staś, który po raz drugi w życiu założył płetwy i dał nura pod łódź. Kibicująca mu blondyna krzyknęła „Jest!”, gdy wypłynął, trzymając w zębach kawałek sznura, który zaplątał się w śrubę. „Dobro, dobro”, rzekł nasz rozluźniony boss, który już prawie nauczył się chorwackiego, po czym krzyknął dużo głośniejszym głosem: „Odpuśćcie nam!”, co wszyscy przyjęli z ulgą.

Siedem w skali Beauforta

Nie wiedzieliśmy jeszcze, co nas dalej czeka. Gdy wyszliśmy z zatoki, morze nagle wezbrało, wiatr wzmógł się i nasz katamaran zaczął bardzo mocno się kiwać. Dziewczyny, jedna w nieokreślonym wieku, pozostałe trzy dojrzałe, z piskiem uciekły do mesy. Mąż dowcipnej Miry, właściciel

► podkoszulka z optymistycznym napisem „70-tka na karku i wszystkie części oryginalne”, którą otrzymał od wnuków, tylko zbladł. „Następnym razem jadę do Buska”, niby zaśmiała się kapitanowa. Baśka dzielnie usiadła na rufie i nucąc piosenkę wojskową, udawała sama przed sobą, że niczego się nie boi. „Siedem w skali Beauforta”, orzekł drugi oficer Andy, obserwując powierzchnię morza, a Janis to potwierdził. „Dobrze, że nie dziesięć”, pomyślała Baśka, wspominając przebój Klenczona. „Trzeba tylko nacisnąć czerwony guzik – powtarzała w myślach – i powiedzieć: *mayday*,

Janis – są dzielniejsze od mężczyzn. Na pozór mimozę, a jak trzeba, to mają większe jaja od nas”.

Tak czy inaczej te siedem w skali Beauforta uratowało nas od marazmu. A jak tylko wiatr nieco zelżał, płynęliśmy jedynie na fokę albo na odwrót – mając rozwinięty tylko drugi żagiel. My, baby, na tej łajbie nie musiałśmy pamiętać wszystkiego, bo dzielni mężczyźni nas wyręczali, zaskakując przy tym chłopięcą sprawnością. Każdy w mig wykonywał polecenia szefa, by zwinąć lub postawić grot albo przygotować muringi. Czasem nie wiedzieliśmy, o co chodzi,

czas w oczekiwaniu na pierwszych konsumentów. A były to: *orada* (dorada), *srđela* (sardynka), *tuna* (tuńczyk), *brancin* (labraks) i *list* (sola). Zapłaciliśmy za ten półmisek po 200 kun (120 zł). Za świeżą rybę nie byłoby to tak wiele, ale za mrożoną?

Były też inne niespodzianki. W tejże Zaklopaticy Baśka po raz pierwszy zapaliła trawkę, którą poczęstował ją Ukrainiec z jachtu cumującego obok. Naiwniaczka wzięta skręta, myśląc, że to papieros, i po pierwszym machu musiała wyrzucić do wody, nie miała wprawy. A potem poszli ze Staśkiem do malowniczego kościółka na wzgórzu, których na wyspie Lastovo jest 46. Jakież było ich zdziwienie, gdy obok ścieżki do świątyni ujrzeli drogowskaz z napisem *Natural Beach*. A może chodzi o to, by zdrowy duch sąsiadował ze zdrowym naturalnym ciałem? Pewno potwierdziliby to nudyści, ale ich nie spotkaliśmy.

Dopiero w Lastovie, na tej samej wyspie, gdzie można było nasycić oko uroczym, choć nieco wyludnionym miasteczkiem, napiliśmy się miejscowego trunku i kupiliśmy domową oliwę. Wino było przednie, ze śródziemnomorską nutą, nagrodzone medalem miejscowych władz, o czym zapewniła Liliana, Chorwatka do tej pory pracująca w hotelu, a teraz zajmująca się uprawą winorośli. Hotele nadal bowiem straszą pustkami, a ich pracownicy muszą sobie jakoś radzić. Podobnie we wsi Okuklje na wyspie Mljet, dokąd pojechaliśmy motorówką po chleb, ale wszystko było zamknięte. Nadzieja w turystach, którzy może wkrótce przerwą ten marazm.



W restauracjach można było coś zjeść na świeżym powietrzu.

mayday, a wtedy przybędą nam na ratunek”. Tylko kto? Do tej pory nie spotkaliśmy na morzu nikogo.

Bezkres

Bezkres, pustka, cisza – tak można by określić rzeczywistość, którą kontemplowaliśmy. Bezludzie i beztodzie, jeśli można tak powiedzieć. Raz tylko ktoś widział rekina, a właściwie płetwę. I raz pojawił się na horyzoncie pewien hultaj, by przepłynąć nam tuż przed nosem. Na wachcie za sterem była wtedy małżonka Andrew, zwana Ewą, chyba dlatego, że drzemała najwięcej spośród nas. Brak bodźców spowodował, że Ewa nie zauważyła intruza. „Gdzie ma pan patent!”, huknął na pirata Janis, omijając go w ostatniej chwili, ale tamten pomachał z oddali, nie wiedząc czemu białą chusteczką. „A może kapitanem była niewiasta?”, zapytałyśmy naszego bossa. „Pływałem z kobietami – rzekł

wolałyśmy więc nie pętać się po pokładzie bez sensu, oddając pole do działania płci przeciwnej. Tylko Baśka raz wyskoczyła na ląd, by zaciemnić łódź – w celu pobrania paliwa, a także zagrania wody. Dotąd rozpiera ją z tego powodu duma.

Nudyści

Dla urozmaicenia podróży zawijaliśmy do portów. Po opuszczeniu Wysp Elafickich odwiedziliśmy Korčulę, Mljet i Lastovo. Ale dopiero w Zaklopaticy udało nam się zjeść wspaniałe ryby, o których marzyło się przed wyjazdem – świeże, świeżuśkie, a nie jak w Korčuli, z bajkowymi wprowadzającymi uliczkami i zakamarkami, tudzież już czynnymi restauracjami na świeżym powietrzu, gdzie spotkaliśmy tylko parę turystów z Niemiec. W portowej knajpie poczęstowano nas starą rybą, a właściwie talerzem ryb, które musiały przeleżeć w zamrażalniku spory

Tydzień na Adriatyku to ani dużo, ani mało, w sam raz, by poczuć smak żeglarsstwa. Przeżyliśmy sztorm, awarię łodzi, cumowanie na boi, kąpiel w zimnym Adriatyku i prawie spotkanie z rekinem. Niektórzy bardziej uwierzyli w siebie, inni – nie stracili wiary. Będziemy jeszcze nieraz wspominać nasze przygody, a także bezkres morza czy pustkę Gold Town Dubrownika. Na pewno odpoczęliśmy od koronawirusa, o którym przypomniał nam dopiero powrót, gdy musieliśmy zrobić antygenowy test.

Barbara Jagas
b.jagas@tygodnikprzeгляд.pl

Oto kadrowy notes Raua

Zabaw dyletantów ciąg dalszy. Jakoś bez echa przeszła informacja, że szefem służby zagranicznej został Arkady Rzegocki, ambasador w Wielkiej Brytanii.

Rzegocki to zaciąg jeszcze z czasów Witolda Waszczykowskiego, który wyciągnął go z Klubu Jagiellońskiego. Wcześniej w MSZ w ogóle nie pracował, będzie więc zarządzać strukturą, której ani nie zna, ani nie rozumie. Ale to, zdaje się, w oczach PiS zaleta.

Jako ambasador Rzegocki był bardzo gorliwy w okazywaniu sympatii do partii rządzącej, co rychło stało się powodem różnych uszczypliwości. Na przykład Witold Jurasz tak pisał o nim w Onecie: „Z korytarzowych plotek w MSZ wynika, że Londyn jest niestety jedną z tych licznych stolic, w których polscy ambasadorowie uznali, iż ich rolą jest walka z gender, homoseksualizmem, islamem etc., a nie załatwianie polskich interesów. (...) Ambasada RP w Londynie mniej czasu poświęca kwestii statusu prawnego Polaków w Wielkiej Brytanii po brexicie niż odślanianiu kolejnych tablic poświęconych pamięci żołnierzy wyklętych. Kwestie bilateralne i multilateralne ustąpiły polityce historycznej. Polityka polonijna – wspieraniu skrajnej prawicy wśród Polaków na Wyspach.

(Rzegocki) udał się na noworoczne przyjęcie wydawane każdego roku przez królową Elżbietę II w Pałacu Buckingham nie we fraku, ale w kontuszu. Brytyjczycy we Wspólnocie Narodów (Commonwealth) mają państwa, których ambasadorowie przywdziewają pióra papug, więc pewnie skandalu nie było. Szkoda tylko, że sensu zabrakło”.

Teraz taki oryginał ma kierować korpusem polskich dyplomatów. Pytanie tylko, czy będzie miał pojęcie, jak

to robić. I – pyta o to pól MSZ – jak ułoży sobie współpracę z dyrektorem generalnym Maciejem Karasińskim, który akurat MSZ bardzo dobrze zna?

Zwróćmy uwagę, w dyspozycji dyrektora generalnego pozostają istotne narzędzia. To on jest zwierzchnikiem Inspektoratu Służby Zagranicznej, biura kadr, biura audytu, biura finansów i innych jednostek decydujących o zarządzaniu ministerstwem i placówkami.

Żeby sytuację skomplikować, dodajmy, że te biura też rządzą się własnymi układami, jak choćby biuro kadr, którym obdarzono Radosława Petermana, człowieka Macierewicza. Zapowiadają się więc ciekawe wydarzenia...

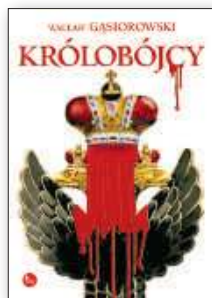
Przy okazji dodajmy, że wyjaśniła się sprawa ambasadora w Pradze. Ma nim zostać Mirosław Jasiński, pan dosyć wiekowy. Był on zastępcą ambasadora na przełomie lat 1990-1991. Potem został wojewodą wrocławskim za rządu Jana Olszewskiego. Był też w latach 2005-2010 dyrektorem Instytutu Polskiego w Pradze. Zna czeski i zna Czechów. Możemy tylko mieć nadzieję, że szybko pozna przedstawicieli Partii Piratów, która według ostatnich sondaży będzie tworzyć rząd po jesiennych wyborach. I nie są to jacyś amatorzy. Jeden z liderów ugrupowania, Zdeněk Hřib, jest aktualnym primatorem (prezydentem) Pragi. Piraci rządzą także w wielu innych miejscach w Czechach. Mają 22 posłów (na 200), pięciu senatorów, trzech europosłów. I nie jest to ich ostatnie słowo. Co dla nas ważne, w sprawie Turowa są twardsi niż obecny czeski rząd.

Takich czasów dożyliśmy.

Attaché

Papież Franciszek po audiencji ogólnej wita się z wiernym przebranym za Spider-Mana, Watykan, 23 czerwca 2021 r.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- inna nazwa bożodrzewu
- „Zaraz wezmę od szefa... kupię jej bukiet róż”
- kłopot, kram, trudności
- „...splanato i Wielki Polonez Es-dur” Chopina
- odwaga wraz z zapalem
- duża, jaskrawo upierzona papuga
- odrzucenie wiary w istnienie Boga, bogów
- składa się z jądra i chmury elektronowej
- potocznie o handlarce, przekupce
- zbijać je to próżnować
- rzeczna ryba z karpio-watych, jej ikra trująca
- spycharka gąsienicowa
- major Plut szerokim Telimenę w białe ramię klasnął
- próżność, bezskuteczność
- nietoz z Australii i Tasmanii
- krótki utwór literacko-naukowy, szkic
- matka Minosa
- kopulasty domek z bloków lodu
- „...śmierci” lub olimpijskie
- chroni podporę mostu przed lodem
- i linia żeńska, i grzywa zubra
- towarzysz, zwłaszcza hulaneł
- mebel kojarzący się z psychiatrą
- potocznie o biegu jałowym
- ryba, od której nazwa koloru
- pierwszy historyczny władca Polski
- jest nim Ireneusz Krosny
- można mieć o sobie zbyt wysokie
- walizka na podręczne drobiazgi
- wyskakuje w przeglądarce
- zakłopotanie, chwilowy brak pewności siebie
- u niego gody, a u mnicha głody
- złotousty mówca
- „...powstańczy”, obraz Maksymiliana Gierymskiego
- „Rozkwitły... białych róż”
- dyskowe zakończenie węża strażackiego
- i maluch, i starszak
- wiara, konfesja
- prześwietlenie promieniami X
- część narzędzia, miecza służąca do trzymania
- drobna to epizod
- ten metal ciekły w warunkach normalnych
- właściciela spożywczaka
- narciarskie, do wody lub przez przeszkody
- masowe przeciw COVID-19
- wyrób lub naprawa przedmiotów metalowych
- zasiada z pilotem w dłoni
- gospodarz letnich igrzysk przełożonych z powodu pandemii
- motorniczego jego kierowcą
- gdy uf, już po wszystkim
- przedsiębiorstwo prowadzące catering w pociągach
- ...Słońca, było 10 czerwca
- zarasta zaniedbany ogród
- konkurencja narciarska lub walny

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1019”. Do rozlosowania książki „Królobójcy” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 4 lipca 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1016” z nr. 24: *Strata czasu jest bezpowrotna.*
Nagrody otrzymują: Krzysztof Dorzynkiewicz z Płoskini, Mirosława Gierczyńska z Kałuszyna, Kacper Zduńczyk z Wiśniewa.

PENETRACJE

TYGODNIK
ANGORA

MICHAŁ LISTKIEWICZ,
BYŁY SĘDZIA PIŁKARSKI,
BYŁY PREZES PZPN

Poznałem osobiście słynnego Franza Beckenbauera. To legendarna postać w Niemczech. Przed laty był wybitnym piłkarzem, a w 1988 r. prowadził niemiecką reprezentację. Kiedy Niemcy ubiegali się o organizację mistrzostw świata w 2006 r., Beckenbauer przyjechał do Warszawy w roli ambasadora tej imprezy. Pokazał film z fragmentami wszystkim spotkań, które prowadziłem na ważnych imprezach piłkarskich, także z turnieju mistrzostw Europy z 1988 r. Beckenbauer po prezentacji tego filmu powiedział: „Polska ma najlepszego sędziego piłkarskiego na świecie”. Na pytanie, dlaczego tak uważa, odpowiedział: „Przy Listkiewicz wygrywałem niemal wszystkie mecze”.

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

JAKUB BANAS,
SYN SZEFA NIK

Jarosław Kaczyński dobrze czuje politykę i rozumie, że wybory kopertowe to był dopiero początek. Najbardziej obawia się NIK jako instytucji, która konsekwentnie będzie pokazywać zinstytucjonalizowane złodziejstwo, zalegalizowaną korupcję, jaka rozkwitła pod rządami partii mającej prawo i sprawiedliwość w nazwie. Boi się, bo PiS wyrosło na deklaracji walki z tymi patologiami i rozliczenia poprzedniej władzy PO-PSL. I tą narracją o walce z układami, czyszczeniu „świętych krów”, PiS legitymizuje swoje rządy, kupuje nią swoich wyborców skłonnych

w to prostodusznie wierzyć, a rekordowe zadłużenie państwa pozostaje dla wielu czystą abstrakcją.

odra

PIOTR GAJDZIŃSKI,
PUBLICYSTA

Zakładając w 2011 r. Solidarną Polskę, Ziobro rozpoczął długi marsz. Początkowo i on, i jego partyjka byli lekceważeni i wyśmiewani, potem urosli do miana przystawki, ale błędy Kaczyńskiego – wśród nich oddanie mu pełnego władztwa nad wymiarem sprawiedliwości i wprowadzenie przepisów, które w praktyce czynią ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego nietykającym – spowodowały, że przystawka stała się niestrawna. Być może dzisiaj jest już dla Jarosława Kaczyńskiego nie do przelknięcia. Dla Polski to ponura prognoza...

PANI

ALEKSANDRA
DOMAŃSKA,
AKTORKA

Przez parę miesięcy nie widziałam światła w tunelu, ale w końcu pojawiła się mała isierka i chcę, żeby zamieniła się znowu w twórczy ogień. Taki jak ten, który stworzył „Ciało bogini za nic się nie wini”. Chciałabym napisać książkę o ciepłopozytywności i doświadczeniach związanych z tą akcją. Wiem, że jest wiele kobiet, którym zmieniła życie. Założyłam nowe konto na Instagramie mądrzejsza o wszystkie wcześniejsze doświadczenia. Czego się nauczyłam? Nieważne, co kto mówi. Nie dajcie sobie podciąć skrzydeł.



Akcja protestacyjna AGROunii pod Ministerstwem Rolnictwa, 22 czerwca 2021 r.

FOT. PIOTR MOŁĘCKI/EAST NEWS

Aby język giętki...

OLGA LIPIŃSKA O ŚMIESZNOŚCI

Każda władza jest śmieszna w swoim nabzdyczeniu i jak ognia boi się własnej śmieszności.

PROF. JERZY WIATR

O PROF. ZYGMUNCIE BAUMANIE

Mam poczucie dane od losu, że przyjaźniłem się z człowiekiem, który stał o całe góry wyżej ode mnie. Miał więcej doktoratów honorowych niż wszyscy polscy socjologowie razem wzięci.

DANIEL PASSENT O POKOLENIACH

Każde ma swoich zetempowców. Współczesne należy do Ordo luris, organizuje marsze listopadowe, popiera partię i rząd.

RAFAŁ STEC

O ROBERCIE LEWANDOWSKIM

Nie wierzy w zryw i spontaniczność, zlikwidował nawet podział na życie prywatne i zawodowe, działa jak psychofizyczny terminator.

MONIKA BRODKA

O POLSKIEJ MENTALNOŚCI

Mamy mnóstwo ekspertów od wszystkiego. Ludzie wiedzą, jak ktoś inny powinien wyglądać, jak się zachowywać, co robić.

DARIA ZAWIAŁÓW O FANACH

Niektórzy są przekonani, że artysta jest ich zabawką, z którą mogą zrobić, co chcą, bo przecież kupują płyty i bilety na koncerty.

JUSTYNA KOWALCZYK O KŁOPOTACH

Jak miałam kłopoty, to nie uciekałam od sportu, tylko właśnie do sportu.

WILHELM SASNAŁ O UDANYM OBRAZIE

Dawniej od razu wiedziałem. Dziś coraz częściej nie tylko poprawiam, ale ściemam z płótna to, co namalowałem, i zaczynam od początku.

WOJCIECH MALAJKAT O SZTUCE

Sztuka nienawidzi banału, jednoznaczności. Generujemy banal, bo jest łatwy do osiągnięcia, ale on niszczy wszystko.

MARTA KLUBOWICZ

O PRZEPRASZANIU

Przyznać się przed partnerem i samą sobą, że się zawaliło – to sztuka.

MEMY BEZ ŚCIEMY

Reksiu, dziś ty stawiasz

Firma Da Pian 1904 zaprezentowała pierwsze włoskie piwo dla psów. „Pawse to napój bezalkoholowy o bursztynowej barwie, niegazowany, białkowo-witaminowy, bez sztucznych dodatków, wytwarzany z surowców najwyższej jakości. Zdrowy i oryginalny produkt dla naszych wiernych przyjaciół, powstający według unikatowej receptury przygotowanej pod nadzorem weterynarzy i we współpracy z fabryką żywności dla zwierząt”, chwali wyrób jego producent. Pomysł na napitek zainspirowały realia pandemii, podczas której czworonogi były dla wielu Włochów jedynymi towarzyszami. Jeśli Pawse się przyjmie, instytucja szwagra może się okazać przeżytkiem.

Lajkuj ojczyznę swoją

Wietnamski rząd ogłosił wytyczne dla obywateli w zakresie pożądaných zachowań na Facebooku czy Instagramie. Władze oczekują od społeczeństwa przede wszystkim zamieszczania treści pomagających budować pozytywny wizerunek kraju. „Użytkownicy mediów społecznościowych są zachęcani do promowania piękna krajobrazu, ludzi i kultury Wietnamu oraz do rozpowszechniania dobrych historii o dobrych ludziach”, czytamy w kodeksie zawartym w decyzji resortu informacji. Zapewne nie zaszkodzi także stosowanie indochińskiego odpowiednika cytatu z „Misia”: „Wszystko to zasługa naszego prezesa!”.

Jajo z kurek?

Singapurska firma OsomeFood opracowała wegański odpowiednik jajek na twardo, który wygląda i smakuje bardzo podobnie do oryginału. OsomeEgg powstaje dzięki



fermentacji białka obecnego w grzybach, a do jego wytworzenia stosuje się także sok z marchwi, migdały, skrobi ziemniaczaną, oliwę z oliwek, glony wakame, czarną sól i płatki drożdżowe. Niestety, bezajeczne jajka, sprzedawane zamrożone, nie należą do tanich – jedna sztuka kosztuje w przeliczeniu 15 zł. No, bez jaj!

Myszy i ludzie (z wyrokami)

Inwazja myszy wymusiła przeniesienie do innych placówek 420 więźniów i 200 pracowników więzienia w Nowej Południowej Walii. Gryzonie, które we wschodniej Australii są obecnie plagą, przedostały się do Wellington Correctional Centre i zaczęły przegryzać panele sufitowe oraz kable, co zmusiło władze placówki do podjęcia szeroko zakrojonych prac naprawczych. Osadzeni i kadra trafili zaś do innych podobnych przybytków. Minęło tyle wieków, a losy Popiela stanowią przestrożę nawet na antypodach!





Polacy żegnają się z Euro 2020 po przegranym meczu ze Szwecją. Nz. Przemysław Płacheta, Wojciech Szczesny, Bartosz Bereszynski i Robert Lewandowski z trenerem reprezentacji Pauliem Souzą.

Cyfrowa opatrność

Południowokoreański projektant Paeng Min-wook stworzył „trzecie oko” dla uzależnionych od smartfonów. Mowa o przyklejanej na czole kamery, która wykrywa obiekty w pobliżu osoby wpa- trzonej w ekran telefonu i za pomocą sygnału dźwiękowego ostrzega ją przed ryzykiem zderzenia. „Mam nadzieję, że dzięki temu satyrycznemu rozwiązaniu ludzie zauważą powagę naszego uzależ-

nienia od gadżetów i zastanowią się nad sobą”, skomentował 28-letni wynalaz- ca. My obstawiamy, że więcej osób zareaguje pytaniem, gdzie można to kupić.

I tylko Rzeckich żal

Brityjski internetowy market spożywczy Ocado zatrudnia aż 3 tys. niezwykle pracowitych... robotów. Wyglądem przypominają pralki na kółkach, a ich za- daniem jest kompletowanie zamówień z 50 tys. dostępnych produktów, czym zawiadują algorytmy sztucznej inteligencji. Cybersubiektci pracują w magazynie wielkości trzech boisk piłkarskich, w sporym ścisku i dużym tempie, ale nie narzekają. Może to już czas, by zrobotyzować także klientów?

Zdalnie zdolni do pracy

Nowoczesność szaleje także w Tokio, gdzie otwarto lokal, w którym klientów za pośrednictwem robotów obsługują osoby z ciężkimi niepełnosprawnościami, takimi jak rdzeniowy zanik mięśni. Avatar Robot Cafe DAWN ver.beta zatrudnia osoby z całej Japonii, których zadaniem jest sterowanie, ruchami gałek ocznych, maszynami o nazwie OriHime. „Moim ostatecznym celem jest społeczeństwo, w którym ludzie na wózkach inwalidzkich lub przykuci do łóżka z powodu cho- roby czy niepełnosprawności mogą pracować i służyć innym”, tłumaczy jeden z pomysłodawców, Kentaro Yoshifuji. Dobra robota, panie Yoshifuji!



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

www.tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogolkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Paula Leśniewska, Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,
Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj,
Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoredytorzy: Magdalena Głuska,
Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek **e-mail:** a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska **e-mail:** a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka **e-mail:** s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedaż elektroniczna: **www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl**

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPLPLP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Wilhelm Sasnal TAKI PEJZAŻ

Pierwsza wystawa indywidualna Wilhelma Sasnala w Muzeum POLIN obejmuje prace z minionych 20 lat, obrazy i rysunki, które opisują znajomy, choć nieco oddalony pejzaż i znajome w nim postacie – pejzaż po Zagładzie. Malarstwo Sasnala w dużym stopniu inspirują przekazy wizualne zaczerpnięte ze środków masowego przekazu, a także prace plastyczne innych, ważnych dla niego artystów i oczywiście fotografia. Jego sztuka mówi o życiu codziennym, o przemianach społecznych. Malarz opowiada, jak jego pokolenie zмага się z rzeczywistością. Wspólnie z żoną Anką od kilkunastu lat kręci również filmy.

Muzeum Historii Żydów Polskich
Warszawa, ul. Mordechaja Anielewicza 6
do 10 stycznia 2022 r.





LUXTORPEDA

2 grudnia 2021 | Klub Stodoła | Warszawa



MEEK, OH WHY?

8 grudnia 2021 | Klub Stodoła | Warszawa



NATALIA PRZYBYSZ

9 grudnia 2021 | Klub Stodoła | Warszawa



MIKROMUSIC

12 grudnia 2021 | Klub Stodoła | Warszawa



ASAF AVIDAN

7.04.2022 | Klub Kwadrat, Kraków

9.04.2022 | Klub Proxima, Warszawa



BASIA TRZETRZELEWSKA

25.05.2022 | Klub Kwadrat, Warszawa

26.05.2022 | Stary Maneż, Gdańsk

29.05.2022 | Klub Wytwórnia, Łódź

FIŃSKA ODPOWIEŹ NA PRZEBOJE
„Dobrze się kłamię w miłym towarzystwie”
ORAZ
„Niewinne kłamstewka”

◀ W CO GRAJĄ LUDZIE ▶

REŻYSERIA
JENNI TOIVONIEMI



To ich ostatni weekend młodości...

w kinach od 2 lipca